

**OSTROŻNIE! NOWOŚĆ!**  
**OTWIERASZ NA WŁASNE RYZYKO!**

**SEBASTIAN FITZEK**

Nadawca: **Wydawnictwo AMBER**  
Odbiorca: **Miłośnik talentu autora PASAŻERA 23**

**PRZESYŁKA**

Rodzaj paczki:

**WYBUCHOWY THRILLER PSYCHOLOGICZNY**

Waga: ciężka

Brak ubezpieczenia  
od nieprzespanych nocy

**735 000 egzemplarzy  
sprzedanych w siedem miesięcy**

Znaki szczególne

**BESTSELLER NUMER 1**



  
AMBER



**SEBASTIAN FITZEK**

**PRZESYŁKA**

Przekład  
**BARBARA TARNAS**



Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna  
Anna Tłuchowska

Korekta  
Barbara Cywińska  
Renata Kuk  
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok  
na podstawie pomysłu ZERO Werbeagentur GmbH, München

Tytuł oryginału  
Das Paket

Copyright © 2016 by Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co. KG,  
Munich, Germany

[www.sebastianfitzek.de](http://www.sebastianfitzek.de).

The book has been negotiated through AVA international GmbH,  
Germany ([www.ava-international.de](http://www.ava-international.de)).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6398-4

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do formatu elektronicznego  
P.U. OPCJA

*Mojemu dream teamowi:*

*Manu, Romanowi, Sabrinie, Christianowi, Karlowi, Barbarze i Petrze*

*Osobom absolutnie niezbędnym:*

*Carolin i Regine*

*I oczywiście tym, których mi brakuje nawet wtedy, kiedy ich obejmuję:*

*Sandrze, Charlotte, Davidowi i Felixowi*

*Wdzięcznej i życzliwej pamięci*

*mojego ojca Freimuta Fitzka*

*...wszystkie historie  
kończą się śmiercią.  
Jeśli ktoś to przed wami ukrywa,  
nie jest dobrym narratorem.*  
Ernest Hemingway

*Niemożliwe jest obserwowanie czegoś tak,  
aby tego nie zmieniać.*  
zasada nieoznaczoności Heisenberga

# Prolog

**K**iedy Emma otworzyła drzwi do sypialni rodziców, nie przeczuwała, że robi to ostatni raz. Już nigdy nie spróbuje o wpół do pierwszej w nocy, uzbrojona w pluszowego słonika, ostrożnie przytulić się do matki. Bardzo ostrożnie, żeby nie obudzić taty, który przez sen wierzgał nogami, mamrotał coś bez sensu albo zgrzytał zębami.

Dzisiaj nie wierzgał, nie mamrotał i nie zgrzytał. Dzisiaj tylko jęczał.

– Tato?

Emma niepewnym krokiem weszła z ciemności korytarza do sypialni. Światło księżycy w pełni, które w te wczesnowiosenne noce roztaczało swoją władzę nad Berlinem niczym północne słońce, wpadało przez zaciągnięte zasłony rtęciową poświatą.

Mrużąc oczy, nad którymi jej grzywka zwieszała się jak kasztanowa zasłona, potrafiła domyślić się otoczenia: rattanowej skrzyni w nogach szerokiego łóżka, szklanych nocnych stolików po jego obu stronach, szafy z przesuwными drzwiami, w której dawniej czasem się chowała.

Dopóki w jej życie nie wkroczył Arthur i nie obrzydził jej zabawy w chowanego.

– Tato? – szepnęła i po omacku szukała wystającej spod kołdry bosej stopy ojca.

Sama miała tylko jedną skarpetkę, a i ta ledwo trzymała się na jej palcach. Drugą zgubiła gdzieś po drodze z błyszczącego pałacu jednorożca do doliny srebrnoszarego latającego pająka, który czasem straszył ją we śnie.

*Ale nie tak bardzo jak Arthur.*

Choć wciąż ją zapewniał, że nie ma złych zamiarów. Ale czy mogła mu wierzyć?

Mocniej przycisnęła słonika do piersi. Jej język był jak wyschnięta guma do żucia, która przykleiła się do podniebienia. Sama ledwo słyszała swój cienki głos, spróbowała więc jeszcze raz:

– Tato, obudź się. – Zaczęła szarpać go za palec u nogi.

Ojciec odsunął stopę i jęcząc, odwrócił się na bok. Wtedy na chwilę podniósł kołdrę i Emmę uderzył zapach snu, którego nie można było pomylić z niczym innym. Była pewna, że po zapachu potrafiłaby z zamkniętymi oczami poznać ojca wśród wszystkich innych dorosłych. Po tej ziemistej mieszance tytoniu i wody kolońskiej, którą tak dobrze znała. Którą tak lubiła wdychać.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie lepiej spróbować z matką. Matka zawsze była za nią. Ojciec często na nią krzyczał. Emma przeważnie nawet nie wiedziała, co zbroiła, kiedy drzwi kolejny raz zatrzaskiwały się z takim hukiem, że cały dom drżał w posadach. Mama mówiła potem, że ojciec sam tego dobrze nie wie. Był „cholerykiem” czy coś podobnego, a potem było mu przykro. Bywało też, ale bardzo rzadko, że sam jej to mówił. Przychodził do jej pokoju, dotykał mokrego od łez policzka, głaskał po włosach i wyjaśniał, że to nie takie proste być dorosłym, bo odpowiedzialność, problemy i takie tam.

Dla Emmy te wyjątkowe chwile były najszczęśliwsze w życiu i właśnie za taką chwilą teraz tęskniła.

Właśnie dzisiaj tak wiele by dla niej znaczyła.

*Kiedy tak się boję.*

– Tato, proszę, ja...

Chciała podejść do wezgowia, żeby dotknąć jego czoła, ale potknęła się o szklaną butelkę.

*O nie...*

Ze zdenerwowania zapomniała, że mama i tata zawsze stawiali obok łóżka butelkę z wodą, na wypadek gdyby komuś w nocy zachciało się pić. Butelka się przewróciła i poturłała po parkiecie, a w uszach Emmy zabrzmiało to, jakby przez sypialnię przetoczył się pociąg towarowy. Hałas wydawał się tak ogłuszający, jakby ciemność wzmacniała dźwięk.

Zapaliło się światło.

Po stronie matki.

Emma krzyknęła przeraźliwie, kiedy nagle zrobiło się jasno.

– Myszko? – usłyszała pytanie matki, która w świetle nocnej lampki wyglądała jak święta. Jak święta z potarganymi włosami i odciśniętą na twarzy poduszką.

Teraz otworzył też oczy wystraszony ojciec Emmy.

– Co, do diabła, co... – powiedział głośno i błędził wzrokiem dookoła, próbując zorientować się, gdzie jest. Było oczywiste, że obudził się ze złego snu, być może jeszcze w nim był. Usiadł na łóżku.

– Co się dzieje, skarbie? – zapytała matka. Zanim Emma zdążyła odpowiedzieć, ojciec wrzasnął:

– Psiakrew, do jasnej cholery!

– Thomas! – upomniała go matka.



On jednak krzyczał jeszcze głośniej i wymachiwał rękami w stronę Emmy.

– Psiakrew, tyle razy mówiłem ci...

– Thomas!

– ...że masz nam nie przeszkadzać w nocy!

– Ale moja... moja... moja szafa... – Emma zaczęła się jąkać, a jej oczy wypełniły się łzami.

– No nie, znowu to samo – wściekał się ojciec. Wydawało się, że starania matki, żeby go uspokoić, tylko zwiększały tę złość.

– Arthur – tłumaczyła mimo to Emma. – Duch. Znów tu jest. W szafie. Musicie ze mną iść, proszę. Bo może zrobić mi krzywdę.

Ojciec ciężko oddychał, pociemniało mu w oczach, usta drżały i przez krótką chwilę wyglądał tak, jak wyobrażała sobie Arthura: jako małego, pocącego się diabła, z dużym brzuchem i łysiną.

– Gównu musimy. Emma, zjeżdżaj stąd, i to już, albo to ja zrobię ci krzywdę. I to nie może, tylko na pewno!

– Thomas! – Emma znów usłyszała krzyk matki i zatoczyła się do tyłu.

Słowa ojca trafiły Emmę. Mocniej niż raketka pingpongowa, którą w ubiegłym miesiącu przez nieuwagę dostała w twarz na wuefie. Wybuchnęła płaczem. Poczowała się tak, jakby ojciec wymierzył jej policzek. Twarz ją paliła, chociaż nawet nie podniósł ręki.

– Nie możesz tak mówić do swojej córki – usłyszała głos matki. Bojaźliwy, cichy. Niemal błagalny.

– Mówię do niej, jak mi się podoba. W końcu musi się wreszcie nauczyć, że nie może wpadać tu każdej nocy...

– Ona ma dopiero sześć lat.

– A ja mam czterdzieści cztery i co? Czy moje potrzeby w ogóle się nie liczą w tym domu?

Słownik wypadł Emmie z rąk i nawet tego nie zauważyła. Odwróciła się do drzwi i wyszła jak poruszana sznurkiem marionetka.

– Thomas...

– Skończ z tym swoim „Thomas” i „Thomas” – przedrzeźniał matkę za jej plecami ojciec. – Zasnąłem pół godziny temu. Jeśli jutro nie będę w sądzie w formie, jeśli przegram tę sprawę, będzie to koniec kancelarii, a ty będziesz mogła zapomnieć o domu, samochodzie i dziecku.

– Wiem...

– Nic nie wiesz. Już sama Emma absorbuje nas do tego stopnia, że ledwie dajemy radę, ale ty koniecznie chcesz drugiego bachora, który już w ogóle nie da mi spać. Psiakrew. Tylko ja tu zarabiam, jeśli nie uszło to twojej uwagi. I potrzebuję snu!

Emma była już w połowie korytarza, ale głos ojca nie robił się cichszy. Tylko głos matki.

– Ciii, Thomas, kochanie. Uspokój się.

– Jak mam się tu uspokoić?

– Zostaw to mnie. Proszę. Ja się tym zajmę, dobrze?

– Zajmiesz się? Odkąd znów jesteś w ciąży, i tak zajmujesz się tylko sobą.

– Wiem, wiem. Mój błąd. No, już, chodź tu do mnie, zaraz będzie dobrze...

Emma zamknęła drzwi do swojego pokoju i odgrodziła się od głosów rodziców, dochodzących z sypialni.

Ale nie od głosów we własnej głowie.

*Zjeżdżaj stąd! Albo...*

Otarła łzy i czekała, aż zniknie jej szum w uszach, ale nic takiego nie następowało. Podobnie jak nie zniknął z jej pokoju blask księżyca, który świecił tu jaśniej niż u rodziców. Rolety u niej były zrobione z cienkiego lnu, na dodatek nad jej łóżkiem błyszcząły przyklejone do sufitu świecące gwiazdy.

*Moje łóżko.*

Emma chciała się tam zaszyć i płakać pod kołdrą, ale mogła zrobić to dopiero wtedy, kiedy będzie pewna, że ducha nie ma już w kryjówce. Że nie skoczy na nią, kiedy będzie spała, że znów zniknął, jak za każdym razem, kiedy mama sprawdzała razem z nią.

Stara szafa to był prawdziwy potwór z niezbyt wyszukaną snycerką na dębowych drzwiach, które przy otwieraniu naśladowały skrzypiący śmiech starej czarownicy.

Tak jak teraz.

*Proszę, niech on zniknie.*

– Hej? – powiedziała Emma do czarnej otchłani, która otworzyła się przed jej oczami. Szafa była tak duża, że jej rzeczy zajmowały tylko lewą stronę. W drugiej połowie było miejsce na ręczniki i obrusy matki.

I na Arthura.

– Hej – odpowiedział duch głębokim głosem. Zawsze brzmiało to tak, jakby zasłaniał usta dłonią. Albo chustką.

Emma wydała piskliwy okrzyk. Ale jakoś dziwnie tym razem nie czuła tego głębokiego, wszechogarniającego strachu, tak jak wcześniej, kiedy pierwszy raz coś zadudniło w szafie, i podeszła do niej, żeby zobaczyć, co to jest.

*Pewnie strach jest jak torba pełna żelków i po prostu zjadłam już wszystkie w sypialni rodziców.*

– Jeszcze tu jesteś.

– Oczywiście. Myślisz, że zostawiłbym cię samą?

*Chciałabym, żeby tak było.*

– A co by było, jakby tata tu ze mną przyszedł?

Arthur zaśmiał się cicho.

– Wiedziałem, że nie przyjdzie.

– A skąd?

– Czy kiedykolwiek zatroszczył się o ciebie?

Emma zawahała się.

– Tak.

*Nie. Chyba nie pamiętam.*

– Ale mama...

– Twoja mama jest słaba. Dlatego ja tu jestem.

– Ty? – Emma pociągnęła nosem.

– Powiedz... – Arthur zrobił krótką przerwę i jego głos stał się jeszcze głębszy.

– Płakałaś?

Emma przytaknęła. Nie wiedziała, czy duch ją widzi, ale prawdopodobnie jego oczy nie potrzebowały światła. Być może nawet nie miał oczu, nie była tego pewna. Jeszcze nigdy nie widziała Arthura.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Tata mnie skrzyczał.

– Co powiedział?

– Powiedział... – Emma wzięła głęboki oddech. Słyszeć głosy we własnej głowie to jedno. A wypowiedzieć je na głos to drugie. To bolało. Ale Arthur uparł się i Emma bała się, że będzie tak samo zły jak tata, więc je powtórzyła. – Zjeżdżaj stąd albo to ja zrobię ci krzywdę.

– Tak powiedział?

Emma znów przytaknęła. I wydawało się, że Arthur naprawdę widzi w ciemności, bo zareagował na to skinienie pełnym dezaprobaty chrząknięciem, a potem zrobił coś zupełnie zdumiewającego. Wyszedł ze swojej kryjówki. Pierwszy raz.

Duch, który był dużo większy, niż go sobie wyobrażała, odsunął na bok kilka wieszaków i wychodząc, pogłaskał ją po włosach palcami w rękawiczce.

– Kładź się już do łóżka.

Spojrzała na niego i zeszywniała. Zamiast jego twarzy zobaczyła zdeformowane odbicie swojej. Jakby patrzyła w lustro w gabinecie strachu, zamontowane na długiej czarnej kolumnie.

Minęła chwila, aż zdała sobie sprawę, że Arthur ma na głowie kask motocyklowy, a w jego wizjerze widzi wykrzywione odbicie własnej twarzy.

– Zaraz wracam – obiecał i odwrócił się do drzwi.

Jego kroki wydały się Emmie znajome, ale za bardzo rozpraszał ją ostry przedmiot w prawej dłoni Arthura.

Musiały upłynąć lata, zanim sobie uświadomiła, że to, co wtedy zobaczyła, to była strzykawka.

Z długą igłą, która srebrzyście błyszczała w świetle księżyca.

*Jeśli człowiek raz skłamie, nikt mu już nie uwierzy,  
nawet jeśli powie prawdę.*

Prysłowie



# 1

## 28 lat później

**P**roszę tego nie robić. Ja kłamałam. Proszę, nie...

Widzowie, prawie sami mężczyźni, starali się robić obojętne miny, kiedy patrzyli na udrękę półnagiej, czarnowłosej kobiety.

– Wielki Boże, to błąd. Przecież ja to wszystko tylko wymyśliłam. Ogromny błąd... Pomocy!

Jej krzyki rozbrzmiewały w otynkowanym na biało sterylnym pomieszczeniu, słowa były doskonale zrozumiałe. Nikt nie będzie się mógł później usprawiedliwiać, że zaszło jakieś nieporozumienie.

Kobieta tego wszystkiego nie chciała.

Mimo to pulchny brodaty mężczyzna z krzywymi zębami wbił igłę strzykawki w zgięcie unieruchomionej ręki.

Mimo to nie zdjęto jej elektrod przymocowanych do czoła i skroni ani obręczy opasującej głowę, przez co wyglądała jak te nieszczęsne małpy z laboratoriów doświadczalnych, gdzie otwierano im czaszki i wprowadzano sondy do mózgu.

Zresztą, prawdę mówiąc, to, co jej teraz robiono, daleko od tego nie odbiegało.

Kiedy narkotyk i środek zwiotczający mięśnie zaczęły działać, podłączono ją do respiratora. Potem zastosowano uderzenia prądem. Czteryście siedemdziesiąt pięć woltów, siedemnaście następujących jeden po drugim impulsów, aż dostała napadu drgawek.

Na obrazie z ustawionej pod ostrym kątem kamery monitoringu nie było widać, czy czarnowłosa kobieta się wypręża, czy jej kończyny spazmatycznie drgają. Plecy ubranych w kitle i maski ochronne postaci zasłaniały widok widzom. Ale krzyki umilkły. I w końcu zatrzymało się również nagranie i w sali zrobiło się trochę jaśniej.

– To, co państwo właśnie widzieli, jest szokującym przypadkiem... – zaczęła swój wywód doktor Emma Stein i przerwała na chwilę, żeby trochę przybliżyć mikrofon, by uczestnicy konferencji mogli ją lepiej słyszeć. Zaczęła trochę

żałować, że odmówiła skorzystania ze schodka, który zaproponował jej technik, kiedy sprawdzał dźwięk. Zazwyczaj sama o niego prosiła, ale facet w niebieskim kombinezonie uśmiechnął się z taką wyższością, że Emma świadomie zrezygnowała z podwyższenia, wskutek czego zmuszona była teraz wspinać się za mównicą na palce. – ...jest szokującym przypadkiem przymusowego leczenia psychiatrycznego, od którego, jak się wydawało, już dawno odstąpiono.

Podobnie jak Emma większość obecnych również była psychiatrami. Nie musiała więc wyjaśniać kolegom, że jej krytyka nie odnosi się do metody terapii elektrowstrząsowej. Choć przepuszczanie prądu przez mózg człowieka brzmiało trochę jak metoda ze średniowiecza, to rezultaty w leczeniu psychoz i depresji z jej zastosowaniem były obiecujące. Zabieg przeprowadzany w znieczuleniu ogólnym niemal nie dawał działań ubocznych.

– To nagranie z kamery monitoringu w sali operacyjnej udało nam się wykraść z hamburskiej kliniki Orphelio. Pacjentka, którą państwo właśnie widzieli, została tam skierowana trzeciego maja ubiegłego roku. Wstępna diagnoza brzmiała: psychoza schizoidalna, i bazowała wyłącznie na wypowiedziach samej trzydziestoczteroletniej pacjentki, uzyskanych od niej podczas wywiadu lekarskiego. W rzeczywistości kobieta była zdrowa jak rydz. Rzekoma pacjentka tylko udawała objawy.

– Dlaczego? – zapytał ktoś trochę na lewo od niej, mniej więcej w środku sali. Mężczyzna musiał niemal krzyczeć, żeby Emma zrozumiała go w przypominającym wielką salę teatralną pomieszczeniu. Niemieckie Towarzystwo Psychiatryczne wynajęło na swoją doroczną specjalistyczną konferencję główną salę Międzynarodowego Centrum Kongresowego w Berlinie. Z zewnątrz MCK przypominało srebrną stację kosmiczną, która z nieskończonego wszechświata wpadła prosto pod wieżę telewizyjną. Po wejściu do tego skażonego przypuszczalnie azbestem budynku z lat siedemdziesiątych miało się już jednak skojarzenia raczej z filmem retro niż z futurystyczną wizją przyszłości. W wyposażeniu wewnątrz dominowały chrom, szkło i czarna skóra.

Emma wodziła wzrokiem po gęsto wypełnionych rzędach krzeseł, ale nie mogła znaleźć osoby, która zadała pytanie, mówiła więc w kierunku, gdzie, jak przypuszczała, osoba ta powinna się znajdować.

– Odpowiem na to pytaniem: czy mówią coś państwu eksperymenty Rosenhana?

Jeden ze starszych wiekiem kolegów, który siedział na wózku inwalidzkim z boku pierwszego rzędu, skinął twierdząco głową.

– Pierwszy raz przeprowadzono je na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w celu sprawdzenia wiarygodności diagnoz psychiatrycznych.

– Emma, jak zawsze, kiedy była trochę zdenerwowana, okręciła wokół lewego

palca wskazującego pasmo gęstych włosów w kolorze tekowego drewna. Nic nie jadła przed wygłoszeniem referatu, ze strachu, że będzie zmęczona albo będzie się jej odbijać. Teraz kotłowało się jej w brzuchu tak głośno, że mikrofon mógł transmitować burczenie i dawać nową pożywkę żartom, które z pewnością wywoływał jej gruby tyłek. Fakt, że poza tą częścią ciała była dość szczupła, dodatkowo potęgował w jej oczach tę wadę figury.

*Na górze kij od miotły, na dole kula do burzenia budynków*, pomyślała dziś wczesnym rankiem, kiedy przyglądała się krytycznie swemu odbiciu w lustrze w łazience.

W następnej chwili Philipp objął ją od tyłu i powiedział, że ma najpiękniejsze ciało, jakiego kiedykolwiek dotykał. A przy całusie na pożegnanie w drzwiach przyciągnął ją do siebie i szepnął jej do ucha, że gdy tylko wróci, niezwłocznie będzie potrzebował terapii małżeńskiej z najbardziej pociągającą erotycznie lekarką psychiatrii w Charlottenburgu. Czuła, że mówił to poważnie, ale wiedziała również, że jej mąż jest bardzo biegły w rozdawaniu komplementów. Flirty, do których musiała się przyzwyczaić, po prostu leżały w naturze Philippa i rzadko przepuszczał okazję, żeby potrenować.

– W ramach eksperymentu Rosenhana, nazwanego tak od nazwiska amerykańskiego psychologa Davida Rosenhana, do szpitali psychiatrycznych zgłosiło się osiem całkowicie zdrowych osób. Studenci, gospodynie domowe, malarze, psychologowie i lekarze. W momencie przyjęcia do szpitala wszyscy opowiadali taką samą historię, a mianowicie, że słyszą głosy. Dziwne, niesamowite głosy, które wypowiadały słowa takie jak „głuchy”, „przytłumiony” albo „pusty”.

Nie będą państwo zaskoczeni, słysząc, że wszyscy pacjenci zostali przyjęci, większość z nich ze zdiagnozowaną schizofrenią albo psychozą maniako-depresyjną.

Chociaż testowane osoby, co zostało udowodnione, były zdrowe i po przyjęciu do szpitala zachowywały się zupełnie normalnie, przez kilka tygodni były leczone w różnych zakładach i podobno zażyły w sumie ponad dwa tysiące tabletek.

Emma zwilżyła usta łykiem wody ze stojącej na pulpicie mównicy szklanki. Malowała usta szminką, chociaż Philipp wolał ją w, jak to określał, „naturalnym makijażu”. Miała rzeczywiście niezwykle gładką skórę, która, jej zdaniem, była zbyt blada, zwłaszcza w zestawieniu z intensywnym kolorem włosów. Nie rozumiała, z jakiego powodu miałyby to stanowić „miły kontrast”, jak twierdził Philipp.

– Jeśli myśłą państwo, że lata siedemdziesiąte są już dawno za nami, że było to inne stulecie, a więc średniowiecze nauk psychiatrycznych, to przedstawione przed chwilą nagranie unaocznilo wam, że jesteście w błędzie: sfilmowane

wydarzenia miały miejsce w zeszłym roku. Ta młoda kobieta dobrowolnie wzięła udział w teście. Powtórzyliśmy eksperyment Rosenhana.

Przez salę przeszedł szmer. Przypuszczalnie był to wyraz nie tyle obaw przed poznaniem skandalicznych rezultatów eksperymentu, ile zaniepokojenia, że być może niektórzy z obecnych nieświadomie w nim uczestniczyli.

– Ponownie wysłaliśmy rzekomych pacjentów do szpitali psychiatrycznych, znów przetestowaliśmy, co się dzieje, kiedy zupełnie zdrowych ludzi umieści się w zamkniętym zakładzie. Rezultaty były przerażające.

Emma wypła drugi łyk i kontynuowała:

– U kobiety na nagraniu zdiagnozowano paranoję schizoidalną na podstawie jednego zdania, jakie wypowiedziała w momencie zgłoszenia się do szpitala. Była na nią leczona przez ponad miesiąc. Nie tylko farmakologicznie i rozmowami z psychoterapeutą, lecz również z zastosowaniem przemocy bezpośredniej. Jak mogli państwo sami zobaczyć i usłyszeć, pacjentka wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie życzy sobie leczenia elektrowstrząsami. Nic dziwnego, przecież jest całkowicie zdrowa. Mimo to stosowano u niej leczenie przymusowe. Chociaż wyraźnie się temu sprzeciwiała. Chociaż po przyjęciu do zakładu nie stwierdzono u niej żadnych odchyśleń od normy i wielokrotnie zapewniała zajmujących się nią lekarzy, że jej stan się unormował. Ale lekarze nie słuchali ani jej, ani pielęgniarzy czy innych pacjentów. Tymczasem w przeciwieństwie do lekarzy, którzy mieli z nią tylko sporadyczny kontakt, osoby, z którymi przebywała przez dłuższy czas, były pewne, że kobieta ta absolutnie nie powinna trafić do zakładu zamkniętego.

Emma zobaczyła, że ktoś wstał w przedniej części sali. Dała umówiony znak technikowi, żeby dał trochę więcej światła. Kiedy dostrzegła dryblasowatego mężczyznę z rzadkimi włosami, poczekała, aż długonoga asystentka przecisnę się między rzędami krzesel i poda mu mikrofon.

Mężczyzna puknął dłonią w mikrofon, po czym powiedział:

– Stauder-Mertens, Klinika Uniwersytecka w Kolonii, za pozwoleniem, szanowna koleżanko. Pokazuje nam tu pani niewyraźne nagrania jak z horroru, o których pochodzeniu i sposobie ich zdobycia wolelibyśmy nie wiedzieć, i wysuwa pani nieprawdopodobne twierdzenia, które, jeśli kiedykolwiek trafią do wiadomości opinii publicznej, przyniosą naszemu zawodowi ogromne szkody.

– Czy poza tym chciałby pan może o coś zapytać? – nie dała się zbić z tropu Emma.

Lekarz o podwójnym nazwisku skinął głową.

– Czy ma pani coś więcej oprócz wypowiedzi tej niby-pacjentki?

– Osobiście wybrałam ją do tego eksperymentu.

– W porządku, ale czy jest pani gotowa włożyć za nią rękę w ogień?

Zastanawiam się, skąd pani wie, że ta osoba rzeczywiście jest zdrowa?

Nawet z daleka Emma zobaczyła taki sam pewny siebie uśmiech, jaki rozzłościł ją już u technika.

– Do czego pan zmierza, panie Stauder-Mertens?

– Chodzi mi o to, że ktoś, kto pod fałszywym pretekstem daje się dobrowolnie umieścić na długie tygodnie w zamkniętym zakładzie, jest osobą, która, wyrażając się oględnie, musi mieć szczególną strukturę psychiczną. Kto pani da gwarancję, że ta dziwna kobieta nie cierpiała mimo wszystko na te zaburzenia, z powodu których była leczona i które, być może, ujawniły się dopiero podczas jej pobytu w szpitalu?

– Ja sama – odpowiedziała Emma.

– Ach, więc była pani z nią przez cały czas? – zapytał mężczyzna z lekką ironią w głosie.

– Tak.

Jego pewny siebie uśmieшек znikł.

– Pani?

Emma skinęła głową i w sali zapanowało widoczne poruszenie.

– Tak, ja – potwierdziła Emma. Głos jej drżał z przejęcia, ale też z wściekłości, jaką budził w niej przerażający wynik eksperymentu. – Szanowni koledzy, widzieli państwo testowaną osobę wyłącznie od tyłu i z ufarbowanymi włosami, ale tą kobietą, która wbrew wyraźnej artykułowanej woli została najpierw odurzona narkotykami, a następnie poddana elektrowstrząsom, tą kobietą byłam ja.



## 2

### Dwie godziny później

Emma sięgnęła po swoją walizkę i przy wejściu do pokoju 1904 zawahała się z prostego powodu – bo prawie nic nie widziała. Słabe światło, które przebijało się w ciemności, pochodziło z niezliczonych latarni dużego miasta, dziewiętnaście piętér pod nią.

Le Zen przy Tauentzienstraße w Berlinie był najnowszym pięciogwiazdkowym pałacem z chromu i szkła z ponad trzystoma pokojami. Wyższy i bardziej luksusowy od wszystkich pozostałych stołecznych hoteli. I – przynajmniej w oczach Emmy – urządzony w dość złym guście.

W każdym razie takie było jej pierwsze wrażenie, kiedy już znalazła główny włącznik przy wejściu i zapaliło się światło pod sufitem.

Umeblowanie wyglądało tak, jakby zamówiono je u praktykanta w pracowni architektury wewnątrz. Przy wyborze wyposażenia kierowano się dalekowschodnim stylem życia.

W przedpokoju, który od sypialni oddzielały tylko cienkie rozsuwane drzwi pokryte bibułą, stała chińska szafa weselna. Na podłodze pomiędzy drzwiami a niskim futonem leżał bambusowy chodnik. Lampy obok kanap przypominały kolorowe lampiony z pochodów w Dzień Świętego Marcina, które każdego roku organizowało przedszkole na osiedlu przy Heerstraße. Zaskakująco stylowa natomiast była ogromna czarno-biała fotografia pomiędzy sofą a szafą w ścianie, przedstawiająca nadnaturalnej wielkości portret Ai Weiwei, który sięgał od podłogi do sufitu. Emma dopiero niedawno była na wystawie tego chińskiego fotografika.

Oderwała wzrok od mężczyzny z potarganą brodą, powiesiła płaszcz w szafie i wyjęła z torebki telefon komórkowy.

Poczta głosowa.

Próbowała już kilka razy, ale Philipp nie odbierał. Jak zwykle, kiedy był na akcji.

Z westchnieniem podeszła do weneckiego okna, zdjęła wysokie czółenka, bez których skurczyła się do przeciętnego wzrostu czternastolatki, i popatrzyła w dół na Kurfürstendamm. Pogłaskała się po brzuchu, który się jeszcze nie powiększył, było na to trochę za wcześnie. Ale myśl o tym, że rosło w niej coś, co było dużo ważniejsze od każdego seminarium i zawodowego uznania, uspokoiła ją.

Minął jakiś czas, kiedy wreszcie pięć tygodni temu na teście ciążowym pokazała się druga kreska. I to też było powodem, dlaczego Emma nie spała dziś w domu, lecz po raz pierwszy we własnym mieście nocowała w hotelu. Jej mały dom na Teufelssee-Allee przypominał obecnie plac budowy, bo zaczęli przebudowywać strych na pokój dziecienny. Chociaż Philipp twierdził, że rozpoczynanie budowy gniazda przed końcem pierwszego trymestru ciąży jest, być może, przejawem lekkiej nadgorliwości.

Ponieważ co i raz wysyłano go do innego miasta, Emma przyjęła bezpłatny nocleg, który Niemieckie Towarzystwo Psychiatryczne zaoferowało każdemu prelegentowi zaproszonemu na dwudniowy kongres; nawet tym, którzy mieszkali w Berlinie, żeby na wspólnym wieczornym bankiecie (który Emma właśnie opuściła) w sali balowej hotelu mogli też trochę wypić.

– Odczyt skończył się tak, jak przewidziałeś – nagrała się Philippowi na sekretarce. – Jednak mnie nie ukamienowali, ale tylko dlatego, że nie mieli ze sobą kamieni.

Uśmiechnęła się.

– W każdym razie nie odebrali mi pokoju w hotelu. Karta do pokoju, którą dostałam razem z materiałami na kongres, wciąż działa.

Posłała Philippowi całusa, rozłączyła się i straszliwie za nim zatęskniła.

*Lepiej być samą tu w hotelu, niż samą w domu pomiędzy wiadrami farby i wyburzonymi ścianami*, próbowała doszukiwać się dobrych stron w obecnej sytuacji.

Poszła do łazienki i zdejmując garsonkę, szukała w podwieszanym suficie regulatora głośnika, który transmitował głos z telewizora.

Na próżno.

Musiała więc znowu wrócić do pokoju i wyłączyć telewizor. Trwało chwilę, zanim znalazła pilot w jednej z szuflad nocnego stolika, dlatego została teraz szczegółowo poinformowana o katastrofie samolotu w Ghanie i wybuchu wulkanu w Chile.

Usłyszała, jak spiker telewizyjny nosowym głosem podaje nowy komunikat.

– *...policja ostrzega przed seryjnym mordercą, który kobiety...* – Przerwała mu, naciskając przycisk.

W łazience potrzebowała chwili, żeby znaleźć regulację temperatury.

Uwielbiała ciepłą wodę, nawet teraz, w lecie, i nawet jeśli woda miała

dwadzieścia stopni, odczuwała nieprzyjemny chłód, zwłaszcza w wietrzny czerwcowy dzień.

Ustawiła więc cyfrowy regulator temperatury prysznica na czterdzieści stopni, granicę jej bólu, i czekała na mrowienie, które pojawiało się zawsze, gdy gorący strumień dotknął skóry.

Zazwyczaj ożywiała się, gdy tylko otoczyła ją para wodna i poczuła na ciele gorącą wodę, ale dzisiaj efekt okazał się słabszy, pewnie dlatego, że wodą i hotelowym mydłem nie mogła zmyć błota, którym obrzucono ją po odczycie.

Reakcje na ujawnienie faktu, że nawet w XXI wieku ludziom grozi niebezpieczeństwo, że z powodu sporządzonej po partacku błędnej diagnozy staną się pionkami w grze nadużywających władzy półbogów w bieli, były gwałtowne. Wiele razy pytano ją o trafność wyników badań. Wydawca najbardziej renomowanego fachowego pisma zapowiedział nawet skrupulatne sprawdzenie, zanim „rozważy” opublikowanie artykułu o jej pracy.

Na bankiecie niektórzy koledzy obiecali jej wsparcie, ale nawet w oczach nielicznych, którzy klepali ją po ramieniu, mogła wyczytać niemy zarzut: *Dlaczego sama narażasz się na niebezpieczeństwo tym głupim autoeksperymentem? A w ogóle: dlaczego narażasz swoją karierę i przeciwstawiasz się wpływowej i potężnej branży szpitalnej?*

Pytanie, jakiego Philipp nigdy by jej nie zadał. Rozumiał, czemu Emma od lat walczy o polepszenie praw pacjentów leczonych psychiatrycznie. Z powodu choroby psychicznej traktuje się ich bardziej podejrzliwie niż pacjentów, którzy na przykład skarżą się na niewłaściwe leczenie stomatologiczne.

Philipp rozumiał też, dlaczego wybierała w tym celu niezwykłe, czasem niebezpieczne sposoby. Bez wątpienia w tym punkcie byli do siebie bardzo podobni.

W swojej pracy Philipp też przekraczał granice, których normalny człowiek dobrowolnie by nie przekroczył. Po prostu dlatego, że psychopaci i seryjni mordercy, których ścigał jako kierownik wydziału operacyjnej analizy spraw kryminalnych, często nie dawali mu wyboru.

Niektóre pary mają takie samo poczucie humoru, u innych podstawą jest podobny sposób spędzania wolnego czasu albo wspólne poglądy polityczne. Emma i Philipp natomiast śmiali się z zupełnie innych żartów, ona nie widziała niczego zajmującego w futbolu, on w jej miłości do musicali, ona w młodości demonstrowała przeciwko broni atomowej i przemysłowi futrzarskiemu, on był członkiem Młodej Unii, organizacji młodzieżowej CDU i CSU. To, co było fundamentem ich związku, nazywało się: empatia.

Intuicja i doświadczenie umożliwiały im wczuwanie się w dusze innych ludzi i wydobywanie na światło dzienne tajemnic ich psychiki.

Podczas gdy Emma starała się uwolnić od psychicznych problemów pacjentów, którzy przychodzili do jej prywatnego gabinetu przy Savignyplatz, Philipp wykorzystywał swoje nadzwyczajne zdolności do sporządzania profili zachowania i osobowości. Ludzi o jego zawodzie autorzy scenariuszy seriali filmowych chętnie nazywają „profileraami”, ale w prawdziwym życiu używa się nazwy analitycy spraw kryminalnych. Dzięki analizom Philippa ujęto już kilku z najbardziej niebezpiecznych przestępców, jacy kiedykolwiek żyli w Republice Federalnej.

Ale ostatnio Emma zapragnęła, żeby oboje trochę się ograniczyli. Nie opuszczała jej myśl, że Philippowi coraz trudniej mieć niezbędny dystans do pracy w ich i tak bardzo krótkim wolnym czasie. I bała się, że znajdują się na najlepszej drodze do potwierdzenia słuszności maksymy Nietzschego o przepaści; kiedy się w nią długo patrzy, zagląda się w samego siebie.

*Przerwa albo przynajmniej urlop. To by było coś.*

Ostatnio pojechali gdzieś razem tak dawno temu, że prawie tego nie pamiętała.

Emma namydliła głowę hotelowym szamponem i mogła mieć tylko nadzieję, że jutro rano nie będzie wyglądać jak pudel. Jej włosy bardzo mocno reagowały na nieodpowiednie kosmetyki. Kosztowało ją to niezliczoną ilość prób i dużo łez, zanim odkryła, co sprawia, że jej grzywka błyszczy, a co zamienia jej głowę w spłaszczoną poduszkę.

Wypłukała włosy, odsunęła zasłonę prysznicza i zdążyła się jeszcze zdziwić, dlaczego w takim drogim hotelu nie zamontowano rozsuwanych szklanych drzwi, kiedy z sekundy na sekundę nie była już zdolna do sformułowania jasnej myśli.

Strach był tym, co czuła.

Ucieczka była tym, o czym pomyślała w pierwszej chwili, gdy ujrzała napis.

Na łazienkowym lustrze.

Starannie wykaligrafowanymi literami, w poprzek zaporowanego szkła ktoś napisał:

**UCIEKAJ.**

Zanim będzie za późno!

### 3

Słucham?

– Przepraszam, że przeszkadzam. Wszystko w porządku?

Wysoka szczupła Rosjanka w drzwiach wyglądała na szczerze zatroskaną. Posługiwała się tylko łamanym niemieckim i nie sprawiła na Emmie wrażenia kogoś, kto niepotrzebnie zaprzęta sobie głowę bliźniami. Raczej modelki, świadomej swojej urody, przekonanej, że jest pępkiem świata. Ubrana była w obcisłą designerską garsonkę, wykąpana w perfumach Chanel, na nogach miała zapewne horrendalnie drogie szpilki, w których nawet Emma mogłaby patrzeć na innych z góry.

– Kim pani jest? – zapytała Emma i była zła, że otworzyła drzwi. Stała boso przed słowiańską pięknoscią, z mokrymi włosami, ubrana tylko w pośpiesznie narzucone hotelowe kimono. Materiał, z którego zostało uszyte, był tak cienki, że na pewno odznaczała się pod nim każda wypukłość jej nagiego ciała, o wiele bardziej niedoskonałego niż sylwetka Rosjanki.

– Przepraszam. Ściany są bardzo cienkie. – Kobieta odgarnęła z czoła kosmyk jasnoblond włosów. – Właśnie przechodziłam. Usłyszałam krzyk.

– Słyszała pani krzyk? – zapytała bezdźwięcznie Emma.

Pamiętała tylko, że zakręciło się jej w głowie, czego przyczyną była nie tylko wiadomość napisana na lustrze, lecz pewnie także o wiele za gorący prysznic.

Oba te powody sprawiły, że dosłownie straciła grunt pod nogami.

Przez chwilę Emmie udało się przytrzymać umywalki, potem osunęła się na kafelki, żeby z podłogi wbić wzrok w litery.

UCIEKAJ.

Zanim będzie za późno!

– Słyszałam też płacz – dodała Rosjanka.

– To jakaś pomyłka – odparła Emma, chociaż bardzo prawdopodobne, że wybuchnęła płaczem. W każdym razie wciąż piekły ją oczy. Wiadomość na lustrze obudziła w niej najczarniejsze wspomnienia.

*Szafa.*



Skrzypiące drzwi, za którymi siedział w kucki mężczyzna w motocyklowym kasku.

*Arthur.*

Duch, który towarzyszył jej przez niezliczone noce. Ciągłe i ciągle. Najpierw jako potwór, później przyjaciel. Tak długo, aż w końcu w wieku lat dziesięciu została „wyleczona”, chociaż w psychoterapii właściwie nie istniało takie określenie. Psychologowi dziecięcemu, do którego musiała wtedy chodzić, po wielu sesjach udało się przepędzić demona. Z jej szafy i z głowy. Wtedy też uświadomił jej, kto tak naprawdę był tym urojeniem.

*Tata!*

Od czasu tamtych sesji terapeutycznych, które obudziły w niej zainteresowanie jej dzisiejszym zawodem, Emma wiedziała, że nigdy nie było żadnego ducha. Ani Arthura. Zawsze był tylko ojciec, który odpychał ją i straszył, a mimo to chciała go mieć blisko siebie jako sojusznika. Żeby był wyłącznie dla niej. Zawsze w pobliżu. O każdej porze pod telefonem, nawet w nocy w szafie.

Ale ojciec nigdy nie został przyjacielem Emmy. Ani w dzieciństwie, ani w czasie studiów, ani teraz, kiedy była zamężną lekarką psychiatrii, teraz tym bardziej nie. Ważniejsza była dla niego praca. Akta, świadkowie i procesy. Wychodził z domu wcześniej rano, a wieczorem przychodził spóźniony na rodzinne uroczystości. Albo wcale.

Chociaż już od dawna nie pracował, właśnie dzisiaj udało mu się wysłać kartkę na jej urodziny. I z całą pewnością podyktowała mu ją mama, z którą spędzał na Majorce jesień swojego życia. Sformułowania takie, jak „tęsknię za tobą” albo „mam nadzieję, że w tym roku uda nam się spędzić ze sobą trochę więcej czasu”, po prostu nie należały do słownika choleryka. Raczej coś takiego jak:

*Zjeżdżaj stąd, i to już, albo to ja zrobię ci krzywdę.*

A teraz podobną groźbę zobaczyła na lustrze w hotelowej łazience.

Czy mógł to być przypadek?

*Oczywiście!*

Zanim jeszcze rozległo się pukanie do drzwi, Emma znalazła już logiczne wyjaśnienie incydentu.

*Żart!*

Poprzedni gość z tego pokoju musiał przed wymeldowaniem nabazgrać to tłustymi paluchami na suchym lustrze, żeby przestraszyć gościa, który wynajmie pokój po nim. I to mu się udało. Tak bardzo, że na jej krzyk zleciało się pół hotelu. Gwałtowna reakcja Emmy zapewne przeraziłaby dowcipnisia, który nie mógł przecież przypuszczać, że słowa na lustrze obudzą w kimś dawną traumę.

Wtedy nie wyprowadziła jej z równowagi groźba ojca, lecz to, że właśnie tej

nocy Arthur pierwszy raz wyszedł z szafy. Kask motocyklowy, strzykawka, głos... wszystko wydawało się takie realne.

I czasem było realne w jej wspomnieniach.

– Wszystko dobrze? – zapytała Rosjanka, mierząc ją wzrokiem, w którym widać było dziwną mieszankę troski i zniecierpliwienia. A potem powiedziała coś, co było jednocześnie i miłe, i straszne, tak że Emma nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać.

– Klient sprawia kłopoty?

*O Boże.*

Oczywiście.

*To prostytutka!*

Stąd jej elegancja. W Le Zen nocowała połowa kongresu. Hotel był pełen samotnych mężczyzn w jednoosobowych pokojach. Ilu z nich zameldowało się na dzisiejszą noc w towarzystwie dziewczyn? A już na pewno takie gnojki jak Stauder-Mertens. Tacy na bank wykorzystują każdą okazję, kiedy się wyrwą z domu od żony i rodziny.

– Jeśli potrzebna jest pomoc, to...

– Nie, nie. To miłe, dziękuję, ale...

Emma pokręciła głową.

*...ale ja nie jestem prostytutką. Tylko przestraszoną lekarką psychiatrii.*

Jakie to urocze, że chciała jej pomóc. I jakie okropne, że nauczyła się obchodzić z mężczyznami bijącymi kobiety. *I z pobitymi prostytutkami, które wyjąc, siedziały w kucki na wykładanej kamiennymi płytkami podłodze hotelowej łazienki.* Emma uśmiechnęła się, ale sądziła, że ten uśmiech specjalnie jej się nie udał. W ciemnych oczach Rosjanki zobaczyła, że wcale nie rozwiąła jej wątpliwości, dlatego postanowiła powiedzieć jej prawdę.

– Bez obaw. Jestem całkiem sama w pokoju. Ale myślę, że ktoś się do niego wślizgnął i po kryjomu obserwował mnie, kiedy brałam prysznic.

– Podglądacz?

– Tak. Ale to tylko głupi żart poprzedniego gościa.

– No ładnie.

Dziewczyna do towarzystwa wciąż sprawiała wrażenie nieprzekonanej, ale tylko wzruszyła ramionami i spojrzała na rolexa na nadgarstku. Potem pożegnała się pierwszym poprawnie powiedzianym zdaniem:

– Uważaj, żeby nic ci się nie stało. – Prawdopodobnie często słyszała to zdanie od swoich koleżanek.

Emma podziękowała jej i zamknęła drzwi. Przez wizjer widziała, jak Rosjanka oddala się korytarzem w prawo.

Windy były na lewo. Ale zapewne czekało ją jeszcze „spotkanie”.

Z bijącym sercem Emma zamknęła drzwi na wszystkie przewidziane do tego zamki i zasuwki i dopiero wtedy poczuła, jaka jest zmęczona. Najpierw odczyt, potem lustro, teraz rozmowa z Rosjanką. Tęskniła za odpoczynkiem. Kilkoma godzinami snu.

*Najlepiej w ramionach Philippa.*

Dlaczego teraz go z nią nie było, żeby mogli wspólnie pożartować z tej głupiej sytuacji?

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zadzwonić do swoich najlepszych przyjaciół, Sylvie albo Konrada, ale wiedziała, że byli na randce. Nie ze sobą, Konrad był gejem.

A poza tym, gdyby dodzwoniła się do któregoś z nich, co miała powiedzieć? „Wybacz, jestem trochę zdenerwowana, bo mam zaparowane lustro?”

*Miałam zaparowane*, stwierdziła, kiedy wróciła do łazienki, żeby umyć zęby.

Para zniknęła. Tak samo jak dowcipna wiadomość.

Jakby nigdy jej tam nie było.

## 4

Emma poczuła dreszcze.

Już tylko smugi świadczyły o parze, która się ulotniła i zostawiła po sobie brzydkie ślady na srebrzystym szkłe. Nie zastanawiając się, wytarła plamy myjką i w następnej chwili pożałowała, że nie chuchnęła na lustro, żeby odtworzyć wiadomość.

Potem się zezłościła, że nie jest już pewna nawet siebie.

– Co się z tobą dzieje? – szepnęła, przyciskając do głowy ręcznik.

*Wiadomość nie była urojeniem. Tylko głupim żartem. Nie ma powodu do obaw.*

Zgasiła światło w łazience, nie patrząc w lustro. Odwiesiła kimono do szafy i przebrała się w piżamę. Nie mogła się oprzeć paranoicznemu impulsowi i sprawdziła, czy w szafie nie ma tajnych skrytek, ale niczego nie znalazła. A skoro zaczęła już sprawdzać, przy okazji zajrzała za łóżko, za zasłony i jeszcze raz pozamykała zamki w drzwiach. Wszystko pod bacznym wzrokiem Ai Weiweia, którego oczy były tak sfotografowane, że obserwował Emmę niezależnie od tego, w jakim miejscu się znajdowała.

Wiedziała, że te działania nie miały sensu, a mimo to poczuła się lepiej, kiedy uległa tym irracjonalnym objawom stresu.

Kiedy po „obchodzie kontrolnym” wsunęła się wreszcie w świeżo wykrochmaloną pościel, poczuła się zmęczona i ociężała. Ostatni raz spróbowała zadzwonić do Philippa. Nagrała się na pocztę głosową, mówiąc: „Śnij o mnie, kiedy odsłuchasz wiadomość”, nastawiła budzik i zamknęła oczy.

Jak to się często zdarzało, kiedy była przemęczona i jednocześnie zdenerwowana, ciemność wypełniły migoczące światła i gra cieni, w których chciała się zanurzyć.

*Tylko dlaczego to powiedziałaś? – zadała sobie pytanie Emma w mglistym wspomnieniu swojego odczytu, kiedy już zapadała w sen. Dlaczego powiedziałaś, że sama byłaś tą torturowaną pacjentką z nagrania? To nie było zamierzone, zdarzyło się pod wpływem impulsu, bo Stauder-Mertens,*

narcystyczny dupek z Kolonii, sprowokował ją do tego.

*Czy ma pani coś więcej oprócz wypowiedzi tych niby-pacjentów?*

Tak, miała. Teraz wszystko się wydało. Niepotrzebna sensacja.

Odwróciła się na bok i starała się pozbyć wizji zgrai ludzi w centrum kongresowym. Coś kłuło ją w ucho, zapomniała wyjąć kolczyki z perłą.

*Dlaczego zawsze robisz coś takiego?* – zastanawiała się i jak często w fazie przejściowej pomiędzy jawą a snem zadawała sobie pytanie, dlaczego się nad tym zastanawia i co właściwie znaczy to „zawsze”, i jeszcze kiedy tkwiła w tej pętli myślowej, nagle się coś zdarzało.

Zasnęła.

Na krótko.

Nawet nie na dwie minuty.

Aż obudził ją hałas.

Buczenie.

W ciemności.

W bezpośredniej bliskości, tuż obok łóżka.

Emma odwróciła się na bok, otworzyła oczy i zobaczyła, że świeci się jej komórka. Położyła ją na podłodze, kabel ładowarki nie sięgał z gniazdka do nocnego stolika. Teraz kosztowało ją trochę wysiłku, żeby podnieść telefon z dywanu.

*Numer nieznany.*

– Kochanie? – zapytała w nadziei, że to Philipp oddzwania z telefonu z któregoś komisariatu.

– Pani doktor Stein?

Nigdy nie słyszała głosu tego mężczyzny. Zirytowała się rozczarowana, że nie rozmawia z Philippem. Kto do stu tysięcy diabłów dzwonił do niej późno w nocy?

– Mam nadzieję, że to coś ważnego.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Mówi Eigenhardt z recepcji Le Zen.

*Na moją komórkę?*

– Tak?

– Chcemy tylko zapytać, czy dzisiaj jeszcze się pani zamelduje?

– Słucham?

Bez skutku macała dłonią, szukając włącznika nocnej lampki.

– Co to znaczy, czy się zamelduję? Już śpię.

*W każdym razie próbuję.*

– Więc możemy anulować rezerwację pokoju?

*Czy on źle słyszy?*

– Nie, przecież powiedziałam: już się zameldowałam. Pokój 1904.



– Proszę wybaczyć, ale...

W głosie recepcjonisty słychać było zmieszanie.

– Co ale? – zapytała Emma.

– Ale u nas nie ma pokoju o takim numerze.

*Słucham?*

Emma usiadła na łóżku i popatrzyła na migoczącą lampkę czujnika dymu bezpośrednio nad sobą na suficie.

– Żarty pan sobie robi?

– W całym hotelu nie ma ani jednej czwórki. W Azji jest to nieszczęśliwy numer i dlatego...

Reszty zdania Emma nie mogła już wysłuchać, bo komórka nagle nie znajdowała się już w jej dłoni.

Za to usłyszała coś, co w ogóle nie było możliwe. Tuż przy uchu: chrząkanie.

Mężczyzny.

I kiedy odebrało jej mowę ze strachu, poczuła ucisk na ustach.

Smak tkaniny.

Jednocześnie coś ją ukłuło i przez wkłucie w zgięciu ręki popłynął chłodny płyn.

Mężczyzna znów chrząkał, a potem, kiedy była już pewna, że zamarza od wewnątrz, poczuła ostrza.

Niewidoczne w ciemności, ale aż nadto dobrze słyszalne tuż przed twarzą, ponieważ wibrowały.

*Srrrrrrrr.*

Wirujący nóż kuchenny, piła albo elektryczny korkociąg.

Gotowy do wbijania, rozcinania czy nakłuwania.

Usłyszała dźwięk otwieranego zamka błyskawicznego.

*Jestem w ciąży!* – chciała krzyknąć, ale język i wargi odmówiły posłuszeństwa.

Zupełnie pozbawiona możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu, nie mogła krzyczeć, wierzgać nogami ani machać rękami.

Tylko czekać, gdzie najpierw poczuje ból.

I modlić się, żeby jak najszybciej mieć za sobą ten koszmar.

Co nie nastąpiło.

## 5

### Sześć miesięcy później

Emma otworzyła oczy i zastanawiała się, jak długo mężczyzna obserwował ją, kiedy spała.

Profesor Konrad Luft siedział wygodnie w swoim ulubionym fotelu z rękami założonymi na brzuchu, jego zamyślony wzrok spoczywał z troską i smutkiem na jej twarzy.

– No i co? – zapytał i najpierw nie wiedziała, do czego zmierza jej najlepszy przyjaciel, ale potem spojrzała na stoliczek przy łóżku. Leżały na nim tabletki, jakie dali jej w klinice psychiatrycznej, na oddziale zamkniętym, dokąd skierował ją sędzia.

*Na wszelki wypadek.*

Gdyby miała bóle, kiedy się obudzi.

Wyprostowała ręce i nogi pod szpitalnym kocem i próbowała podeprzeć się łokciami na łóżku. Ale była na to za słaba, z powrotem opadła na poduszkę i potarła oczy.

Przespała transport, nic dziwnego przy ilości pigułek, które jej podano. Same działania uboczne zwaliłyby z nóg najsilniejszego słonia, na dodatek podano jej jeszcze środek uspokajający.

Po przebudzeniu musi upłynąć chwila, zanim rozpozna otoczenie. Pokój, w którym już wcześniej spędziła wiele godzin, wydawał się obcy, chociaż nie tak obcy jak oddział zamknięty, na którym spędziła ostatnie tygodnie.

Być może wzięło się to stąd, że Konrad niedawno odnowił swoją kancelarię, ale Emma w to wątpiła.

To nie pokój się zmienił, lecz ona.

Zapach farby i świeżo naolejowanego orzechowego parkietu wciąż wisiał w powietrzu, niektóre meble zostały przesunięte podczas prac, ale w zasadzie wszystko było tak jak podczas jej pierwszej wizyty przed prawie dziesięcioma laty. Wtedy usiadła na sofie w adidasach i dżinsach. Dzisiaj w nocnej koszuli

leżała na umożliwiającym regulację wysokości podglówka szpitalnym łóżku, niemal na środku pokoju. Ustawionym lekko pochyło, tak by widziała biurko Konrada i frontowe okno za nim.

– Skarbie, jestem pierwszą klientką, którą przywieziono do twojej kancelarii na noszach – zauważyła.

Konrad uśmiechnął się lekko.

– Miałem już kilkoro klientów, którzy nie nadawali się do transportu. Zwykle ja jechałem do nich. Ale w klinice odmawiasz wszelkiego kontaktu, Emmo. Nawet rozmów z lekarzami. Postarałem się więc o wyjątkowe zezwolenie sądowe.

– Dziękuję – powiedziała, chociaż nie było już niczego w jej życiu, za co mogłaby dziękować. Nawet za to, że mogła opuścić celę.

Rzeczywiście wzbraniała się przyjąć go w szpitalu. Nikt nie powinien jej widzieć w takim stanie. Chorej i rozbitej. Zamkniętej jak zwierzę. Nie zniosłaby takiego upokorzenia.

– Nic nie straciłaś ze swojej dumy, kochana Emmo. – Konrad pokręcił głową, ale w jego spojrzeniu nie było cienia dezaprobaty. – Lepiej jeśli pójdziesz dobrowolnie do więzienia, niż czekać, aż będę mógł cię odwiedzić. Teraz chyba potrzebujesz mojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Emma przytaknęła.

– *Wszystko zależy od tego, jak potoczy się rozmowa z twoim adwokatem* – mówili jej psychiatrzy i policjanci, którzy pewnie czekali w przedpokoju na transport powrotny.

*Adwokat. Po niemiecku Anwalt.*

Dziwne słowo. Nieliczni znali jego pochodzenie od staroangielskiego „onweald”, czyli „władza”.

Czy Konrad rzeczywiście miał władzę, żeby odmienić jej los? Stary znajomy, którego darzyła bezgranicznym zaufaniem, przy czym „stary” było niewłaściwym określeniem wysportowanego, niemal atletycznie zbudowanego mężczyzny w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Emma poznała go na medycynie, na pierwszym semestrze. Jego nazwisko wydało się dziwnie znajome. Dopiero później przypomniała sobie dlaczego. Jej ojciec i Konrad Luft byli partnerami i pracowali razem nad sprawami, o których Emma czytała w gazetach.

Sprawa, która ich wtedy połączyła, nie nadawała się do prasy.

Były chłopak Emmy, Benedict Tannhaus, wypił o jednego za dużo i naprzykrzał się jej w kawiarni w pobliżu uniwersytetu. Konrad, który regularnie jadał tam kolacje, zobaczył, jak ją obłapia, i energicznie wkroczył do akcji. Potem dał Emmie swoją wizytówkę, na wypadek gdyby potrzebowała pomocy prawnej, co rzeczywiście nastąpiło, ponieważ jej były okazał się po prostu stalkerem.

Emma mogła się oczywiście zwrócić do swojego ojca, ale wtedy zamieniłaby

dżumę na cholerę. Co prawda ojciec nigdy nie posuwał się do rękoczynów, tak jak Benedict, ale jego porywczosć i niekontrolowane wybuchy wściekłości z upływem lat stawały się coraz gorsze. Była naprawdę zadowolona, że od czasu wyprowadzki do akademika nie miała już z nim kontaktu. Nie rozumiała, jak matka wytrzymuje z ojcem pod jednym dachem.

Zaprzyjaźnili się w trakcie żmudnego postępowania przeciwko Benedictowi. Emma myślała początkowo, że zainteresowanie Konrada jej osobą miało inne przyczyny. W rzeczywistości mimo znacznej różnicy wieku to ją pociągał jego ojcowski urok. Wtedy, podobnie jak dzisiaj, Konrad ukrywał charakterystyczny podbródek pod starannie przyciętą brodą i nosił swój ulubiony ciemnoniebieski, szyty na miarę dwurzędowy garnitur i ręcznie szyte budapeszteńskie buty z dziurkami. Kręcone włosy były teraz trochę krótsze, ale wciąż opadały na wysokie czoło, i Emma aż zbyt dobrze wiedziała, dlaczego bogate starsze panie tak często kontaktują się z adwokatem. Nie mogły się domyślać, że co prawda lubił kobiety, ale nie zajmowały one miejsca w jego erotycznych fantazjach. Homoseksualizm Konrada był tajemnicą, którą podzielił się z Emmą, odkąd się zaprzyjaźnili.

Nawet Philippowi nie powiedziała o skłonnościach Konrada do osób tej samej płci, z egoistycznych powodów, co w głębi duszy musiała przyznać. Kobiety tak często faworyzowały Philippa ze względu na jego wygląd i sposób bycia, że przestał nawet zwracać uwagę, gdy na przykład śliczna kelnerka proponowała mu najlepsze miejsce w restauracji albo gdy w sklepie, w kolejce do kasy, jakaś kobieta posyłała mu przemiły uśmiech.

A Emmie podobało się, że również jej mężczyzna reagował czasem zazdrością, kiedy Konrad po raz kolejny dzwonił, żeby spotkać się z nią na śniadaniu czy brunchu. Philipp powinien pogodzić się z tym, że również ona ma wielbiciela.

Konrad natomiast strzegł tajemnicy, żeby nie zaszkodzić swojej reputacji bezwzględного adwokata. Zamiast tego regularnie pokazywał się na spotkaniach z ładnymi studentkami prawa. *Lepszy niezdolny do życia w związku wieczny kawaler niż stara ciota w sali sądowej*, uzasadniał Emmie tę tajemnicę.

A żadne przygód wyfiokowane wdowy były rozczarowane, kiedy Konrad wyjaśniał im, że zajmuje się tylko sprawami karnymi, a nie rozwodami, a i w tej specjalności wyłącznie spektakularnymi, często beznadziejnymi, ważnymi przypadkami.

Takimi jak jej.

– Dziękuję, że chcesz mi pomóc – powiedziała Emma. Frazes, ale spełnił swoje zadanie i przerwał milczenie.

– Kolejny raz.

Po sprawie stalkera była teraz po raz drugi jego klientką. I to od tamtej nocy w

hotelu. Kiedy stała się ofiarą szaleńca. Seryjnego przestępcy, który przed nią napadł już trzy inne kobiety w pokojach hotelowych i elektryczną maszynką ogolił im głowy do gołej skóry.

*...a potem bestialsko je zgwałcił...*

Godziny po tym wszystkim spędzone w szpitalu były dla Emmy tylko trochę mniej fatalne od samego gwałtu. Jeszcze na dobre nie odzyskała świadomości, gdy znowu ktoś obcy manipulował przy otworach w jej ciele. Znowu poczuła w pochwie palec w lateksowej rękawiczce i przedmioty, którymi pobierano wymazy w celu zabezpieczenia dowodów. Ale najgorsze były pytania, jakie zadawała jej siwowłosa policjantka z pokerową twarzą:

- *Gdzie została pani zgwałcona?*
- *W Le Zen. W pokoju 1904.*
- *Nie ma tam pokoju o takim numerze, pani Stein.*
- *Już mi to mówiono, ale to niemożliwe.*
- *Kto przyjmował panią w hotelu?*
- *Nikt. Klucz do pokoju otrzymałam razem z materiałami na kongres.*
- *Nikt nie widział pani w hotelu? Żaden świadek?*
- *Nie, to znaczy tak. Jakaś Rosjanka.*
- *Czy wie pani, jak ona się nazywa?*
- *Nie.*
- *Zna pani numer pokoju tej Rosjanki?*
- *Nie. Ona jest...*
- *Kim?*
- *Nieważne. Proszę o tym zapomnieć.*
- *No dobrze. Potrafi pani opisać sprawcę?*
- *Nie, było ciemno.*
- *Nie możemy stwierdzić obrażeń, świadczących o tym, że pani się broniła.*
- *Zostałam uśpiona. Czym, prawdopodobnie wykaże to próbka krwi.*

*Poczułam wkłucie.*

- *Czy sprawca ogolił pani głowę przed czy po penetracji?*
- *Ma pani na myśli, przed czy po tym, jak włożył mi kutasa do cipy?*
- *Rozumiem pani zdenerwowanie.*
- *Nie, nic pani nie rozumie.*
- *Dobrze, ale mimo to niestety muszę panią jeszcze o coś zapytać. Czy sprawca użył kondomu?*
- *Prawdopodobnie, jeśli mówi pani, że nie znaleziono śladów spermy.*
- *Nie ma też poważniejszych obrażeń pochwy. Czy często zmienia pani partnerów seksualnych?*
- *Jestem w ciąży! Może pani zmienić temat?*

– *Dobrze. Jak pani dotarła na przystanek autobusowy?*  
– *Słucham?*  
– *Przystanek autobusowy przy Wittenbergplatz. Tam, gdzie panią znaleziono.*  
– *Nie mam pojęcia. W którymś momencie musiałam stracić przytomność.*  
– *W takim razie nie wie pani, że została zgwałcona?*  
– *Szaleniec ogolił mi głowę. Pochwa mnie piecze, jakby potraktowano ją elektrycznym poganiaczem bydła. Myśli Pani, że to wszystko mi się wydawało?*  
Pytanie za milion dolarów.

Emma myślała o tym, jak Philipp zawiózł ją taksówką do domu i położył na sofie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Skinęła głową i poprosiła go, żeby przyniósł jej tampony. Te duże, na silne krwawienia, z tyłu szafki w łazience. Krwawienia pojawiły się w taksówce.

To był pierwszy raz, kiedy płakali razem. I ostatni, kiedy mówili o dzieciach.

Następnego dnia Emma zapaliła świeczkę za nienarodzone dziecko. Już dawno się wypaliła.

Zakaszła w otwartą dłoń i próbowała odwrócić uwagę od ponurych wspomnień, wodząc wzrokiem po gabinecie Konrada.

Sięgający sufitu szeroki na całą ścianę regał, na którym obok oprawionych w skórę wyroków Trybunału Federalnego znajdowały się również ulubione przez Konrada dzieła Schopenhauera, wydał się jej trochę niższy, prawdopodobnie z powodu nowej powłoki farby, która sprawiała, że pokój sprawiał wrażenie mniejszego. Masywne biurko stało na swoim miejscu przed oknem, z którego w słoneczne dni roztaczał się widok na Wannsee aż do Spandau. Dzisiaj widać było tylko promenadę biegnącą wzdłuż brzegu jeziora, nieliczni spacerowicze przedzierali się przez wysoki do kostek grudniowy śnieg.

Nagle poczuła, jak Konrad stanął obok jej łóżka i delikatnie dotknął jej ręki.

– Pozwól, będziesz miała trochę wygodniej – powiedział i pogłaskał ją po czole.

Poczuła zapach aromatycznej wody po goleniu i zamknęła oczy. Na samą myśl, że dotknie ją mężczyzna, w ostatnich miesiącach ogarniało ją uczucie obrzydzenia. Ale pozwoliła Konradowi opleść się ramionami i przenieść ze szpitalnego łóżka na kanapę przed kominkiem.

– Tak jest lepiej – powiedział, kiedy pół leżąc, pół siedząc, zapadła się w miękką tapicerkę, a on ostrożnie przykrył ją kremowym kaszmirowym kocem.

I miał rację. Tak było lepiej. Czuła się bezpiecznie, tu wszystko było znajome. Siedzenie naprzeciwko fotela z wysokim oparciem, na którym usiadł Konrad. Szklana ława pomiędzy nimi. I oczywiście okrągły dywan pod nogami. Biała włochata tkanina, otoczona czarną obwódką, która wyglądała jak coraz cieńsza

linia, namalowana pędzlem zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Dzięki temu, kiedy patrzyło się z góry, dywan sprawiał wrażenie nerwowo narysowanej litery O. Jakże Emma lubiła kiedyś kłaść się na tym O i marzyć, mając przed sobą gazowy kominek. Jak dobrze się czuła, kiedy razem jedli przyniesione ze sobą sushi. Jak pewnie się czuła, kiedy rozmawiali o zawodach sercowych, niepowodzeniach i braku wiary w swoje możliwości i gdy dostawała od niego takie rady, jakich przez całe życie pragnęła od ojca.

Czarne włókna dywanu były trochę wyblakłe i z upływem lat nabrały brązowej barwy.

*Czas wszystko niszczy*, pomyślała Emma. Czuła na twarzy ciepło bijące od kominka, ale brakowało tego przyjemnego uczucia, które zazwyczaj zawsze ją ogarniało, gdy odwiedzała Konrada.

Nic dziwnego, przecież to nie były odwiedziny.

Raczej niezbędną do przeżycia konieczność.

– Jak się miewa Samson?

– Doskonale – odpowiedział Konrad, a Emma mu uwierzyła. Zawsze miał rękę do zwierząt. To wspaniale, że jej pies trafił do niego; na czas, kiedy przebywała w odosobnieniu.

Niedługo po nocy w hotelu Philipp podarował jej ślicznego śnieżnobiałego husky z czarno-szarą sierścią na łbie.

– Pies do ciągnięcia sanek? – zapytała go zdumiona, kiedy pierwszy raz podał jej smycz.

– On ciebie wyciągnie – stwierdził i miał na myśli depresję, w której tkwiła.

Jednak się mylił i wyglądało na to, że przez jakiś czas Samson będzie musiał wychodzić bez swojej pańci.

Prawdopodobnie zawsze.

– Możemy zacząć? – zapytała Emma i miała nadzieję, że Konrad zawoła „nie”, wstanie i zostawi ją samą.

Oczywiście nie zrobił tego.

– Proszę – powiedział najlepszy na świecie słuchacz, jak go kiedyś nazwał reporter w artykule przedstawiającym jego sylwetkę. Prawdopodobnie to jego najmocniejsza strona.

Są ludzie, którzy potrafią czytać pomiędzy słowami.

Ta umiejętność uczyniła z niego jednego z niewielu ludzi, wobec których Emma mogła się otworzyć. Znał jej przeszłość, jej tajemnice, wiedział o jej fantazjach. Opowiedziała mu o Arthurze i psychoterapii, dzięki której, jak wierzyła, została uwolniona od wyimaginowanych przyjaciół i innych wizji. Dzisiaj już od dawna nie była tego pewna.

– Nie dam rady, Konrad.

– Musisz.

Z trwającego dziesiątki lat przyzwyczajenia Emma szukała kosmyka włosów, żeby owinąć go wokół palca – ale jej fryzura była na to o wiele za krótka.

Minęło już prawie pół roku, a wciąż nie mogła się przyzwyczaić, że jej kiedyś tak bujne długie włosy zniknęły. W tym czasie odrosły już jednak na sześć centymetrów.

Konrad przyglądał się jej tak badawczo, że musiała odwrócić wzrok.

– Inaczej nie będę mógł ci pomóc. Nie po tym wszystkim, co się stało.

*Nie po tych wszystkich trupach. Wiem o tym.*

Emma westchnęła i zamknęła oczy.

– Od czego mam zacząć?

– Od najgorszego! – usłyszała jego głos. – Wróć we wspomnieniach do tego, co sprawia ci największy ból.

Z jej oczu popłynęły łzy.

Tępo spojrzała przez okno. Obserwowała mężczyznę, który wzdłuż brzegu prowadził na smyczy doga. Z daleka wyglądało to tak, jakby duży pies otworzył pysk, żeby łapać językiem płatki śniegu, ale Emma nie była tego pewna. Wiedziała tylko, że wolałaby być teraz na dworze, z mężczyzną z dogiem i śniegiem pod stopami, który z pewnością nie był tak zimny jak jej dusza.

– No dobrze – powiedziała, chociaż w tym, co miało teraz nastąpić, nie było nic dobrego. I prawdopodobnie już nigdy nie będzie, nawet jeśli przetrzyma ten dzień, czego raczej nie zakładała. – Nie wiem tylko po co. Przecież byłeś przy przesłuchania.

Przynajmniej przy drugiej części. Pierwsze zeznania składała sama, ale kiedy pytania funkcjonariuszki stawały się coraz bardziej natrętne i nie czuła się już jak świadek, lecz oskarżona, zażądała adwokata. W przeciwieństwie do Philippa, który musiał jechać całą noc, żeby do niej dotrzeć z miejsca operacji w Bawarii, jej najlepszy przyjaciel był u niej w szpitalu już o wpół do drugiej.

– Sam mnie przeprowadziłeś przez przesłuchanie i byłeś przy tym, kiedy podpisałam protokół policjantki. Wiesz, co mi tamtej nocy zrobił Fryzjer.

*Fryzjer.*

Co za subtelne określenie prasy. Zamiast nazwać mężczyznę, który goli głowy kobietom, zbrodniarzem.

Konrad pokręcił głową.

– Nie mówię o nocy w hotelu.

Zamrugła nerwowo. Nagle wiedziała, co Konrad powie teraz, i modliła się, żeby się mylić.

– Dobrze wiesz, dlaczego tu jesteś.

– Nie – skłamała Emma.



Oczywiście chciał rozmawiać o przesyłce. O czym by innym?

– Nie – powtórzyła, jeszcze mniej energicznie niż poprzednio.

– Emma, proszę. Jeśli mam cię bronić, musisz opowiedzieć mi wszystko, co stało się trzy tygodnie temu. U ciebie w domu. Niczego nie pomijając.

Emma zamknęła oczy i miała nadzieję, że tapicerka kanapy na zawsze ją połknie jak liście mięsożernej rośliny muchę, ale, niestety, tak się nie stało.

A ponieważ nie miała wyboru, zaczęła łamiącym się głosem opowiadać swoją historię.

O przesyłce.

I o tym, jak wraz z nią tamtej nocy w hotelu zaczął się cały ten koszmar, który zapukał do drzwi jej małego domu na końcu ślepej uliczki i na dobre w nim zagościł.

## 6

### Trzy tygodnie wcześniej

Gwint śruby wkręcał się przez błonę bębenkową wprost do mózgu Emmy. Nie wiedziała, kto przystawił akustyczną wiertarkę, która nakłuwała jej ośrodek strachu. Kto zadzwonił do drzwi tak wcześnie rano i wywołał u niej panikę.

Nigdy nie uważała swojego domu przy Teufelssee-Allee za coś szczególnego, chociaż był jedynym wolno stojącym budynkiem w sąsiedztwie.

Osiedle przy HeerstraÙe składało się z urokliwych bliźniaków z lat dwudziestych i prawie przez cały wiek, dopóki Philipp nie zmienił go w twierdzę, jej mały dom jednorodzinny wyróżniał się jedynie tym, że można go było obejść, nie wchodząc na inną posesję. Ku ogromnej radości dzieci sąsiadów, które dawniej, w ciepłe letnie dni, lubiły urządzać sobie wyścigi przez jej ogród. Przez otwartą furtkę w płotku, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara wąską żwirową ścieżką obok grządki z warzywami, ostro w lewo wokół werandy, znów w lewo pod oknem gabinetu, przez trochę zdziczały ogród przed domem z powrotem na ulicę, gdzie zwycięzca musiał klepnąć w starą gazową latarnię i krzyknąć: pierwszy.

*Dawniej.*

Zanim to się stało.

Przed Fryzjerem.

Dzisiaj drewniany płot został zastąpiony masywnymi, szarozielonymi, metalowymi podporami, podobno zakotwiczonymi w ziemi dla ochrony przed dzikami, przy czym dziki były ostatnimi stworzeniami, których Emma się bała.

Jej najlepsza przyjaciółka Sylvia sądziła, że Emma niewyobrażalnie boi się mężczyzny, który tamtej nocy w hotelu uczynił jej te potworne rzeczy – ale myliła się.

Z pewnością obawiała się, że drań mógłby wrócić.

A jednak o wiele bardziej niż jego bała się samej siebie.

Jako lekarz psychiatra Emma знаła symptomy ciężkiej paranoi. Jak na ironię

losu robiła dyplom z tej dziedziny, obok pseudologii, czyli chorobliwego kłamania, była to jej specjalność. Leczyła już wielu pacjentów z urojeniami. Wiedziała, jak to się kończy.

I co gorsze: wiedziała, jak to się u nich zaczęło.

*Tak jak u mnie.*

Mając jeszcze w uchu głośny dzwonek, Emma skradała się do drzwi wejściowych, razem z Samsonem, którego dzwonek wyrwał z drzemki. Jednocześnie miała uczucie, że nigdy nie dotrze do celu.

Serce Emmy biło, jakby przebiegła maraton. Jej nogi stąpały niemal w miejscu.

*Wizyta? O tej porze? Właśnie teraz, kiedy Philipp już wyszedł?*

Samson szturchnął ją nosem pod kolaniem, jakby chciał zachęcić ją do pójścia dalej i powiedzieć: *No idź, to nie jest takie trudne.*

Nie warczał ani nie szczyrzył zębów, jak przeważnie robił wtedy, kiedy ktoś obcy stał przed drzwiami.

A więc prawdopodobnie nie groziło jej niebezpieczeństwo.

*A może jednak?*

Najchętniej wybuchnęłaby płaczem tu, w przedpokoju. Płacz – obecnie jej ulubione zajęcie. Od stu pięćdziesięciu ośmiu dni, dwunastu godzin i czternastu minut.

*Od czasu mojej nowej fryzury.*

Dotknęła ręką włosów nad czołem. Poczwała, na jaką długość już odrosły. Dzisiaj sprawdziła to dopiero dwudziesty raz. Od godziny.

Podeszła do ciężkich dębowych drzwi i odsłoniła malutką zasłonkę przed szybą wielkości mniej więcej dłoni, wstawioną w drzwi na wysokości głowy.

Według urzędu ksiąg wieczystych Teufelssee-Allee leżała w okręgu Westend, ale w porównaniu z willami, z których słynęła ta nobliwa dzielnica, jej mały dom sprawiał wrażenie psiej budy ze schodami.

Stał na końcu brukowanej ślepej uliczki, nieprzejezdnej dla większych samochodów i niemal nie do pokonania dla mniejszych. Kiedy się patrzyło z daleka, sprawiał wrażenie, że dobrze wkomponował się w okolicę za sprawą gruboziarnistego tynku, staromodnych drewnianych okien, dachówek w kolorze gliny i obowiązkowych czerwonobrazowych klinkierowych schodów, prowadzących do drzwi.

Pomijając płot, najnowsze zmiany były niewidoczne z zewnątrz. Czujniki informujące o wybiciu szyby, sterowane drogą radiową zamki, czujniki ruchu w sufitach albo przycisk alarmowy na ścianie do wezwania pomocy, którego Emma właśnie dotykała.

*Lepiej nie ryzykować.*

Była jedenasta, co prawda dzień pochmurny – szare, nieprzeniknione

zachmurzone niebo wydawało się w zasięgu ręki, wciąż padał śnieg, jak prawie bez przerwy w ostatnich dniach, a i tak Emma wyraźnie widziała przy płocie mężczyznę.

Z daleka wyglądał jak turecki rockman: ciemna cera, ogolona do gołej skóry czaszka, broda w stylu ZZ Top, srebrne metalowe koła wielkości monety, które wypełniały małżowiny uszne studwudziestokilogramowego barczystego mężczyzny jak alufelgi opony samochodu. Mężczyzna nosił niebiesko-żółte rękawiczki, ale Emma wiedziała, że na każdym palcu była wytatuowana inna litera.

*To nie on! Dzięki Bogu*, pomyślała i z serca spadł jej wielotonowy ciężar. Uspokojona dała znak Samsonowi, który stał obok niej naprężony z nastawionymi uszami, żeby zrobił miejsce.

Nacisnęła przycisk brzęczyka do furtki i czekała.

Pomiędzy Teufelsberg na północy, kilkoma szkołami i obiektami sportowymi na zachodzie, miejską autostradą na południu oraz torami szybkiej kolei miejskiej i Kolei Niemieckich na wschodzie, na osiedlu przy Heerstraße znalazło swój dom około stu pięćdziesięciu przeważnie dobrze sytuowanych rodzin. Wiejska gmina w środku milionowego miasta, ze wszystkimi zaletami i wadami, które niosło ze sobą życie na wsi, jak na przykład okoliczność, że wiedziało się o wszystkim i o każdej decyzji, i znało się każdego z nazwiska.

Również listonosza.

## 7

**Witaj, Salim.**

– Dzień dobry, pani doktor.

Emma odczekała, aż listonosz wejdzie po klinkierowych schodach, dopiero wtedy uchyliła drzwi tak szeroko, jak pozwalała zamontowana wewnątrz metalowa zasuwka.

Samson, który siedział obok niej, zaczął merdać ogonem, jak zawsze, kiedy słyszał głos listonosza.

– Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać, byłam na górze – usprawiedliwiła się ochrypłym głosem.

Słysząc było, że odwykła już od mówienia.

– Nie szkodzi, nie szkodzi.

Salim Yüzgec zostawił przesyłkę na najwyższym stopniu pod daszkiem nad drzwiami. Strząsnął trochę śniegu z obcasów i uśmiechnął się, wydając obowiązkowe leckerli z kieszeni spodni. Jak za każdym razem upewnił się, że Emma nie ma nic przeciwko temu, i jak za każdym razem dał Samsonowi znak, żeby złapał twarde ciastko.

– Jak się pani dzisiaj miewa, pani doktor? – zapytał.

*Dobrze. Dopiero co połknęłam dziesięć miligramów cipralexu i od dziewiątej do pół do jedenastej oddychałam do torby. Dziękuję za zainteresowanie.*

– Z każdym dniem coraz lepiej – skłamała i miała uczucie, że przy próbie odwzajemnienia uśmiechu strasznie się zmęczyła.

Salim był pełnym współczucia mężczyzną, który od czasu do czasu przynosił jej garnek jarzynowej zupy od swojej matki. *Żeby pani jeszcze bardziej nie schudła.* Ale jego troska o nią wynikała z błędnych informacji. Żeby sąsiedzi nie plotkowali złośliwie, dlatego pani doktor nie podchodzi już do drzwi, przez cały dzień chodzi w szlafroku i zaniedbała gabinet lekarski, Philipp opowiedział kioskarcie historię o ciężkim zatruciu pokarmowym, które omal nie doprowadziło Emmy do śmierci i zaatakowało jej narządy wewnętrzne.

Pani Koslowski była największą plotkarą na osiedlu i kiedy poczta pantoflowa

dotarła do Salima, zatrucie rozrosło się już do raka. Ale lepiej było, żeby ludzie myśleli, że Emma straciła włosy z powodu chemioterapii, niż żeby plotkowali o tym, co zdarzyło się naprawdę. O niej i o Fryzjerze.

Jak obcy ludzi mieli jej wierzyć, skoro nie zrobił tego jej mąż? Z pewnością Philipp z największym trudem ukrywał swoje wątpliwości. Wszczął jednak dochodzenie i odkrył coś, co potwierdzało jej wersję przebiegu przestępstwa.

Cyfra cztery w językach chińskim, japońskim i koreańskim wykazywała podobieństwo do słowa „śmierć”, dlatego w niektórych kręgach uchodziła za nieszczęśliwą. Na obszarze, gdzie posługiwano się językiem kantońskim, czternastka oznaczała nawet „pewną śmierć”, dlatego pochodzący z Guangdong właściciele Le Zen zrezygnowali nie tylko z odpowiednich numerów pokoi, lecz także z czwartego i czternastego piętra.

Nawet przypuszczenie, że Emma pomyliła numer pokoju, już nie pomagało.

Według jej opisu w grę wchodziły tylko pokoje 1903 i 1905. Oba zostały zarezerwowane na cały tydzień przez samotną matkę z trójką dzieci, która przyleciała do Berlina na urlop z Australii. W żadnym z obu pokoi nie znaleziono śladów gwałtownego wtargnięcia ani czynnej ingerencji. I w żadnym nie wisiał portret Ai Weiweia, co nie było dziwne. W całym hotelu nie było ani jednej fotografii artysty. Kolejny powód, dla którego „sprawa” Emmy nie miała u śledczych wysokiego priorytetu.

I Emma coraz bardziej wątpiła w swoje zdrowe zmysły.

Jak miała brać Philippowi za złe, że jest sceptyczny? Wobec tak niewiarygodnej historii? Gwałt w hotelowym pokoju, który nie istniał i który tuż przed rzekomym przestępstwem został przez nią gruntownie przeszukany?

Na dodatek Emma twierdziła, że została wykorzystana przez seryjnego przestępcę bez twarzy, który faktycznie znany był z tego, że golił włosy swoim ofiarom. Ale do tej pory wszystkie były prostytutkami i żadna nie przeżyła. Ponieważ był to kolejny „znak firmowy” Fryzjera: zabijał damy do towarzystwa, na które czyhał w ich pokojach.

*Tylko mnie zostawił przy życiu. Dlaczego?*

Nic dziwnego, że policja nie zaliczyła jej przypadku na konto Fryzjera. W kręgu kolegów Philippa uznano ją za wariatkę, która sama się okaleczyła i wymyśliła tę mrozącą krew w żyłach historię. Ale dzięki temu przynajmniej nie miała na karku prasy.

*Tylko listonosza.*

– Nie spodziewałam się pana tak wcześnie – powiedziała i otworzyła Salimowi drzwi.

– Spadłem dzisiaj z łóżka – zaśmiał się listonosz.

Odkąd przestała wychodzić (nawet wyprowadzanie psa było zajęciem

Philippa), wiele rzeczy, których potrzebowała do życia, kazała sobie dostarczać do domu. Dzisiaj stał przed nią Salim z kilkoma paczkami. Pokwitowała odbiór soczewek kontaktowych, internetowa apteka wreszcie przysłała środek przeciwbólowy, w trochę za dużym, lekkim kartonie były prawdopodobnie ciepłe pantofle domowe, które można było ogrzać w kuchence mikrofalowej. I jak co dzień pudło z artykułami spożywczymi, przygotowywane dla niej w internetowym supermarkecie na podstawie stałego zlecenia.

Napoje i wszystko, co się nie psuło, jak konserwy, środki piorące albo papier toaletowy, dostarczał Philipp. Ale warzywa, mleko, ryby, masło i pieczywo nie powinny długo leżeć w samochodzie, kiedy, jak to się często zdarzało, był nagle wzywany i wracał do domu wiele godzin później, niż się spodziewała.

Od jakiegoś czasu nie zdarzało się już, żeby wyjeżdżał na kilka dni, tak jak w tamten weekend, kiedy szalenięc wstrzyknął jej środek paralizujący, zdjął piżamę i położył się na niej całym ciężarem.

W ostatnich miesiącach Philipp postanowił, że będzie spędzał noce w domu. Chciał nawet dziś odmówić wyjazdu na Europa Meeting, chociaż były to najważniejsze w tym roku warsztaty. Tylko raz na dwanaście miesięcy wiodący europejscy analitycy kryminalni spotykali się, żeby wymienić doświadczenia. Spędzali razem dwa dni, każdego roku w innym mieście. W tym roku w Niemczech, w hotelu pod Bad Saarow nad Scharmützelsee. Obowiązkowe spotkanie dla tej grupy niezwyklej ludzi, którzy dzień w dzień musieli się zajmować najbardziej przerażającymi zbrodniami – i tym razem Philippowi przypadł zaszczyt wygłoszenia referatu o jego pracy.

– Nalegam, żebyś pojechał! Jeśli coś się stanie, od razu do ciebie zadzwonię. Będziesz prawie za rogiem, tylko godzinę stąd. – Rano Emma pożegnała się z nim pocałunkiem i najchętniej krzyknęłaby: *Godzinę? Szaleńcowi nie potrzeba więcej czasu, żeby zrobić ze mnie psychiczny wrak.*

– Muszę powoli sama wyjść z tej nory – powiedziała sobie i miała nadzieję, że Philipp zauważy, że tylko klepie gołe frazesy z podręcznika psychiatrii, w które teraz, kiedy sama została pacjentką, już od dawna przestała wierzyć. Tak samo jak w ostatnie kłamstwo, które rzuciła Philippowi na drogę: – Sama dojdę ze sobą do ładu.

Tak, na całe pięć sekund, kiedy machała mu z kuchennego okna. Potem straciła panowanie nad sobą i uderzała głową w ścianę tak długo, aż Samson skoczył na nią i powstrzymał, żeby nie wyrządziła sobie większej krzywdy.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała, kiedy listonosz wszystko już położył na stercie w przedpokoju.

Salim zaproponował, że zanieś pudelka do kuchni (*tyle jeszcze zrobił*), a potem klepnął się w czoło.

– Byłbym prawie zapomniał. Czy mogłaby pani odebrać to tutaj dla sąsiadów?

Podniósł z podłogi paczkę wielkości pudełka po butach, o której Emma pomyślała, że nie jest przeznaczona dla niej, i w zasadzie miała rację.

– Dla moich sąsiadów? – Zaczęły drżeć jej kolana na myśl o konsekwencjach, jakie mogłaby wywołać ta bezczelna prośba, gdyby była na tyle szalona, żeby ją spełnić.

Jak ostatnim razem, kiedy była tak uprzejma i odebrała dostawę książek dla dentystki, godzinami siedziała w ciemnym salonie, niezdolna zrobić nic więcej niż nieustannie zastanawiać się, kiedy to nastąpi. Kiedy dzwonek przerwie ciszę i zapowie niechcianą wizytę.

Jej dłonie robiłyby się coraz bardziej wilgotne, a usta coraz bardziej wyschnięte, liczyłaby minuty, a później nawet sekundy, tak długo, aż ten obcy przedmiot zniknąłby wreszcie z jej domu.

A myśl o tym nie była najgorszą rzeczą, co uświadomiła sobie, gdy przeczytała nazwisko na naklejce przyklepionej na paczce.

Pan A. Palandt

Teufelssee-Allee 16a

14055 Berlin

Być może poradziłaby sobie z tym obcym przedmiotem w domu, chociaż zmieniłby rytm jej dnia i przewrócił do góry nogami jej życie emocjonalne.

*Ale to nazwisko.*

Z szybkim tętnem i wilgotniejącymi dłońmi gapiła się na zadrukowane pole adresowe i najchętniej by się rozpłakała.



## 8

**P**alandt?

Kim... *do diabła*... jest pan A. Palandt?

Kiedyś nie zaprzętałyby sobie tym głowy. Teraz niewiedza uskrzydlała jej najmroczniejsze fantazje, a to znów niepokoiło ją tak bardzo, że była bliska wybuchnięcia płaczem.

*Teufelssee-Allee 16a?*

Czy to nie po lewej stronie ulicy, trzy, cztery domy dalej, zaraz za rogiem? I czy przez lata nie mieszkał tam samotnie stary Tornow? A nie...

*A. Palandt...?*

Znała każdego w okolicy, ale nigdy jeszcze nie słyszała tego nazwiska, i to wywołało w niej uczucie paniki.

Już cztery lata mieszkała na tej małej uliczce. Cztery lata, odkąd kupiła tę właściwie o wiele za drogą nieruchomość, na którą mogła sobie pozwolić tylko dlatego, że Philipp odziedziczył spadek.

– Mam to wziąć? – zapytała Emma, nie dotykając paczki.

Była owinięta zwykłym brązowym papierem do pakowania, którego kanty wzmocniono taśmą. Na wierzchu była przewiązana na krzyż poszarpanym sznurkiem. Nic niezwykłego.

Oprócz nazwiska...

*Pan A. Palandt?*

– Proszę – powiedział Salim i wyciągnął paczkę w jej stronę. – Po prostu wrzucę kartkę do skrzynki pocztowej z informacją, że przesyłka jest do odebrania u pani.

*Nie, tylko nie to!*

– Dlaczego? – zapytał Salim zdziwiony. Najwidoczniej wypowiedziała na głos swoje myśli. – Takie mamy przepisy, rozumie pani. Muszę to zrobić. Inaczej nie ma gwarancji, że dotrze do adresata.

– Tak, rozumiem, ale dzisiaj niestety...

– Pani Stein, proszę. Wyświadczyłaby mi pani ogromną przysługę. Zaraz

kończę zmianę. Zresztą na bardzo długi czas, obawiam się.

*Na bardzo długi czas?*

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Emma nieświadomie cofnęła się o krok. Samson, który zauważył jej napięcie, uniósł się i nastawił uszu.

– Bez obawy, nie wylali mnie ani nic takiego. To są dobre wiadomości, dla mnie, dla Naya i Engina.

– Naya to pana żona? – zapytała Emma zmieszana.

– Tak, pokazywałem pani kiedyś zdjęcie. Naszego Engina widać na razie tylko na USG.

Z zewnątrz wtargnął powiew zimnego powietrza i wiatr zatrzepotał szlafrokiem Emmy. Zatrzęsa się.

– Pańska żona jest... w ciąży?

To słowo ważyło tak dużo, że ledwo przeszło jej przez usta.

*W ciąży.*

Kombinacja nowych liter, które nabrały dzisiaj zupełnie innego sensu niż pół roku temu.

Wtedy, w okresie przed, to słowo znaczyło marzenie, przyszłość, było symbolem prawdziwej radości i sensu życia. Obecnie opisywało już tylko otwartą ranę, utracone szczęście i cicho wypowiedane miało podobne brzmienie jak „nigdy” albo „śmierć”.

Salim, który konsternację Emmy błędnie zinterpretował jako niemą radość, promieniał aż po uszy.

– Tak. W szóstym miesiącu. – Zaśmiał się. – Ma już ładny brzuszek. – Wykonał odpowiedni ruch ręką. – To cudownie pasuje do kierowniczego stanowiska. Wie pani, praca biurowa. Lepsza pensja, tylko że więcej już pani nie zobaczę, pani Stein, przykro mi. Zawsze była pani dla mnie bardzo miła.

– Ale teraz ma pan inny powód do radości. – Te słowa były wszystkim, co mogła powiedzieć, dość obojętnie, czego się zresztą wstydziła. Dawniej każdą wiadomość o dziecku w kręgu jej znajomych przyjmowała z entuzjazmem. Nawet wtedy, kiedy pierwsi przyjaciele zaczęli się dopytywać, dlaczego tak długo zwleka z potomstwem i czy coś jest nie w porządku. Ani razu nie była zazdrosna z tego powodu, że jej i Philippowi nie udało się od razu.

Inaczej niż jej matka, która regularnie wpadała we wściekłość, kiedy inni rozwodzili się nad swoim szczęściem z powodu dzieci. Kiedy Emma miała sześć lat, matkę zmieniło niespodziewane poronienie. Potem już nigdy nie zaszła w ciążę.

A teraz?

Teraz był okres po, w którym nagle zrozumiała rozgoryczenie matki.

Płodna? Płodna!

Emma stała się kimś innym. Kimś ze zranioną waginą, kto znał smak lateksu tak samo jak uczucie wibrującej stali na golonej czaszce. Kobieta, która wiedziała, że jedno brzemiennie w skutki wydarzenie może zmienić albo zabić wszystkie uczucia.

*Miłe.*

Pomyślała o ostatnim słowie Salima i wtedy przyszło jej coś do głowy.

– Proszę chwilę poczekać.

– Nie, nie. To naprawdę nie jest konieczne! – zawołał za nią Salim, który wiedział, co zamierza zrobić, kiedy kazała Samsonowi usiąść i czekać w korytarzu.

Również po to, żeby pilnował listonosza.

W salonie zauważyła, że niesie przed sobą paczkę, najwidoczniej rzeczywiście wzięła ją od Salima, *cholera*.

*Teraz paczka jest w domu.*

Położyła ją obok laptopa na biurku pod oknem, wychodzącym na ogród za domem, i wysunęła górną szufladę. Szukała portmonetki, miała nadzieję znaleźć pieniądze na napiwek, jaki mogłaby dać wiernemu Salimowi na pożegnanie.

Portfel wsunął się w najdalszy kąt szuflady, tak że najpierw musiała wyjąć kilka papierów, które przed nim utknęły.

Dokument ubezpieczenia, rachunki, nieprzeczytane karki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, broszury reklamowe pralek i...

Emma zamarła z gazetą z ogłoszeniami w ręku.

Chciała odwrócić wzrok od zdjęcia.

*Srrrrrrrrrr.*

Zaczęło jej huczeć w głowie. Głośno. Poczowała wibrację na skórze głowy. Natychmiast zaczęło ją swędzieć. Chciała się podrapać, ale udało jej się to w równie małym stopniu jak pokonanie imadła, które trzymało jej głowę i zmuszało do patrzenia na gazetę.

Philipp pozbył się z domu luster, żeby widok „fryzury” nie przypominał Emmie o tamtej nocy. Wszystkie nożyczki i maszynki do golenia wyparowały z łazienki.

A nie pomyślał o zwykłym dodatku do gazety.

„Ręczna maszynka z ostrzami ze stali szlachetnej. Tylko 49,90. Z funkcją strzyżenia włosów! Zaoszczędź na fryzjerze!”

Emma usłyszała przytłumiony trzask, który zawsze poprzedzał lawinę koszmarów, tuż przed oderwaniem się od zbrocza jej duszy.

Zamknęła oczy, upadła na podłogę, a wraz z upadkiem wpadła do szurzego gniazda swoich wspomnień.

## 9

Większość ludzi myśli, że sen jest młodszym bratem śmierci, a przy tym największym jej przeciwnikiem. Lecz to nie sen, ale zmęczenie jest przednią strażą wiecznej ciemności. Jest strzałą, którą co wieczór celnie wypuszcza zakapturzony łucznik w czerni, a sen co noc próbuje z całej siły ją z nas wyciągnąć. Ale, niestety, strzała jest zatruta i chociaż strumienie snu usiłują splukać truciznę, zawsze coś w nas zostaje. Im jesteśmy starsi, tym trudniej udaje się nam rano wstać z łóżka z uczuciem, że jesteśmy wypoczęci i wyspani. Nasza egzystencja jest jak jasna kiedyś gąbka nasycona czarnym atramentem, z czasem ta gąbka nasiąka coraz bardziej. Dawniej barwne radosne senne obrazy zmieniają się w koszmarną karykaturę, sen ostatecznie przegrywa walkę ze zmęczeniem i pewnego dnia wyczerpani pogrążamy się w pozbawionej sennych marzeń nicości.

Emma kochała śnić.

Ale nie sny, które zmieniały truciznę zmęczenia życiem w przerażające wizje. Przerażające dlatego, że były tak realne i odzwierciedlały to, co naprawdę się przydarzyło.

Jak za każdym razem zaczęło się od dźwięku.

*Srrrrrrrrrr.*

Nie od gwałtownego, ciężkiego oddechu przy uchu albo kaszlu, który falami pachnącego miętą oddechu uderzał ją w twarz, podczas gdy Fryzjer szczypał jej sutki i zakładał kondom. Wizje, co do których nie wiedziała, czy były realnymi wspomnieniami, czy dręczącą próbą umysłu wypełnienia koszmarami utraconych godzin pomiędzy napaścią w hotelu a obudzeniem się na przystanku autobusowym.

Zawsze zaczynało się brzęczeniem maszynki do golenia, które stawało się bardziej dźwięczne i ostre, gdy wibrujące ostrza trafiały na włosy.

*Włosy.*

Od zarania świata symbol seksualności i płodności. Z tego powodu w wielu kręgach kulturowych kobiety zakrywały głowę, żeby nie kusić w męczyźnie diabła. Diabła, który zazwyczaj...

*...wszedłby na mnie, zgwałcił, a potem oskalpował...*

*Łowca Skalpów*, nieporęczne, ale bardzo trafne określenie Fryzjera, bo on nie układał fryzur swoich ofiar, on zrywał im z głowy życie.

Jak zawsze nie mogła odróżnić snu od rzeczywistości, kiedy poczuła zimne ostrza na czole – paraliżowało ją zmęczenie albo środek odurzający w krwi. Czowała elektryczne brzęczące ostrza przystawione do czoła i nie bolało, kiedy przesuwają się do góry, od nasady włosów w kierunku potylicy. Nie bolało, a jednak odczuwała to jak męczarnie.

*Dlaczego on to robi?*

Emma myślała, że znalazła na to pytanie odpowiedź.

Sprawca zgwałcił ją i wstydził się tego. Inteligentny i rozsądny, nie próbował tego cofnąć, ale raczej obarczył odpowiedzialnością ofiarę.

Emma nie zakryła się, jej bujne loki wywabiły samca z nory i dlatego nie musiała zostać ukarana, lecz raczej doprowadzona do porządku po to, żeby na jej widok żadnemu mężczyźnie nie przyszła już do głowy niewłaściwa myśl.

*Dlatego ogolił mi głowę.*

*Nie żeby mnie upokorzyć.*

*Lecz żeby wypędzić ze mnie diabła, który go wodził na pokuszenie.*

Emma słyszała, jak coś trzasnęło, kiedy ostrza trafiły na kręgosłup, czuła, jak ktoś przekręcił jej głowę w bok, żeby uzyskać dostęp do skroni, poczuła pieczenie, kiedy ostrze weszło za głęboko i lekko uniosło skórę, czuła pachnącą gumą lateksową rękawiczkę na ustach, kiedy chciała krzyknąć, i wtedy pomyślała...

*...że on na mnie czekał...*

Wybrał ją sobie. Znał ją!

Już wcześniej ją obserwował. Jej włosy, kiedy bawiła się ich kosmykiem. Loki, które tańczyły na łopatkach, kiedy się odwracała.

*On mnie zna. A czy ja też znam jego?*

W chwili, kiedy zadała sobie to pytanie, poczuła język. Szorstki, długi, ociekający śliną. Lizał ją po twarzy. Obślinał jej nos, zamknięte oczy i czoło, i to było coś nowego.

*Do tej pory nigdy się to nie zdarzyło.*

Emma poczuła wilgotny ucisk na policzku, otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą Samsona.

Minęła chwila, zanim sobie uświadomiła, że leży na podłodze w salonie przed biurkiem.

Była przytomna. Ale strzała zmęczenia trafiła ją głębiej niż przedtem. Jej ciało wydawało się wypełnione ołowiem i wcale by się nie zdziwiła, gdyby jej ciężar ściągnął ją do piwnicy, gdyby wpadła przez podłogę prosto do pralni albo do gabinetu Philippa, który urządził sobie na dole pomieszczenie do pracy, żeby nie jeździć w każdy weekend do biura.

Ale nie przebiła się przez solidną podłogę, leżała na parterze, oddalona o dwie długości ciała od trzaskającego kominka, którego płomienie migotały nadzwyczaj gwałtownie.

Coś je poruszało. Jak gdyby znajdowały się w przeciągu. Jednocześnie poczuła zimny podmuch na twarzy, a potem na całym ciele.

*Zesztywniała.*

*Przeciąg.*

Ogień tańczący w zimnym strumieniu powietrza mógł oznaczać tylko jedno.

*Drzwi wejściowe!*

Były otwarte.

## 10

Sorry, nie mogłem dłużej czekać.  
pozdrawiam!”

Mała samoprzylepna karteczka, na której było niewiele miejsca, dlatego Salim napisał pożegnalne pozdrowienia małymi drukowanymi literami.

Zdrętwiałymi palcami Emma odczepiła żółtą kartkę od drewnianej framugi drzwi wejściowych i zmrużyła oczy. Znow zaczął padać śnieg. Na drugim końcu ulicy, tuż przed skrzyżowaniem, dzieci bawiły się w berka między samochodami, ale nigdzie nie było widać listonosza i jego żółtego samochodu.

*Na jak długo odleciałam?*

Emma spojrzała na zegarek: 11.13.

Czyli straciła przytomność na niecały kwadrans.

*I przez tyle czasu były otwarte drzwi.*

Nie na oścież, zaledwie na kilka centymetrów, ale jednak.

Zatrzęsła się.

*A teraz? Co powinnam zrobić teraz?*

Samson ocierał się jak kot o jej nogę, prawdopodobnie był to jego sposób, żeby powiedzieć jej, że jest cholernie zimno i żeby zamknęła wreszcie drzwi.

Żeby to zrobić, musiała się o nie oprzeć, tak mocno uderzył w nie nagły poryw wiatru. Zawył jeszcze raz, próbując w ostatniej chwili nawiać do domu kilka pojedynczych płatków śniegu, potem drzwi się zatrzasnęły i zrobiło się cicho.

Emma spojrzała w lewo, gdzie wpuszczone lustro ściennej szafy pokazałoby jej zaczerwienione policzki, gdyby nie było zasłonięte papierem do pakowania.

Prawdopodobnie zaparowałoby od jej oddechu.

*I pojawiłby się napis...?*

Przez chwilę próbowała zerwać zasłonę ze szkła, żeby sprawdzić ukryte wiadomości. Ale robiła to już często i nigdy nie znalazła na lustrze żadnego napisu.

Ani „Wróć tu”, ani „Twój koniec jest bliski”. A Philipp nigdy nie skarżył się, że musi zmieniać porwaną zasłonę.

– Przepraszam – powiedziała do siebie, nie będąc pewna, do czego właściwie odnosi się to słowo. Jej rozmowy z samą sobą, których prowadziła dziesiątki w ciągu dnia, miały coraz mniej sensu.

Czy przeprosiła, że zostawiała Salima bez pożegnania i nie dała mu napiwku? Że przysparza tylu kłopotów Philippowi? Że nie słucha jego rad, unika jego bliskości i już od miesiący odmawia mu swojego ciała? A może przeprosiła za to, że nie potrafi zapanować nad sobą? Oczywiście jako psychiatra wiedziała, że paranoja nie jest słabością, lecz chorobą, i że właściwie trzeba w takim wypadku poddać się terapii. *Jeśli ma się na to siłę*. I że jej nadmiernie gwałtowne reakcje były tej choroby oznaką, a choroba nie zniknie sama tylko dlatego, że człowiek „weźmie się w garść”. Zdrowi ludzie często patrzyli podejrzliwie na psychicznie chorych. Na przykład zastanawiali się, jak światowej sławy aktor lub artysta, który przecież „miał wszystko”, mógł popełnić samobójstwo mimo sławy, pieniędzy i licznych „przyjaciół”, bo nic nie wiedzieli o demonach, które zagnieżdżają się przeważnie we wrażliwych umysłach, żeby w chwilach największego szczęścia szeptać im do ucha, jakie mają wady. Ludzie zdrowi psychicznie radzili chorym na depresję, żeby nie byli wciąż tacy smutni, a paranoikom, takim jak ona, żeby, na przykład, słysząc jakiś podejrzany dźwięk, nie biegli do drzwi sprawdzać, czy są dobrze zamknięte. Czyli mniej więcej tak, jakby radzić człowiekowi ze złamaną kością piszczelową, żeby pobiegł maraton.

*A teraz?*

Patrzyła na paczki, które przyniósł jej Salim. Wąska biała paczuszka z soczewkami kontaktowymi mogła na razie zostać w przedpokoju, tak samo lekarstwa i trochę większe pudełko z kapciami. Trzeba tylko włożyć jedzenie do lodówki, ale Emma czuła się zbyt słaba, żeby zanieść pudło do kuchni.

*Nie mogę jednocześnie nieść i bać się.*

Samson, który stał przy jej nogach, wstrząsnął się i Emma zapragnęła zrobić to samo, po prostu wstrząsnąć całym ciałem i zrzucić z siebie wszystko to, co jej w tej chwili ciążyło.

– Chybabyś zaszczekał? – zapytała. Samson postawił uszy i przekrzywił łeb.

*Oczywiście, że by to zrobił.*

Samson warczał na każdego obcego, który zbliżał się do domu, tak bardzo był przywiązany do swojej pani. Nigdy w życiu nie wpuściłby włamywacza.

*A może jednak?*

Z jednej strony paraliżowała ją myśl, że nie wie już w stu procentach, czy jest w domu sama. Z drugiej, mogłaby z ciężkim sercem zadzwonić do Philippa i znów bez powodu poprosić go, żeby wrócił do domu.

*A może był jakiś powód?*

Przyszedł jej do głowy pomysł.



– Nie ruszaj się z miejsca! – upomniała Samsona i otworzyła wbudowaną obok drzwi szafkę, w której była schowana mała biała skrzynka alarmu. Cyfry na panelu sterowania już rozbłysły, kiedy tylko zbliżyła do nich dłoń.

1 – 3 – 1 – 0

Data, kiedy się poznali. Na przyjęciu urodzinowym Sylvii.

Urządzenie było tak zaprogramowane, że w przypadku sygnału włamania dzwoniło na komórkę Emmy. Jeśli była nieosiągalna albo nie podała właściwego hasła (*Rosenhan*), natychmiast wysyłano patrol policji.

Emma nacisnęła na piktogram, na którym było widać pusty dom, i aktywowała nim wszystkie czujniki ruchu. Drugim przyciskiem (P) wyłączyła czujniki na parterze.

– No dobrze, teraz możesz się ruszyć. Ale zostajemy na dole, słyszysz?

Gdyby ktoś nieuprawniony dostał się do środka, usłyszałaby go, gdy tylko ruszyłby się na piętrze albo w piwnicy.

Było raczej nieprawdopodobne, żeby ktoś ukrył się na parterze. Nie było tu zasłon, dużych szaf, skrzyń ani innych kryjówek. Sofa stała przy samej ścianie, a ściana nie miała pochyłości ani występów.

*Ale lepiej się upewnić.*

Emma wyjęła komórkę z kieszeni szlafroka, otworzyła listę ulubionych i położyła kciuk na imieniu Philippa, żeby w razie konieczności natychmiast się z nim połączyć. Potem chciała wrócić z Samsonem do salonu, ale jeszcze raz musiała się odwrócić, bo nagle nie była już pewna, czy dwa razy przekręciła klucz.

Kiedy ponownie to sprawdziła i znów oparła się impulsowi, żeby spojrzeć w lustro, poszła za Samsonem. Pies, głośno drecząc, znalazł już drogę do swojego pośłania obok kominka.

*Kiedyś muszę kazać obciąć mu pazury*, pomyślała, nie z troski o parkiet. I tak był zniszczony, trzeba go pilnie wycyklinować, gdy tylko znów będzie tolerować gości w domu.

*Prawdopodobnie w następnym życiu.*

Wstydziała się, że pies ma tak mało ruchu. Dziś rano był na spacerze tylko kwadrans, kiedy przed wyjazdem na konferencję Philipp oprowadził go raz dookoła domu. Ona puszczała go samego do ogrodu. Tam obok szopy na narzędzia pod rododendronem posłusznie załatwiał swoje sprawy, podczas gdy ona czekała za zamkniętymi drzwiami, aż wróci.

Fakt, że pies zachowywał się tak spokojnie, był nieomylnym znakiem, że byli sami, przynajmniej tu na dole. Samsona denerwowała nawet pojedyncza mucha i zaczynał gwałtownie merdać ogonem. Nawet w obecności Philippa nigdy całkiem się nie odprężał, tak bardzo był zafiksowany na Emmie, która nieustannie

znajdowała się blisko niego. Jej mężowi automatycznie niejako została przydzielona rola gościa, co prawda troskliwego, ale którego należało nieustannie obserwować.

Emma usiadła przy biurku, przy wciąż otwartej szufladzie. Udało się jej upchnąć z powrotem stronę z ogłoszeniami, która wywołała falę wspomnień, nie patrząc po raz drugi na reklamę maszynki do golenia. Postanowiła, że dzisiaj odstąpi od rutynowego rytmu dnia i zanim zajmie się codziennymi obowiązkami, najpierw dokładniej przyjrzy się paczce.

Wzięła ją w obie ręce i odwróciła. Ważyła nie więcej niż trzy tabliczki czekolady, raczej mniej, co pewnie sprawiło, że zakwalifikowano ją jako list, ale Emma za bardzo się w tym nie orientowała. Dla niej wszystko, co miało twarde kandy i było większe od pudełka po butach, oznaczało paczkę.

Potrząsnęła nią przy uchu jak barman shakerem do koktajli, ale nic nie usłyszała. Ani tykania, ani brzęczenia, niczego, co mogłoby wskazywać na elektryczny przedmiot albo (uchowaj Boże) na żywą istotę. Czuła tylko, że we wnętrzu rusza się coś lekkiego. Tam i z powrotem. Nie wydawało się szczególnie kruche, ale oczywiście nie mogła tego powiedzieć z całą pewnością.

Emma nawet powąchała paczkę, ale nie wywąchała nic podejrzanego. Żadnego wydostającego się na zewnątrz gryzącego zapachu chemikaliów albo, być może, trucizny. Nic, co wskazywałoby na niebezpieczną zawartość.

Pomijając fakt, że już samo istnienie tej paczki stanowiło w mniemaniu Emmy zagrożenie, choć wydawała się zwykłą paczką, jakie w Niemczech z pewnością dostarcza się codziennie dziesiątkom tysięcy adresatów.

Papier pakowy był dostępny w każdym sklepie papierniczym albo na poczcie, jeśli w ogóle na zewnątrz były jeszcze jakieś oficjalne filie poczty. Już wcześniej zamykano ich coraz więcej.

Sznurek wyglądał dokładnie tak samo jak ten, którego używała do zabawy w dzieciństwie: szare, grube włókna.

Emma przyjrzała się bliżej naklejce, na której, co dziwne, widniał tylko A. Palandt jako adresat, nie było żadnej wzmianki o nadawcy. Ani firmy, ani prywatnego adresu w przewidzianym do tego polu.

A więc paczka musiała zostać wysłana przez automatyczną rozdzielnię przesyłek, tylko tam był możliwy anonimowy nadawca. Emma odkryła to w ubiegłym roku, kiedy chciała wysłać matce paczkę na Boże Narodzenie, tak żeby nie zorientowała się od razu, kto o niej pomyślał. Wtedy jednak Emma wpisała wymyślonego nadawcę (*Święty Mikołaj, Santa Gasse 24, biegun północny*). Ale tu pole było w ogóle nietknięte, co uznała za jeszcze bardziej niepokojące niż fakt, że nie znała sąsiada o nazwisku Palandt.

Z odrazą odłożyła pakunek na bok i odsunęła go na koniec stołu, daleko od

siebie.

– Naprawdę nie chcesz dotrzymać mi towarzystwa? – zapytała i jeszcze raz odwróciła się do Samsona. Przez wszystkie godziny samotności przyzwyczała się rozmawiać z nim, jakby był małym dzieckiem, które zwykle uważnie przypatrywało się wszystkiemu, czym zajmowała się w ciągu dnia. Ale dzisiaj wydał się jej dziwnie senny, tak słodko zwinięty w kłębek, kiedy wygodnie ułożył się obok kominka, a nie – jak zwykle – przy jej stopach pod biurkiem. – No dobrze – westchnęła Emma, skoro nadal nie reagował. – Najważniejsze, że mnie nie zakablujesz. Dobrze wiesz, że obiecałam Philippowi nic nie robić.

Ale właśnie dzisiaj nie mogła tego tak zostawić. Nieważne, że Philipp się wścieknie, kiedy się o tym dowie.

Po prostu musiała to zrobić.

Z uczuciem, że okłamuje swojego męża, otworzyła laptopa i przystąpiła do „pracy”.

# 11

Miała tylko jedno wspólne zdjęcie z Philippem, które zrobiła dwuletnia złodziejka.

W drodze na wystawę zaprzyjaźnionego fotografika jakieś pięć lat temu uciekli z falą turystów przed oberwaniem chmury przy Hackeschen Markt do Restauracji Ziemniaczanej z długimi ławami, którą musieli dzielić się z dużą grupą innych uciekinierów przed deszczem. Tablica z menu przypominała stół tapicerski.

Zmuszeni przez obsługę do zamówienia czegoś więcej niż tylko napoi, wybrali placek ziemniaczany z musem jabłkowym, i to zwyczajne kwietniowe późne popołudnie zapewne nigdy nie zapisałoby im się na długo w pamięci, gdyby następnego dnia Emma nie znalazła w swojej komórce tych dziwnych zdjęć.

Pierwsze cztery były zupełnie ciemne. Piąte pokazywało róg stołu, podobnie jak sześć kolejnych, na których najpierw było widać tylko kciuk, a potem całego autora tych poruszonych zdjęć: dziewczynkę ze sterczącymi jasnymi blond włoskami, umazanymi kaszką manną ustami i diabolicznym uśmiechem, do jakiego zdolne jest tylko małe dziecko, które właśnie niepostrzeżenie zabrało komuś telefon.

W sumie siedem zdjęć bez flesza pokazywało fragmenty Philippa i Emmy. Na jednym nawet się uśmiechali, ale najładniejsze było to, na którym wydawało się, jakby całe zdarzenie odbywało się w innej przestrzeni. Emma i Philipp siedzieli obok siebie i patrzyli sobie w oczy, a ich widelce tkwiły wbite w ten sam kawałek placka. Zdjęcie wyglądało jak z filmu, na którym nagle urywa się ścieżka dźwiękowa z przekrzykującymi się głośno gośćmi restauracji, i zamiast tego nieruchomy kadr ilustruje romantyczna fortepianowa melodia.

Emma w ogóle nie przypuszczała, że wymienia jeszcze ze swoim mężem takie czułe spojrzenia, a fakt, że to zdjęcie powstało bez ich wiedzy i w żaden sposób nie zostało zainscenizowane, sprawiał, że było dla niej tym bardziej cenne. Dla Philippa także. Uwielbiał to zdjęcie, swoją niezgrabną sylwetkę porównywał do Jamesa Deana, cokolwiek miałoby to znaczyć.

Dawniej, w czasach przed, Emma widziała to zdjęcie codziennie o

siedemnastej, kiedy Philipp do niej dzwonił, żeby powiedzieć, czy wróci na kolację, bo ustawiła je jako tapetę na swojej komórce. Odbitkę fotografii trzymała jako talizman w wewnętrznej kieszeni swojej ulubionej torebki, przez długi czas zdjęcie było nawet wygaszaczem ekranu w jej notebooku, aż po którejś aktualizacji systemu z niezrozumiałych powodów komputer je utracił.

*Tak jak ja moją pewność siebie, radość życia. Moje życie.*

Czasem zadawała sobie pytanie, czy tamtej nocy w hotelu Fryzjer również zrobił jej restart systemu i cofnął emocjonalny twardy dysk do ustawień fabrycznych. I oczywiście była „poniedziałkowym egzemplarzem”: towarem uszkodzonym, niestety, niepodlegającym wymianie.

Kliknęła na ikonę Outlooka na dolnym pasku zadań, żeby znikł standardowy wygaszacz ekranu, i poświęciła się swojemu przykremu, ale koniecznemu zajęciu.

Jej codzienna „praca” polegała na szukaniu w Internecie najnowszych informacji o Fryzjerze.

Coś, czego Philipp stanowczo jej zabronił, gdy wskutek niedyskrecji prokuratury gazetom udało się zdobyć sporządzony przez niego profil sprawcy. Karmiły się tym przez wiele dni. Philipp obawiał się, że krzykliwe doniesienia bulwarowej prasy jeszcze bardziej wyprowadzą Emmę z równowagi, dlatego musiała postępować ostrożnie.

*Skrycie, jak cudzołożnica.*

Surfowała w trybie prywatnym po wyszukiwarkach, które nie zapisywały URL-ów. A archiwum, w którym chronologicznie gromadziła wszystkie informacje i załączniki dotyczące sprawy, nosiło nazwę „Dieta” i było zabezpieczone hasłem.

Tym razem znów pojawiła się w sieci rzeka spekulacji, bo Fryzjer ponownie zaatakował dopiero w ubiegłym tygodniu. Znów w pięciogwiazdkowym hotelu w Berlinie, tym razem przy Potsdamer Platz, i znów otrął prostytutkę, podając jej nadmierną dawkę pigułki gwałtu.

Resztki tego środka zostały zabezpieczone w próbce krwi Emmy, jednak prowadzący śledztwo policjanci nie potraktowali tego jako żelaznego dowodu. Emma była lekarzem. Znacznie łatwiej, niż ogolić sobie samej włosy, było dla niej dotrzeć do tego medykamentu, który w małych dawkach działał pobudzająco i był często nadużywany jako narkotyk na prywatkach.

Artykuły bulwarowych mediów miały więcej do powiedzenia o seksualnych upodobaniach Nataschy W. (22) niż o odczuciach ludzi, którzy przez całe życie musieli znosić ból jak na torturach. Kiedy czytało się komentarze czytelników na forach internetowych, można było odnieść wrażenie, że większość z ofiar jest tu współwinną, no bo kto się oddaje za pieniądze nieznanym mężczyznom?

Ci, którzy to pisali, nawet nie myśleli o tym, że ofiary były czującymi żywymi istotami. Rosjanka, która tamtej nocy zapukała do drzwi hotelowego pokoju

Emmy, miała więcej empatii niż wszyscy komentujący razem wzięci.

Pech tylko, że śledczy nie potrafili jej znaleźć. Nie było w tym nic dziwnego. Która dama do towarzystwa podaje w recepcji swoje prawdziwe nazwisko albo mówi, do którego pokoju ją zamówiono? Tego rodzaju „dziewczyny” były w luksusowych hotelach nieuniknionymi, ale niewidocznymi gośćmi.

*Trzask.*

Polano w kominku odpadło od płonącej sterty. Samson nawet nie ruszył nosem, ale Emma wzdrygnęła się ze strachu.

Wyjrzała przez okno, popatrzyła na jodłę w ogrodzie, którą co roku ubierała jak choinkę. Śnieg przygiął jej gałęzie.

Widok przyrody był jedną z niewielu rzeczy, które ją uspokajały. Bardzo lubiła swój ogród. Mogła ciągle po nim chodzić i dbać o niego, był bodźcem, który pomagał jej uwolnić się od tego głupiego zaburzenia w głowie. Kiedyś z pewnością znajdzie siłę, żeby pójść na terapię, i pozwoli sprawdzić na sobie zalecenia fachowca.

*Kiedyś, tylko nie dzisiaj.*

Znalazła w skrzynce mejlowej oczywisty spam, w którym grożono jej zablokowaniem kart kredytowych, i kilka alarmujących newsów związanych z hasłem „Fryzjer”, wśród nich artykuł w „Bildzeitung” i drugi w „Berliner Zeitung”, który otworzyła w pierwszej kolejności. Kiedy stwierdziła, że nie zawiera nic nowego, skopiowała go w formacie PDF do folderu „Fryzjer\_TRZY\_śledztwa\_NATASCHA”.

W rzeczywistości zajęła miejsce, które Fryzjer wyznaczył dla Emmy. Natascha była już numerem cztery.

*Jestem kobietą, która się nie liczy.*

Emma dla każdej z ofiar miała jeszcze podfoldery: „Życie prywatne”, „Życie zawodowe” i „Własne teorie”, ale „Śledztwa” były oczywiście najważniejsze.

Tutaj znajdował się również artykuł „Spiegła” o pierwszym profilu sporządzonym przez Philippa, w którym scharakteryzował sprawcę jako psychopatycznego narcyza. Zamożnego, kulturalnego, z wyższym wykształceniem. Tak bardzo zakochanego w sobie, że niezdolnego do życia w związku. Ponieważ uważał się za osobę idealną, kobiety obarczał winą za swoją samotność. Kobiety, które kusily mężczyzn i przecież chciały od nich tylko jednego: pieniędzy. Były odpowiedzialne za to, że taki stateczny facet jak on nie potrafił kontrolować swoich popędów. Proces golenia głów rozumiał jako przysługę, którą wyświadczał męskiemu światu, „oszpecając” kobiety.

Istniała możliwość, że były inne ofiary, takie jak Emma, które po gwałcie „tylko” pozbawiał włosów. Być może nie chciał bezwzględnie zabijać swoich ofiar, lecz robił to tylko wtedy, gdy uznał, że i bez włosów na głowie były wciąż

atrakcyjne.

To przekonanie doprowadziło Philippa do przypuszczenia, że Fryzjer podczas popełniania przestępstw mógł używać noktowizora, żeby na koniec ocenić efekt. Spekulacja, którą Emma zapisała w folderze „Teorie”, podobnie jak tę, że sprawca, być może, brzydził się krwi. Bo przecież podczas golenia zadał jej ranę ciętą. W szpitalu opatrzyli jej ranę nad czołem i musieli usunąć zakrzepłą krew. Mógł to być ewentualny powód jej ocalenia, bo rana i krew tak ją zmieniły, że Fryzjer uważał swój czyn za ukończony.

Oficjalnie Philipp nie zajmował się sprawą z powodu osobistego związku, przy czym „związek” było to uprzejme określenie jego przełożonego „zbzikowanej żony z szalonymi fantazjami na temat gwałtu”.

Nieoficjalnie Philipp uruchomił wszystkie swoje źródła, żeby być na bieżąco z postępem śledztw. Emma była pewna, że nie mówił jej wszystkiego, czego się dowiedział, inaczej nie замуrowałoby jej, kiedy otworzyła stronę domową „Bilda”.

*Cholera.*

Zakryła dłonią usta i zmrużyła oczy.

Tytuł do fotografii składał się zaledwie z trzech słów, ale wypełniały one dwie trzecie monitora:

CZY TO ON?

Poniżej widniało kolorowe zdjęcie w zielonkawym odcieniu, uchwycone przez kamerę umieszczoną w suficie windy.

Kiedy się patrzyło od tylnego prawego rogu, widziało się mężczyznę w szarej bluzie z kapturem. Trzy czwarte jego twarzy było zakryte, a rozpoznawalna reszta mogła w zasadzie należeć do każdego białego, dorosłego mężczyzny, który nosił dżinsy i adidas.

Tym, co całkowicie wyprowadziło Emmę z równowagi, nie był widok szczupłej przeciętnej wzrostu postaci w lobby hotelu, w którym ofiara numer dwa rozstała się z życiem.

Poruszyło ją to, co mężczyzna trzymał w dłoniach, kiedy wychodził z windy.

„*Mężczyzna, który nie zameldował się jako gość, opuszcza hotel w noc śmierci Lariany F.*”, można było przeczytać. Ponieważ nie było pewne, czy rzeczywiście chodzi o sprawcę, ze względu na ochronę danych osobowych powstrzymywano się z publikacją, ale teraz zrobiono to z braku alternatywy.

Sporządzono też listę zwykłych numerów telefonicznych oraz bezpośredni link do policji, gdzie można było zgłaszać istotne dla sprawy informacje.

*Wielki Boże. Czy ja się nie mylę? Czy to nie...*

Emma szukała na biurku papierowej torebki, do której mogłaby oddychać, ale żadnej nie znalazła, zastanawiała się, czy powinna pójść do kuchni, żeby ją

przynieść, ale zdecydowała, że najpierw powiększy zdjęcie.

Dłonie, wciąż tkwiące w lateksowych rękawiczkach.

Palce.

Przedmiot, który obejmowały.

„*Funkcjonariusze zakładają, że Fryzjer wynosi swoje trofea*”, głosił tekst dalej.

*Włosy? W paczce?*

Emma spojrzała w górę. Jej wzrok powędrował po blacie biurka. I wrócił do zdjęcia.

*Mała, zapakowana w całkiem zwyczajny brązowy papier. Mniej więcej taka, jaka leżała przed nią. Anonimowa paczka, którą Salim dał jej dla sąsiada.*

*A. Palandta.*

Tego nazwiska nigdy wcześniej nie słyszała.

Emma czuła, jak niewielka kropla potu odrywa się jej od karku i spływa po kręgosłupie, i usłyszała warczenie Samsona, zanim jeszcze na poddaszu włączył się alarm.



## 12

Co to było?

Ogarnął ją strach, ale zmusiła się, żeby nie zareagować paniką, tylko zbadać przyczynę.

Hałas był zbyt cichy i zbyt daleki, żeby wywołać przeraźliwy alarm czujników ruchu. Najmniejszy ruch wykryty przez czujniki podczerwieni spowodowałby ogłuszający interwałowy alarm, i to w całym domu. Nie tylko na jednym z wyższych pięter.

Na dodatek dźwięk był za wysoki, prawie melodyjny.

*Jak...*

Emma miała pewne przypuszczenie, ale nie mogła go skonkretyzować. Myśl zniknęła niemal jednocześnie z sygnałem dźwiękowym, który ucichł tak raptownie, jak się włączył.

– Co to było? – zapytała teraz na głos, ale Samson cały czas leżał nieruchomo i nawet nie uniósł łba, spoczywającego na grubych łapach, co było raczej nietypowe, i Emma zaczęła się niepokoić, czy przypadkiem nie wymyśliła sobie hałasu.

*Czyżbym miała teraz jeszcze i omamy słuchowe?*

Zamknęła laptopa, odsunęła krzesło od biurka i wstała.

Parkiet trzeszczał pod jej stopami, dlatego chociaż miała na nogach lekkie balerinki, szła do schodów na palcach. Oparta o drewnianą poręcz w sieni, nasłuchiwała, ale nie słyszała nic oprócz cichego szumu w uchu. Szumy uszne, które odczuwa każdy, kiedy za bardzo koncentruje się na własnym słuchu.

Emma wyłączyła czujnik ruchu przy drzwiach wejściowych.

Potem zakradła się na górę, schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sypialnia, garderoba i duża łazienka.

Zapomniała włączyć światło na schodach, a tu, na górze (zaledwie o dwa stopnie od pierwszego piętra), żaluzje były opuszczone (czasem, kiedy dostawała migreny jako skutku ubocznego działania leków psychotropowych, nie wpuszczała światła przez cały dzień), dlatego wchodzenie Emmy po schodach można było

porównać z drogą w ciemność.

Do diabła, gdyby zesłała do piwnicy, mogłaby przynajmniej uzbroić się w gaśnicę, która wisiała na ścianie przy schodach.

– Samson, chodź! – zawołała, nie odwracając się i nie patrząc w dół, bo nagle przestraszyła się, że ktoś mógłby się wyłonić z czarnej dziury i ruszyć po schodach naprzeciw niej. I rzeczywiście, jakby Philipp zamontował czujnik dla jej bezpieczeństwa, jej głos znów włączył alarm.

*Jasny gwint!*

Ugryzła się w wargę, żeby nie krzyknąć.

Oczywiście mógł to być czysty przypadek, że teraz znów to usłyszała, na pewno. Tajemniczy hałas. I nie było to urojenie.

Wysoki sygnał dźwiękowy, teraz trochę głośniejszy, bo zbliżała się do źródła, które najwidoczniej nie znajdowało się na pierwszym piętrze, ale jeszcze wyżej, pod dachem. Od razu miała kilka skojarzeń.

Budzik był niegroźnym, ale też najmniej prawdopodobnym wyjaśnieniem, bo na poddaszu nie było niczego oprócz wiader z farbą, częściowo usuniętych desek podłogowych, pękniętej gipsowo-kartonowej ściany i mnóstwa porzucanych dokoła narzędzi. Żadnego zegara! A jeśli, to dlaczego dzisiaj, pół roku po zakończeniu remontu, miałyby zacząć dzwonić?

Nie, to nie był budzik na placu budowy w pokoju dziecięcym, który Emma potajemnie nazywała BER, od berlińskiego lotniska, które prawdopodobnie również nigdy nie zostanie ukończone. Tamtego dnia razem z włosami obcięto jej także pragnienie posiadania dziecka.

*Na razie*, powiedziała Philippowi. *Raz na zawsze*, zwierzyła się własnej duszy.

Ale jeśli to nie był zegar, w takim razie mógł to być tylko...

*...telefon komórkowy.*

– Samson, no chodź wreszcie! – zawołała, jeszcze głośniejsze i energiczniej. Myśl o telefonie komórkowym, który dzwonił nad nią na poddaszu, była niepokojąca. Idące z nią w parze stwierdzenie, że musiał do kogoś należeć, zaprowadziło Emmę na próg paniki.

I przekroczyła go w chwili, kiedy zatrzasnęły się drzwi do łazienki, oddalone od niej tylko o kilka metrów.

## 13

Rzuciła się do ucieczki. Bez namysłu, bez racjonalnej decyzji, bez rozważania innej opcji, bo wtedy na pewno zbiegłaby na dół, do Samsona. Do wyjścia.

Ale wbiegła po ostatnich stopniach schodów, przemierzyła niemal na ślepo wąski korytarz, gubiąc przy tym jeden kapeć, gwałtownie otworzyła drzwi do sypialni, a następnie zatrzasnęła je za sobą. Zamknęła drzwi zwykłym kluczem, który – na szczęście – tkwił w zamku. Przysunęła sobie krzesło, wcisnęła oparcie pod klamkę, tak jak widziała na filmach...

*...ale czy to w ogóle ma jakiś sens?*

Nie, nic nie miało tu sensu, już od dawna. Odkąd po nocy w Le Zen została napadnięta na przystanku autobusowym.

Bez włosów.

Bez godności.

*Bez rozumu.*

Oczy Emmy powoli przyzwyczajały się do ciemności.

W słabym dziennym świetle, które wpadało przez żaluzje, rozpoznawała tylko kontury. Cienie. Duże, niewyraźne powierzchnie. Łóżko, szafę, ciężkie dębowe drzwi z kasetonami.

Kucnęła obok komody – pamiątka rodzinna po babce, gdzie przechowywała bieliznę – i obserwowała klamkę, jedyny błyszczący przedmiot w pokoju.

To, czego nie mogły dojrzeć oczy, najwidoczniej rekompensował jej bardziej wyczulony słuch. Oprócz stukania, które sama powodowała, zbyt szybkiego oddechu i szelestu szlafroka, który unosił się i opadał na piersi, dochodziły do niej stłumione miarowe odgłosy.

Kroki.

Ciężkie kroki.

Posuwające się w górę po schodach.

Emma zrobiła najgorszą rzecz, jaką mogła zrobić.

Krzyknęła.

Ostro, przenikliwie. Usłyszała własny śmiertelny strach, który wyrwał się jej z

gardła, i chociaż była pewna, że tylko zwróciła tym na siebie uwagę, nie mogła przestać krzyczeć...

Opadła na kolana, przycisnęła dłoń do ust, przygryzła knykcie, jęczała i gardziła tą słabością.

Jakże była kiedyś dumna z tego, że zawsze ma kontrolę nad swoimi uczuciami, nawet w najbardziej stresujących sytuacjach. Na przykład kiedy zazdrośnik z chwiejną osobowością, którego chciała skierować do swojego kolegi, na pożegnanie uderzył ją w twarz w jej gabinecie. Albo kiedy jedenastoletnia pacjentka zmarła na guza mózgu, a ona w szpitalu aż do chwili śmierci razem z jej matką trzymała dziewczynkę za rękę. Zawsze udawało się jej odwlec moment załamania aż do powrotu do domu, gdzie w samotności mogła sama określić chwilę wybuchu wściekłości albo smutku i mogła kontrolowanie wykrzyczeć się z twarzą wciśniętą w poduszkę. Ale ten sposób samokontroli już od dawna nie działał i nienawidziła siebie za to.

*Jestem wrakiem człowieka.*

*Krzyczącą, wyjącą kupką nieszczęścia, która przy każdej reklamie z niemowlętami zaczyna płakać. A na widok każdego napotkanego mężczyzny myśli o Fryzjerze.*

I widząc klamkę, którą ktoś poruszał z zewnątrz, czekała na pewną śmierć.

Ostatnie, co widziała, to drganie drzwi, w które ktoś mocno uderzał. Zamknęła oczy, chciała wstać, przytrzymując się komody, ale osunęła się obok niej bezsilnie jak pijana, która nie potrafi utrzymać równowagi.

Z jękiem opadła na podłogę, poczuła w ustach smak łez, zapach potu, który kapał jej z brwi (*dlaczego przy okazji również ich nie ogolił?*), i pomyślała o rolecie, której ja, *głupia krowa, dziś rano nie podniosłam*. Teraz nie miała czasu, żeby podciągnąć w górę ciężar. I skoczyć.

Z pierwszego piętra nie było wysoko, na dodatek w ogrodzie leżała gruba warstwa śniegu.

*Prawdopodobnie dałabym radę...*

Krzyki i myśli urwały się, kiedy drzwi rozleciały się na kawałki i na mokrej od łez twarzy poczuła powiew zimnego powietrza.

Słyszała sapanie. Kroki, krzyk. Nie jej. Intruza.

*Krzyk mężczyzny.*

Potem czyjeś dłonie wyprostowały jej ręce, którymi w obronnym geście zakrywała głowę, siedząc w kucki jak małe dziecko w oczekiwaniu na karę.

*Nie, raczej jak kobieta w oczekiwaniu na śmierć.*

W końcu usłyszała swoje imię.

Emma.

Wykrzykiwane głosem, którego teraz, w prawdopodobnie ostatniej wolnej od

bólu chwili, najmniej się spodziewała.

Potem poczuła uderzenie. W sam środek twarzy.

Policzek piekł ją jak od dotknięcia meduzy, a łyzy gryzły pod powiekami. Zamglonym wzrokiem widziała dwóch intruzów.

Obaj stali blisko siebie. I poznała ich mimo słabego światła i zasłony na oknach.

Nic dziwnego.

Jeden z nich był jej mężem.

# 14

**Philipp** nie był wymarzoną mężczyzną, w każdym razie nie takim, o jakim śni przeciętna kobieta. Nie był księciem z bajki, który dzwoni trzy razy dziennie tylko po to, żeby powiedzieć „kocham cię”, zanim po pracy wstąpi do kwaciarni, sklepu z bielizną albo biżuterią, kupi dowód miłości, którym zaskoczy swoją ukochaną. I tak dzień w dzień, aż do złotych godów, a nawet dłużej. Nie był mężczyzną, który nigdy się nie kłóci, nie ogląda za innymi, jest zawsze miły dla własnej matki i uwielbia gotować.

Był za to godnym zaufania partnerem.

Kimś, kto bronił własnego zdania, szorstkim człowiekiem, na którym mogła polegać bardziej niż na ręce, podającej jej płaszcz.

Dawał jej bezpieczeństwo i zaufanie. Mimo wszystkich komplikacji, od jakich zaczął się ich związek.

Potrzebował miesięcy, żeby zerwać ze swoją byłą partnerką, i tygodniami żył w podwójnym związku z „Kilian”.

Oczywiście dziewczyna nie nazywała się tak naprawdę, ale Philipp zapisał numer Franziski w swojej komórce pod imieniem kolegi z boiska, żeby Emma niczego nie podejrzewała, kiedy znów zadzwoni telefon albo przyjdzie esemes od jego byłej. Kiedy przypadkiem domyśliła się tego, doszło do ich pierwszej większej kłótni, która omal nie zakończyła się zerwaniem. Ostatecznie jednak uwierzyła Philippowi, że ten wybieg nie miał na celu zostawienia sobie otwartej furtki. Nie mógł zapobiec dość histerycznym, prowadzonym po paru kieliszkach wina telefonom Franziski i po prostu przerejestrować służbowej komórki. Tak więc przynajmniej starał się chronić Emmę przed niepotrzebnym stresem, a siebie przed niepotrzebnymi kłótniami. Bez powodzenia.

Ostatecznie problem rozwiązał się sam, kiedy Franziska znalazła innego partnera i przeprowadziła się do Lipska. Numer Kiliana został raz na zawsze skasowany.

Poza tym miewał zwykłe dziwactwa, jakie miewają mężczyźni. Lubił wychodzić na dłużej z przyjaciółmi, nie informując jej esemesem, jeśli zmieniali

knajpę. Chrapał, zalewał łazienkę, a przy jedzeniu opierał łokcie na stole. Kiedyś zapomniał o ich rocznicy ślubu, a raz w napadzie furii z całej siły rzucił pełnym kubkiem kawy w ścianę kuchni (do dziś jest na niej plama), ale nigdy, nigdy, nigdy jej nie uderzył.

Trzeba jednak przyznać, że Emma wcześniej nie dała mu ku temu uzasadnionego powodu.

– Przepraszam – powiedział teraz, kilka minut później. Sprowadził ją po schodach do kuchni, gdzie usiedli przy kwadratowym drewnianym stole, przy którym dawniej w weekendy lubili jeść wspólnie śniadania, ponieważ mieli stąd ładny widok na ogród. Ogród sąsiadów był bardzo zaniedbany, dlatego człowiek miał wrażenie, że spogląda na las.

Emma skinęła głową i chciała powiedzieć: „Już dobrze”, ale głos ugrzązł jej w gardle, gdzieś w połowie drogi.

Mocno trzymała się pękatego kubka do kawy, z którego nic by nie wypila. Philipp stał przy kuchennym blacie obok zlewozmywaka. Zachowywał dystans.

Nie chciał tego, ale wiedział, że ona tego teraz potrzebuje. Jeszcze przez kilka minut, aż głos strachu w jej głowie umilknie.

– Cholera, tak mi przykro. – Szczekał zębami i patrzył na swoje dłonie, jakby nie mógł pojąć, co zrobił.

– Nie. – Emma pokręciła głową, ciesząc się, że odzyskała mowę, nawet jeśli z gardła wydobywał się jej tylko charkot. – Dobrze zrobiłeś. – Uderzenie, od którego wciąż palił ją policzek, zdusiło słup ognia paniki. Dopiero po ciosie przestała krzyczeć i uspokoiła się.

– Zupełnie wyszłam z siebie – przyznała i jednocześnie pomyślała: *A więc tak czują się moi pacjenci, kiedy mi się zwierniają. Czy oni też widzą, jak absurdalne było ich zachowanie, kiedy patrzą na to z perspektywy czasu?*

Emma uznała, że to ktoś obcy dobijał się do drzwi łazienki, a przecież wszystko dało się wytłumaczyć niespodziewanym powrotem Philippa do domu.

Zapomniał wziąć materiały do swojego odczytu i zawrócił na autostradzie. Zadzwoił nawet, żeby ją uprzedzić, ale nagrał się tylko na pocztę głosową, kiedy leżała nieprzytomna w salonie.

– Kiedy usłyszałem, jak krzyczysz, od razu pobiegłem na górę – powiedział.

Sprawił wrażenie, jakby postarzał się o lata, i Emma bała się, że powodem tego nie było światło wiszącej lampy. Wydawało się, że posiwiały mu skronie, włosy się przeredziły, czoło pokryło zmarszczkami, za co, jak przypuszczała, mniejszą winę ponosił jego wiek, czterdzieści lat, a dużo bardziej to, co pół roku temu całkowicie się zmieniło: ich życie.

Najchętniej wstałaby, wyciągnęła do niego rękę, pogłaskała po pośpiesznie ogolonej dziś rano brodzie i powiedziała: „Nie przejmuj się, wszystko jest już dobrze. Pojedziemy do Tegel, wsiądziemy do pierwszego lepszego samolotu, polecimy do miejsca, którego oboje nie znamy. Najważniejsze, żeby daleko stąd. Zostawimy to wszystko za sobą”.

Ale tak się nie dało. Nie doszłaby nawet do drzwi. Do diabła, nie miała siły, żeby przesunąć stół. Powiedziała więc tylko:

– Myślałam, że to włamywacz.

– Kto?

– Nie mam pojęcia. Ktoś.

Philipp westchnął smutno jak mały chłopiec, który miał nadzieję, że zabawka po mozolnej naprawie znów będzie działać, a tymczasem przy pierwszej próbie okazuje się, że wciąż jest popsuta.

– Nikogo tu nie ma. Drzwi do łazienki zamknęły się, kiedy otworzyłem drzwi wejściowe. Wiesz przecież, jaki tu przeciąg.

Przytaknęła, ale jednocześnie wykrzywiła wargi.

– To nie wyjaśnia dzwonięcia.

– Jakiego dzwonięcia?

Emma odwróciła się do głosu za swoimi plecami. W kuchennych drzwiach stał Jorgo Kapsalos, najlepszy przyjaciel Philippa i partner w BKA. To on był tym drugim mężczyzną, którego widziała w sypialni.

Dziś rano przyjechał po Philippa, ale został w samochodzie. Teraz wszedł razem z nim i przyglądał się jej jak zawsze, kiedy się spotykali: tęsknie i z jakąś nieuświadomioną nadzieją.

Philipp udawał, że nie widzi spojrzeń swojego partnera, albo błędnie je interpretował, Emma jednak domyślała się, dlaczego Jorgo tak melancholijnie na nią patrzy. Od czasu do czasu wykorzystywała Konrada, żeby wzbudzić zazdrość w Philippie, ale nigdy nie wykorzystywałaby uczuć Jorgo. Ponieważ w przeciwieństwie do adwokata partner jej męża był stuprocentowym heteroseksualistą. Biedak był w niej beznadziejnie zakochany. I Emma wiedziała o tym już od dnia jej ślubu, kiedy Jorgo, kompletnie pijany, wybełkotał jej w tańcu do ucha, że, *na miły Bóg*, wyszła nie za tego, za którego powinna.

– Jakie dzwonięcie? – powtórzył Philipp.

– Nie mam pojęcia. Budzik albo komórka. Myślę, że dochodziło ze strychu.

Odkąd obaj mężczyźni wyłamali drzwi do sypialni i wtargnęli do pokoju, nic już nie było słychać.

– Mógłbyś jeszcze raz sprawdzić pokoje? – poprosił Philipp swojego partnera.

– Nie, proszę, nie! – Emma na próżno szukała słów, żeby wyjaśnić, że kiedyś już to wszystko przeżyła.



Kiedyś przeszukała pokój i przekonała się, że była sama, a potem została zgwałcona. Co oczywiście było zupełnie irracjonalne i nielogiczne, ale Emma bała się, że przeszukanie wywołałoby takie samo nieszczęście, a w następstwie doprowadziło do kolejnej katastrofy. Jakby istniała tabliczka mnożenia zła. Równanie z niewiadomą o nazwie niebezpieczeństwo i ustalonym z góry wynikiem: ból.

Tok jej myśli był patologiczny, zdawała sobie z tego sprawę jak nikt inny. Dlatego nie zdradziła go obu psychicznie zrównoważonym mężczyznom i powiedziała tylko:

– Powinniście już iść. Już dość długo was zatrzymuję.

– Nie pleć bzdur. – Jorgo machnął ręką. Był masywnie zbudowanym, umięśnionym facetem, którego chciałoby się mieć u swego boku na ciemnej stacji metra, kiedy z naprzeciwka zbliża się banda pijaków. – Najwyżej opuścimy pierwsze seminarium. I tak nie jest ważne.

Philipp skinął głową.

– Mój odczyt też jest zbędny. Myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedziesz beze mnie, Jorgo.

– Skoro tak uważasz. – Jorgo wzruszył ramionami, ale nie wyglądał na uradowanego. Emma domyśliła się dlaczego. On sam wolałby z nią zostać. Najlepszy przyjaciel męża wysłał jej kilka mejli, w których oferował swoją pomoc po ciężkim doświadczeniu, jakie ją spotkało. Wszystkie usuwała, ostatniego nawet nie czytając.

– Tak, będzie lepiej, jeśli zostanę. – Philipp znów skinął głową. – Przecież widzisz, że jest zupełnie roztrzęsiona.

Mówił tak, jakby Emmy w ogóle nie było w pokoju. Jeden z jego nawyków antytraumatycznych.

– Nie mogę zostawić jej tu samej.

– Ależ możesz. To żaden problem – odpowiedziała Emma, chociaż „to żaden problem” wyrażało coś przeciwnego niż to, co czuła.

Philipp podszedł do niej, wziął ją za rękę.

– Emma, co cię dzisiaj tak wyprowadziło z równowagi?

*Dobre pytanie.*

Reklama maszynki do golenia? Zdjęcie Fryzjera w windzie?

*Albo, zaczekaj, nie...*

– Jaka paczka? – usłyszała pytanie Philippa i to uświadomiło jej, że tego przedpołudnia już drugi raz wypowiedziała na głos swoje myśli.

– Skrzynka z jedzeniem w wejściu? – dopytywał.

– Nie, przepraszam, jeszcze jej nie wypakowałam.

Po tym, że zapomniała powiedzieć mężowi o dziwnej paczce na biurku, Emma

zorientowała się, jak jest rozkojarzona. Czuła, że właśnie przeoczyła jeszcze coś innego, coś istotnego, ale nie mogła sobie tego uświadomić. I prawdopodobnie paczka jest o wiele ważniejsza.

– Salim poprosił mnie, żebym przyjęła coś dla naszego sąsiada.

– I? – zapytali jakby jednym głosem Jorgo i Philipp.

– Nigdy nie słyszałam tego nazwiska – dokończyła Emma.

*Cholera, jak on się nazywa?* Emma ze zdenerwowania naprawdę zapomniała, ale po chwili rozjaśniło się jej w głowie.

– Znasz jakiegoś A. Palandta?

Philipp pokręcił głową.

– No widzisz. Ja też nie.

– Być może jest nowy w tej okolicy – zauważył Jorgo.

– Wiedzielibyśmy – odpowiedziała Emma niemal przekornie.

– I to cię tak zdenerwowało, mała? – Philipp mocniej ścisnął jej dłoń. – Paczka dla sąsiada?

– Nieznanego sąsiada. Skarbie, wiem, że reaguję zbyt...

Zignorowała ciche westchnienie Philippa.

– ...ale przecież naprawdę znamy tu każdego i...

– ...i prawdopodobnie jest to jakiś lokator, być może zięć, który przez jakiś czas mieszka u rodziców narzeczonej i każe sobie tutaj doręczać pocztę – domyślał się Philipp. – Istnieje tysiąc niegroźnych rozwiązań.

– Prawdopodobnie masz rację. Ale mimo to wolałabym, żebyś rzucił okiem na tę paczkę. Przecież na pewno możesz dotrzeć do nagrania z kamery monitoringu w hotelowej windzie...

Twarz Philippa zachmurzyła się.

– Znowu surfowałaś po Internecie?

I jakby w reakcji na wypowiedziane przez niego hasło znów to nastąpiło.

Dwa piętra nad nimi.

Coś dzwoniło.

Smutne spojrzenie, z jakim Jorgo, oparty o framugę drzwi, przysłuchiwał się rozmowie, znikło i na jego twarzy pojawił się wyraz koncentracji.

Również Philipp zrobił to, co Emma nazywała „miną policjanta”: zmrużone oczy, zmarszczone czoło, głowa przekrzywiona na bok, wargi lekko rozchylone, język przyciśnięty do górnych przednich zębów.

Po krótkim kontakcie wzrokowym, w przerwie między dwoma dzwonkami, obaj mężczyźni skinęli do siebie głowami, potem Jorgo powiedział:

– Pójdę zobaczyć.

I zanim mogła zaprotestować, partner Philippa zniknął w korytarzu. Pewnym krokiem szedł po schodach, z dłonią przy pasku, do którego była przypięta kabura

ze służbową bronią.

## 15

Tak dalej się nie da – wyszeptał Philipp, jakby się bał, że Jorgo może go usłyszeć. – Musisz podjąć decyzję.

– Słucham?

Odległe dzwonięcie szarpało nerwy Emmy i nie mogła skoncentrować się na głosie męża. Na dodatek nie potrafiła stawić czoła potwornym obrazom w swojej głowie. Obrazom tego, co tam na górze mogło przytrafić się Jorgo – na przykład podejrzanego gardła, które otwierało się i zamykało i z którego przy każdym krzyku, daremnie próbującego się wydobyć, na podłogę wciąż niegotowego dziecięcego pokoju wylewał się potok krwi.

– O czym tym mówisz, Philipp? – zapytała znowu.

Mąż stanął tuż przy niej, nachylił się tak blisko, że jego policzek dotykał jej policzka, tego, w który ją uderzył.

– O terapii, Emma. Wiem, że chcesz sama się z tym uporać, ale dzisiaj przekroczyłaś granicę.

Emma zadrżała, kiedy poczuła na uchu jego oddech. Przez chwilę sądziła, że przypomina sobie język, który w ciemności hotelowego pokoju drąży jej ucho, podczas gdy ona, niezdolna zrobić najmniejszego ruchu, mogła wydawać tylko stłumione krzyki, ale Philipp powiedział tylko łagodnie:

– Musisz pójść na terapię. Rozmawiałem o tym z doktor Wielandt.

– Z policyjną psycholożką? – zapytała Emma przerażona.

– Ona zna twoje akta. Wiele osób je zna. Przecież musieliśmy sprawdzić prawdziwość... – zająknął się, najwidoczniej uznał, że nie może dokończyć zdania, nie raniąc Emmy.

– ...sprawdzić prawdziwość mojego zeznania. Już dobrze. I co myśli doktor Wielandt? Że jestem chorobliwą kłamczuchą, która dla zabawy wymyśliła gwałt?

Philipp oddychał ciężko.

– Boi się, że w dzieciństwie przeszłaś głęboką traumę...

– Ach, przestań już!

– Masz wybujałą fantazję. Widziałaś rzeczy, których nie było.

– Miałam wtedy sześć lat! – krzyknęła.

– Zaniechane przez ojca dziecko, które rekompensowało sobie brak jego bliskości wymyślonymi postaciami, mającymi go zastąpić.

Emma roześmiała się.

– Czy doktor Wielandt musiała ci to zapisać, czy nauczyłeś się tego na pamięć od razu za pierwszym razem?

– Emma, proszę...

– Nie wierzysz mi?

– Nie powiedziałem tego...

– Więc teraz myślisz, że mam halucynacje, tak? – przerwała. – Wszystko to było urojeniem? Męczyzna w hotelowym pokoju, zastrzyk, ból? Krew? Co ja mówię, może wcale nie byłam w ciąży. Może tylko to sobie wymyśliłam? A alarm na strychu, który też jest tylko w mojej głowie...

Raptownie zamilkła.

*O Boże.*

Nie słyszała już dzwonienia.

Ustało.

Wstrzymała oddech. Popatrzyła w górę na sufit, który pilnie potrzebował nowej warstwy farby.

– Proszę, powiedz, że ty też to słyszałeś – powiedziała do Philippa i przycisnęła dłoń do ust. Nagłą ciszę uznała za zwiastuna przerażających wiadomości. – Ty też to słyszałeś, prawda?

Philipp nie odpowiedział, zamiast tego usłyszała kroki na schodach. Odwróciła się do drzwi, w których pojawił się Jorgo z rumieńcami na twarzy.

– Macie baterie? – zapytał.

– Baterie? – powtórzyła zmieszana.

– Do czujki pożarowej – odparł Jorgo i pokazał mały dziewięciowoltowy klocek na otwartej dłoni. – Coś takiego trzeba wymieniać co najmniej raz na pięć lat, w przeciwnym wypadku zacnie pikać jak u was pod dachem.

Emma zamknęła oczy. Zadowolona, że istniało tak niewinne wyjaśnienie dzwonienia, ale jednocześnie irracjonalnie rozczarowana. W gruncie rzeczy doznała załamania nerwowego z powodu sygnału alarmu pożarowego, a jej gwałtowna reakcja jeszcze wzmocniła wątpliwości męża co do jej zdolności pojmowania.

– Dziwne. – Philipp podrapał się w tył głowy. – Właściwie to nie powinno się zdarzyć. Sprawdzałem wszystkie czujniki nie dalej niż w ubiegłym tygodniu.

– Widocznie nie dość dokładnie. Więc jak? – usłyszała pytanie Jorgo i przez chwilę nie wiedziała, do czego on zmierza. – Baterie? – powtórzył, a ona skinęła głową.

– Poczekaj, sprawdzę. – Przeszła obok Jorgo i Philippa do salonu, kiedy naraz uświadomiła sobie, o czym przed chwilą zapomniała.

*Samson!*

W zdenerwowaniu przestała o nim myśleć i dopiero teraz, kiedy jej wzrok padł na posłanie obok kominka, zorientowała się, co nie dawało spokoju jej podświadomości.

*Dlaczego nie przyszedł, kiedy go wołałam?*

Samson uniósł tylko zmęczony łeb i wydawał się uśmiechać, kiedy patrzył na swoją panią. Emma wystraszyła się jego mętnego spojrzenia. Płytko oddychał i miał suchy nos.

– Coś cię boli, mój mały? – zapytała i podeszła do regału, gdzie w najniższej szufladzie leżał elektroniczny termometr. Jednocześnie jej wzrok padł na biurko i z sekundy na sekundę nie była już w stanie zastanawiać się nad zdrowiem Samsona.

Kiedy ujrzała blat...

Na którym leżała przesyłka, którą dał jej Salim.

*Błąd.*

Na którym powinna leżeć.

Ponieważ tam, gdzie ją zostawiła krótko przed otwarciem notebooka, żeby jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciu Fryzjera zrobionemu w windzie, nie było niczego.

Paczka dla A. Palandta zniknęła.

# 16

## Trzy tygodnie później

**I** zostawili cię samą?

Konrad prawie się nie poruszał, nawet nie zmienił pozycji nóg założonych jedna na drugą ani nie rozluźnił opartych na kolanach dłoni: wyjaśnił jej to, kiedy zapytała go o jego opanowanie ciała.

W przypadku trudnych klientów, takich, którzy coś ukrywają, wystarczyło najmniejsze zakłócenie skupienia, żeby przerwać potok ich słów.

*A więc jestem dla niego taką klientką.*

Nie była już traktowaną jak córka przyjaciółką, lecz trudną klientką, której opowieść trzeba skrupulatnie sprawdzić.

– Philipp wyszedł z kolegą, mimo że paczka zniknęła bez śladu? – Konrad strzelił palcami. – Tak po prostu?

– Nie, wcale nie *tak po prostu*.

Emma odwróciła wzrok do okna. Jezioro pokrywała cienka warstwa śniegu. Pokrywa lodu zapraszała do jazdy na łyżwach, ale Emma wiedziała, jak zwodniczy może być taki widok. Co roku ludzie, którzy przecenili wytrzymałość lodu na Wannsee, wpadali do wody. Na szczęście dzisiaj nie widziała śmiazków, którzy igrają z losem, może z powodu pochmurnej pogody. Jezioro i jego brzegi były wyludnione. Tylko na jednym brzegu zgromadziło się kilka kaczek i łabędzi mimo padającego śniegu, który pogrzyżył okolicę w smutnej szarości.

– Okłamałam Philippa. Powiedziałam mu, że nerwy musiały spłatać mi figła i chyba wypiałam za mało płynów. Stąd utrata przytomności i halucynacje o paczce, której nigdy nie było.

– I on w to uwierzył? – zapytał Konrad z powątpiewaniem.

– Nie, ale kiedy na jego oczach połknęłam diazepam, wiedział, że będę spała pół dnia.

– To na zaburzenia lękowe? – zapytał Konrad i Emmie przyszło na myśl, że przecież jest adwokatem, a nie lekarzem. W duchu widziała go już pracującego

nad teorią niepoczytalności, wskutek nadmiernego stosowania tabletek. Miał wprawdzie o wiele więcej argumentów niż jedno śmieszne przedawkowanie leków, żeby w jej przypadku wnioskować o uznanie niepoczytalności. Ale pewnie zaraz do tego dojdą.

– Tak, właściwszy byłby lorazepam. To nowy środek, działa szybciej i nie jest tak silny jak diazepam, po którym człowiek robi się niesamowicie zmęczony. Ale, niestety, miałam w domu tylko to.

– Połknęłaś więc proszek, a oni pojechali na spotkanie do Bad Saarow?

– Najpierw sprawdzili czujniki ruchu we wszystkich pomieszczeniach i przy okazji przeszukali cały dom, łącznie z piwnicą.

Nie potrafiła powiedzieć, czemu to przypisać, jego zaciśniętym wargom czy też jego sucho dźwięczącemu głosowi, ale wyraźnie czuła, że Konrad bardzo potępia jej męża. Nigdy się nie lubili, co oczywiście miało związek z tym, że Emma nie zaprotestowała, kiedy Philipp wygłaszał komentarze na temat *sugar daddy*, a niekiedy nawet podsycala jego zazdrość. Konrada natomiast zadziwiał nieokrzesany „wieśniak”, który bez przywitania przekazywał telefon albo przy okazji rzadkich spotkań ledwo raczył podać mu rękę.

W tym jednak konkretnym wypadku przypisywanie Philippowi grubiaństwa było nieuzasadnione. Gdyby Konrad był na miejscu Philippa, a ona przysięgłaby mu w taki sam sposób, też przysłoby mu z trudem odmówić jej prośbie.

*Potrzebuję spokoju, Phillipie. Dużo bardziej by mnie stresowało, gdybym wiedziała, że z mojego powodu nie wygłosiłeś odczytu. Wzięłam lekarstwo. Wszystko sprawdziliście, a poza tym po południu wpadnie tu Sylvia, żeby mnie przypilnować, wyświadczcie więc mnie i sobie przysługę i zostawcie mnie samą, dobrze?*

Nic z tego nie było kłamstwem, a mimo to nic też nie było szczere.

– I proszek zadziałał? – zapytał Konrad.

Dolał jej trochę herbaty. Niedługo trzeba będzie wymienić świeczkę w podgrzewaczu. Prawie cały knot pływał już w wosku.

– Tak, i to bardzo.

– Poczułaś zmęczenie?

Emma wzięła filiżankę i umoczyła usta w herbacie. Mieszanka assam miała gorzki i cierpki smak, jakby trochę za długo naciągała.

– Diazepam ściął mnie z nóg. Byłam senna jak przed operacją.

– I nie bałaś się?

– Nie od razu. Ale polegało to na tym, że...

– Co?

– Co... coś się wydarzyło. Kiedy się zegnaliśmy.

Konrad uniósł brwi i czekał, aż Emma zacznie mówić dalej.



– Jorgo. Podał mi rękę...

– I?

– I coś do niej włożył.

– Co?

– Kartkę.

– Co było na niej napisane?

– Najpiękniejsza rzecz, jakiej od dawna, od bardzo dawna nie powiedział mi mężczyzna.

– Kocham cię? – zapytał Konrad.

Emma pokręciła głową.

– Wierzę ci – powiedziała i zrobiła przerwę, w której pozwoliła działać słowu.

Konrad nie wydawał się zaskoczony, ale przy jego twarzy pokerzysty niewiele to znaczyło.

– Wierzę ci – powtórzył cicho.

– Jorgo nabazgrał to na małej karteczce. I żebym do niego zadzwoniła. Przeczytałam tę wiadomość, gdy tylko wyszli, i oniemiałam.

– A potem?

Emma zatrzęsa się, zanim odpowiedziała Konradowi.

– Przecież wiesz, co się stało.

– Chcę to usłyszeć z twoich ust.

– I, i...

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie drzwi wejściowe do swojego domu. Od wewnątrz. Widziała, jak wyciągnęła rękę do klamki, dwa razy przekręciła klucz.

– Zrobiłam coś nie do pomyślenia – dokończyła.

Konrad skinął głową prawie niezauważalnie.

– Pierwszy raz od sześciu miesięcy?

– Tak.

Konrad pochylił się do przodu.

– Dlaczego?

Emma uniosła głowę. Popatrzyła mu prosto w oczy. Zobaczyła siebie jako małe odbicie w jego źrenicach.

– Z powodu krwi – szepnęła. – Nagle wszędzie była krew.

# 17

## Trzy tygodnie wcześniej

Emma klęczała w czerwonej kałuży pośrodku salonu, w połowie odległości między kominkiem a swoim biurkiem, i czuła się dziwnie spokojna. Krew tryskała strumieniem, całkiem nieoczekiwanie, mimo rżenia i sapania.

Głęboki wdech, spastyczny skurcz górnych mięśni piersiowych. Dźwięk, jakby coś żyjącego wypuściło powietrze z ciała, potem Samson zwymiotował przed jej stopami.

– Moje biedactwo, co ci jest?

Pogłaskała go po łbie, czuła, jak pies drży pod jej dotykiem, jakby było mu tak samo zimno jak jej.

Philipp i Jorgo wyszli niecałe pół godziny temu i przez ten czas po raz drugi postawiła dom na głowie, szukając paczki, która rzeczywiście zniknęła.

*Ale to niemożliwe!*

Potwornie zmęczona, z karkiem zlanym potem, Emma wróciła do salonu. W przypływie rozpaczycy chciała na koniec zajrzeć pod koc Samsona, sprawdzić, czy przypadkiem pies nie wpadł na pomysł, żeby przywlec paczkę na posłanie. Zamiast tego zastała go w tym stanie.

– Samson, piesku, słyszysz mnie?

Husky znów dostał torsji.

W normalnych okolicznościach Emma śmiertelnie by się przeraziła i najpierw zakryłaby dłonią usta, ze strachu, że sytuacja ją przerasta. Ale niedawno połknięty diazepam uspokoił największe fale strachu, nie rozwiewając ich do końca. To było porównywalne ze znieczuleniem u stomatologa. Człowiek nie czuje już kłujących płomieni bólu, ale wszechobecny tłący się ogień, który głęboko w środku czeka tylko na to, by na nowo wybuchnąć, gdy tylko ustąpi działanie zastrzyku.

*A teraz?*

Wyjrzała na zewnątrz. Srebrnogłowa wrona siedziała na gołej magnolii i

wydawała się mrugać do niej, ale oczywiście było to urojenie. Padało coraz bardziej. Emma nie widziała oczu zwierzęcia.

To raczej podświadomość chciała powiedzieć jej, co ma zrobić.

*Musisz wyjść z domu!*

– Nie! – powiedziała głośno, ale ledwie sama siebie słyszała, bo Samson znów wymiotował. Tym razem wydzielił trochę mniej krwi, ale to nie poprawiło sytuacji.

*Przecież dobrze wiesz. Musisz stąd wyjść. Samson potrzebuje pomocy!*

– Za żadne skarby. – Pokręciła głową i podeszła do biurka, na którym leżała jej komórka.

*I do kogo chcesz zadzwonić?*

– Jak to do kogo, do pogotowia weterynaryjnego.

*Jesteś pewna?*

– Oczywiście, spójrz tylko na niego.

Spojrzała na Samsona.

*Rozumiem, powiedział głos w jej głowie, który przypominał przemądrzałą wersję jej własnego głosu. Prawdopodobnie nie zostało mu dużo czasu. Ale naprawdę tego chcesz?*

– Uratować go?

*Narazić się, odparł głos.*

Emma potrzebowała chwili na przetrwanie tych słów. Potem odłożyła telefon na biurko.

– Masz rację.

*Nie mogę do nikogo dzwonić.*

Ponieważ nie skończyłoby się na telefonie. W którymś momencie ktoś obcy stanąłby pod jej drzwiami. Obcy weterynarz, którego musiałaby wpuścić, bo nie mogła pozwolić, żeby lekarz badał Samsona na dworze na zimnie. A w końcu i tak musiałaby pojechać z nim do kliniki dla zwierząt, jeśli okazałoby się, że nie można mu pomóc na miejscu.

– Do diabła – zaklęła.

Samson leżał teraz na boku, w pozycji embrionalnej, i dyszał. Jego język zwisał bezwładnie z pyska, nos był całkiem suchy. Nitki krwi ciągnęły się od czarnych warg do podłogi.

– Co ci jest, piesku?

*I co mam teraz zrobić?*

W jej stanie nie mogła wpuścić do domu nikogo obcego. Ale jedyna logiczna alternatywa, żeby wyjść z domu, tak samo wzbudzała strach.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Philippa, ale wtedy musiałby definitywnie zapomnieć o spotkaniu, a tego nie chciała mu robić.

*Może to tylko jakiś wirus?*

Pogłaskała Samsona po miękkiej sierści i ledwo czuła jego unoszące się żebra. Być może to zapalenie płuc, ale objawy były za bardzo drastyczne i wystąpiły zbyt nagle.

W każdym razie teraz wyjaśniło się, dlaczego od jakiegoś czasu był taki apatyczny.

*Mój biedny misiu, to raczej wygląda tak, jakby ktoś cię...*

Gwałtownie wstała, zelektryzowana szokującą myślą.

*...jakby ktoś cię otruli!*

Obraz Salima, który zapytał, czy może dać Samsonowi smakołyk, nie chciał wyjść jej z głowy.

*Nie, nie, nie. To kompletna bzdura.*

Myśl Emmy wpłynęła połową siły w nurt jej świadomości, typowe działanie środków uspokajających. Mogła jeszcze wysnuwać wnioski, ale wszystko trwało dwa razy dłużej.

*Przecież nie Salim. Samson za każdym razem coś od niego dostawał i nigdy nic się nie stało.*

Wrona za oknem znikła. Emma widziała jeszcze pióra jej ogona, kiedy odlatywała dokładnie w tym kierunku, w którym ona też musiała się udać.

Weterynarz doktor Plank miał swój gabinet przecznicę dalej w stronę Herstraße.

Musiała włożyć coś ciepłego, przypiąć Samsonowi smycz, a może nawet go nieść, ale nie to tak bardzo ją martwiło.

Największym problemem był fakt, że musiała otworzyć drzwi i pierwszy raz od prawie sześciu miesięcy porzucić ochronę, jaką stanowiły jej własne cztery ściany.

– Nie, nie dam rady. To nie do pomyślenia – powiedziała, co oczywiście było paradoksem, skoro pomyślała o tym dopiero teraz. I o tym, że nigdy nie zdobyłaby się na zburzenie ściany, którą odgrodziła się od zewnętrznego świata, i zrobienie nie jednego kroku, lecz od razu kilku kroków w świat, z którym nie chciała już mieć nic do czynienia.

*Nie, nie uda mi się.*

Nawet jeśli doktor Plank był najbliższym lekarzem w okolicy, niecałe pięć minut drogi piechotą, i jego gabinet był otwarty w soboty do osiemnastej, podczas gdy większość innych weterynarzy w Berlinie w ogóle nie pracowała w weekendy.

*I tak nie mogę tego zrobić.*

*To nie do pomyślenia.*

Przez kwadrans siedziała nieruchomo na podłodze przy cierpiącym zwierzęciu, aż podjęła decyzję, żeby najpierw spróbować bez pomocy z zewnątrz.

Wtedy Samson pierwszy raz przestał oddychać.

## 18

Strach wżera się w duszę i draży człowieka od wewnątrz. Żywi się życiem swojej ofiary: żeby włożyć na siebie coś ciepłego, Emma potrzebowała pół godziny, samo zawiązanie sznurowadeł przy butach wymagało kilku prób, zanim zdrętwiałymi palcami podciągnęła zamek błyskawiczny w puchowej kurtce i zlana potem otworzyła drzwi, co trwało, jak się jej wydawało, całą wieczność.

Diazepam, który połknęła, popijając łykiem wody z kranu, w jednej chwili wywołał więcej działań ubocznych niż pożądaných. Emma była potwornie zmęczona, a żelazna obręcz na piersi nie chciała się rozluźnić.

Na szczęście Samson zaczął znów oddychać, ale w żadnym razie nie mógł ustać na własnych łapach. Dlatego musiała na domiar złego pójść okrężną drogą do szopy, małego metalowego baraku, stojącego w tylnej części ogrodu. Jeśli się nie myliła, wciąż wisały tam na ścianie sanki, które Philipp kupił, kiedy się wprowadzali, w błędnym mniemaniu, że przecież skoro mieszkają tak blisko Teufelsberg, będą ich często używać.

Być może dzisiaj, kiedy sanki posłużą za środek transportu dla Samsona, wydatek się zwróci.

Emma oddychała z trudem, skupiona na drodze przez zaśnieżony trawnik. Bojaźliwie stawiała niepewne kroki, jak się to widzi u pacjentów, którzy po ciężkiej operacji podejmują pierwsze próby chodzenia, szła przed siebie jak na szczydłach.

Każdy krok był próbą odwagi.

Droga była tak męcząca, jakby musiała pokonywać ją z butlą z tlenem na plecach i w płetwach. Nogi zapadały się w śnieg powyżej kostek i niejeden raz musiała się zatrzymywać i łapać powietrze.

Przynajmniej przestała drżeć, może dlatego, że nie było już w niej miejsca na fizyczne odczuwanie zimna.

*Albo cierpię na paradoksalne rozbieranie.* Tak nazywa się psychologiczny fenomen, a polega na tym, że niektórzy mocno wychłodzeni ludzie na krótko przed śmiercią myślą, że jest im potwornie gorąco. Dlatego czasem znajduje się pod

gołym niebem nagie zamarznęte zwłoki. Biedacy w agonii zdierali z siebie ubrania.

*Ach, gdyby strach był koszulą, z radością bym ją zdjęła,* pomyślała Emma i zdziwiła się, że tu, w ogrodzie, nie czuje żadnego zapachu. Śniegu, ziemi, nawet własnego potu.

Przykry wiatr przynosił do ogrodu odgłosy szybkiej kolei miejskiej z położonej niedaleko stacji Heerstraße. Słyszała trochę lepiej niż zazwyczaj, za to widziała gorzej.

Z każdym krokiem ogród wydawał się coraz węższy. Minęła chwila, aż dotarło do niej, że to panika zawęziła jej pole widzenia.

Najpierw zniknęły zarośla, potem dzikie wiśnie i rododendron, w końcu prosto do szopy prowadził już tylko długi czarny tunel.

*Zaburzenia widzenia.*

Emma знаła symptomy nadchodzącego ataku paniki: suche usta, przyśpieszone tętno, zmienione postrzeganie kolorów i kształtów.

Bojąc się, że już nie zrobi kroku dalej, jeśli się zatrzyma, Emma, potykając się, szła przed siebie, aż w końcu dotarła do szopy.

Gwałtownie otworzyła drzwi i na ślepo sięgnęła po sanki, które Philipp porządnie powiesił na ścianie przy drzwiach.

Na szczęście było to lekkie, jaskrawoczerwone, plastikowe siedzisko w kształcie szerokiej szufli, a nie staromodna drewniana konstrukcja z płozami, z której Samson mógłby łatwo spaść.

W drodze powrotnej Emma poczuła się trochę lepiej. Zadowolenie z natychmiastowego znalezienia sanek dodało jej odrobinę pewności siebie.

Również pole widzenia znów się poszerzyło. Zarośla były na swoim miejscu, za to ruszały się jakoś nienaturalnie. Nie na boki, poruszane wiatrem, lecz tam i z powrotem jak akordeon.

To było niemiłe, ale wzbudzało o wiele mniejszy strach niż ślady stóp, których nie zauważyła, idąc w przeciwną stronę.

Przyglądała się ciężkim odciskom butów. Nie zrobiły ich jej stopy, ślady były na to co najmniej trzy numery za duże. Biegły tylko w jedną stronę.

*Do szopy.*

Odwróciła się z powrotem w kierunku szarej ogrodowej budowli, której drzwi zostawiła otwarte.

Poruszyły się?

Czy ktoś jest w środku?

Czy to możliwe, że w ciemności sięgnęła po sanki i tylko o włos minęła mężczyznę, który siedział w kucki za kosiarką?

Emma nie widziała niczego i nikogo, a mimo to czuła, że jest obserwowana.

Uciekaj stąd!

– Samson! – zawołała i pobiegła szybciej. – Samson, do nogi! Moje biedactwo, proszę, przyjdź!

Cierpiące zwierzę rzeczywiście wyświadczyło jej przysługę i wydając odgłosy, jakby miało koklusz, z trudem podniosło się z wycieraczki leżącej przed schodami.

– Dziękuję, mój kochany. Dzielny pies.

Husky powlókł się na siedzisko plastikowych sanek, w które poklepała, i opadł na nie, dysząc.

– Nie bój się – powiedziała Emma, żeby dodać odwagi sobie i zwierzęciu. – Pomogę ci.

Pogłaskała go po łbie, zacisnęła zęby i pociągnęła Samsona na sankach w kierunku ulicy. Nierozważnie jeszcze raz się odwróciła i wydało się jej, że widzi cień nad okienkiem w drzwiach.

Czy właśnie poruszyła się zasłona?

Nie, wisiała spokojnie i nie paliło się za nią światło, które mogłoby rzucać cień.

A jednak. Emma wciąż czuła się śledzona przez niewidoczne spojrzenia.

Uciekaj stąd.

Zanim będzie za późno.

A spojrzenia rozdrapywały rany, z których sączyła się jej odwaga.

*Gdyby moja chęć życia była płynna, ciągnęłabym za sobą czerwony ślad. To byłoby praktyczne, musiałabym tylko iść po nim, żeby znaleźć drogę powrotną.*

Podniosła sznurek od sanek, który na moment wypadł jej z dłoni, i zmusiła się, żeby iść dalej. Do weterynarza.

Dalej od ciemnego domu za plecami, gdzie, jak sądziła, zza okna obserwowały ją martwe oczy. I czekały, aż wróci.

Jeśli to kiedykolwiek zrobi.



## 19

Jak długo jest już w tym stanie? – zapytał doktor Plank, osłuchując Samsona.

Biedne stworzenie było podłączone do kroplówki, która dostarczała mu elektrolity i jakiś środek, który za kilka minut powinien wywołać wymioty. Odkąd razem z Emmą podnieśli go i położyli na stole zabiegowym, Samson był ledwo przytomny. Od czasu do czasu przenikały go dreszcze, kiedy wydychał powietrze, ale były to jedyne oznaki życia.

– Jak długo? Myślę... – Głos Emmy drżał tak samo jak jej kolana.

Czuła się, jakby to był bieg o życie, a nie trzysta metrów za róg. Biorąc pod uwagę swoje samopoczucie, odczuwała te trzysta metrów, jakby przebiegła maraton.

*Pierwszy raz sama poza domem, i to z psem, który jest równie bliski śmierci jak ja obłądu.*

Patrząc na niego w ostrym świetle halogenowej lampy, która wisiała nad Samsonem, ledwo mogła pojąć, jak to się jej udało. Dojść tutaj do szerokiego narożnego domu w szeregowej zabudowie, z kremową fasadą i zielonymi okiennicami, którego garaż wiele lat temu został przebudowany na poczekalnię lecznicy. Na szczęście Emma nie musiała długo czekać. Z wyjątkiem małej zapłakanej dziewczynki, która trzymała na kolanach koszyk dla kota, była jedyną pacjentką. A ze względu na ciężki stan Samsona została przyjęta od razu.

– Nie jestem pewna, od rana sprawiał wrażenie apatycznego. – Emmie udało się wreszcie dokończyć zdanie. – Sądzę, że zaczęło się tak około jedenastej.

Lekarz chrząknął, a Emma nie potrafiła powiedzieć, czy było to zadowolone, czy zatroskane chrząknięcie.

Doktor przytył, odkąd go widziała, ale było to już jakiś czas temu, w czasie przed, na sąsiedzkim święcie, które co roku organizował komitet mieszkańców osiedla. Świeżo wykrochmalony fartuch nieznacznie opinał się na brzuchu wysokiego mężczyzny. Miał lekko zaznaczony podwójny podbródek i grubsze policzki, co sprawiało, że wyglądał bardziej dobrodusznie niż kiedyś. Plank przypominał teraz dużego pluszowego misia z jasnobezowymi kędzierzawymi

włosami, szerokim nosem i melancholijnymi oczami jak guziki.

– Czy zjadł coś nietypowego?

Emma nerwowo dotknęła chustki, która zakrywała krótkie włosy. Nawet jeśli Plank zdziwił się, że jej nie zdjęła, nie dał tego po sobie poznać.

– Tak, no, nie, myślę, że nie. Przecież zna pan Salima.

– Naszego listonosza?

– Zawsze daje Samsonowi herbatnika dla psów, dzisiaj też.

– Hm.

Plank podrapał się po skroni i Emma wolałaby tego nie widzieć, ponieważ miał na dłoni lateksową rękawiczkę, podobną do tej, która głaskała jej czaszkę. Wtedy, w ciemnościach hotelowego pokoju.

– Co teraz? – zapytała weterynarza, z ręką na piersi Samsona, ze wzrokiem tępo skierowanym na białą przeszkloną szafkę. Przyglądała się kilku opakowaniom bandaży i kołnierzom, jakby to były interesujące dzieła sztuki.

– Musimy poczekać – odpowiedział Plank i krytycznym wzrokiem sprawdził kroplówkę. Wskazał na rynną ściekową w stole. – Leczymy go na wycucie, wiele przemawia za zatruciem. Gdy tylko zwymiotował, podaliśmy mu aktywny węgiel, żeby związać ewentualne szkodliwe substancje. Moja asystentka właśnie zamawia kuriera z laboratorium. Kiedy to załatwi, podłączymy Samsonowi cewnik, żeby zapobiec resorpcji zwrotnej trucizny przez ścianę pęcherza, a potem oczywiście będzie jeszcze zwykła mieszanka leków.

Emma skinęła głową. Tak samo postępuje się z ludźmi.

– Wszystko na wycucie, dopóki nie dostaniemy wyniku morfologii.

– Czy to mogłoby być coś innego niż zatrucie?

Plank jednocześnie przytaknął i wzruszył ramionami.

– Mało prawdopodobne. Będziemy wiedzieć dokładniej, kiedy zobaczymy wyniki z laboratorium.

Pogłaskał plaster na miejscu wkłucia na tylnej łapie, skąd pobrał krew.

– Mam dobry kontakt z kliniką weterynaryjną w Düppel, dostanę wyniki najpóźniej jutro rano.

Emma poczuła, że jej oczy napełniły się łzami. Nie mogłaby powiedzieć, czy to ze zmęczenia, czy ze strachu, że mogło być za późno i trucizna nieodwracalnie przeżarła organizm Samsona.

– Najlepiej będzie, jeśli przez następne czterdzieści osiem godzin zatrzymamy go tu na obserwacji, pani Stein.

Plank zrobił krótką przerwę, w której przelotnie, jakby niechcący dotknął jej dłoni i przez chwilę razem głaskali Samsona.

– Tutaj jest w lepszych rękach niż w domu. – A potem zadał jej dziwne pytanie.

– *À propos* domu. Czy w pani piwnicy jest już sucho?

– Słucham?

– No, ta pęknięta rura w ubiegłym miesiącu? Też nam się to kiedyś przydarzyło. Trwało wieczność, zanim termowentylatory sobie z tym poradziły. Pomyślałem jeszcze, o rety, biedna pani Stein. Mam na myśli, najpierw pani choroba, a potem jeszcze to. Nikomu tego nie życzę. Pani mąż powiedział mi o tym całym rozgardiaszu po awarii.

– Philipp?

Drzwi do gabinetu otworzyły się i weszła korpulentna starsza kobieta w fartuchu pielęgniarki. Uśmiechnęła się zachęcająco do Emmy, podchodząc w piszczących kłapkach marki Birkenstock do szafki z lekarstwami, prawdopodobnie po to, żeby przygotować wszystko, co konieczne do leczenia Samsona.

Plank mówił beztróska dalej.

– Spotkałem go przypadkiem na mieście. To musiało być jakieś cztery tygodnie temu. Zwariowany przypadek. Miałem nocny dyżur i zadzwoniłem wieczorem do hotelu. Chihuahua, pamiętasz?! – zawołał do pielęgniarki, która przytaknęła zmęczonym skinieniem głowy. Plank uśmiechnął się. – Piesek jakiejś Amerykanki nadepnął na odłamek szkła. Wychodząc, zobaczyłem pani męża, jak siedział w holu hotelowym.

Emma słuchała weterynarza i poczuła, jak fala gorąca pali od wewnątrz jej pierś.

– Mojego męża? W holu hotelowym? – powtórzyła jak w transie.

– Tak. Pomyślałem sobie: no, no, co też tu robi pan Stein? Wtedy zobaczyłem dwa napoje na stoliku, a kiedy się z nim przywitałem, wyjaśnił mi, że oboje musieliście spędzić tam noc, aż minie najgorsze.

Rozległ się dzwonek u drzwi i asystentka Planka ponownie poszła do recepcji.

– Nie żebym był ciekawski albo coś insynuował, ale później zastanowiłem się, jak człowiekowi może przyjść do głowy taka głupia myśl. To znaczy, kto we własnym mieście śpi w hotelu, kiedy...

– ...w domu nie ma robotników – uzupełniła Emma bezdźwięcznie.

*Którzy zajmują się pokojem dziecięcym.*

*Który nigdy nie będzie potrzebny.*

*Albo szkodami wyrządzonymi przez wodę.*

*Których nigdy nie było.*

– No tak, mam nadzieję, że już usunięto pompy. Czy tak, pani Stein?

Emma odsunęła zeszywniałą dłoń od sierści Samsona i zrozumiała, że Plank musiał się na nią gapić już od dłuższego czasu. Gdyby nie środek uspokajający, prawdopodobnie krzyknęłaby głośno, ale diazepam stłumił jej emocje.

– Wszystko z panią w porządku?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Tak, w porządku. Jestem tylko trochę wyprowadzona z równowagi z powodu Samsona.

– Rozumiem. – Plank delikatnie dotknął jej dłoni. – Proszę się o niego nie martwić. Jest w najlepszych rękach. I niech pani weźmie z recepcji wizytówkę z numerem mojej komórki. Na wypadek gdyby chciała pani o coś zapytać, może pani do mnie dzwonić o każdej porze.

Emma skinęła głową.

– Już teraz mam pytanie – powiedziała, zbierając się do wyjścia.

– Jakie?

– Hotel.

– Tak?

– Ten, w którym spotkał pan mojego męża. Czy pamięta pan, jak się nazywa?

## 20

Emma otworzyła usta i czekała na smak swojego dzieciństwa, kiedy na jej język spadną płatki śniegu.

Ale zmysłowe przeżycie nie nastąpiło.

Zapach zimy, woń wiatru, smak śniegu i wszystkie inne odczucia, których nie można opisać, lecz tylko przeżyć, i które przypominały pierwszą jazdę na sankach, męczący pieszy marsz w przemoczonych skarpetkach i upadek na rowerze, ale również błogą gorącą kąpiel wieczorem, ciepłe mleko na parapecie, w którym macza się herbatniki, obserwując sikorki dziobiące rozsypany w karmniku pokarm – Emma nie mogła sobie nic z tego przypomnieć.

Po prostu było jej tylko zimno. Droga powrotna była długa i uciążliwa, nawet bez sanek, które zostawiła w gabinecie. Ostrożnie stawiała krok za krokiem na oblodzonym chodniku i nasłuchiwała skrzypienia własnych butów.

W pierwszym grudniu spędzonym przy Teufelssee-Allee Emma sądziła jeszcze, że osiedle jest jakby stworzone do Bożego Narodzenia. Małe, przytulne domy z grubymi świecami w oknach, wiecznie zielonymi jodłami w ogródkach przed domami, które nie potrzebowały niczego oprócz choinkowych lampek, żeby sprawiać świąteczne wrażenie. Mało samochodów, które psują atmosferę hałasem i których musiałyby się wystrzegać lisy, wymykające się wczesnymi popołudniami z Grünewald na ulicę.

Sami typowi, przeważnie starsi mieszkańcy. Panie przypominające przewiazaną fartuchem Panią Zimę, które wracały z wózkami na zakupy z cotygodniowego targu przy Preußenallee, siwowłosi mężczyźni z fajką w zębach, uprzątający śnieg z chodnika, na których widok człowiek nie zdziwiłby się, gdyby zawołali „Ho, ho, ho” na powitanie.

Ale w tej chwili, pomijając jednego nastolatka, którego rodzice zmusili do posypania podjazdu, nie było widać żywej duszy.

*Przynajmniej coś.*

Nie zniosłaby, gdyby zatrzymał ją któryś z sąsiadów i wciągnął w pogawędkę.

– *Ooo, pani Stein, co za niespodzianka. Już tak długo pani nie widzieliśmy!*

Ominęły panią co najmniej cztery sąsiedzkie śniadania.

– Tak, przykro mi. Pewien gwałcieciel wsadził mi penisa do mojej o wiele za suchej waginy, a potem obciął mi włosy. Od tamtej pory jestem trochę zdezorientowana, ale jeśli nie będzie panu przeszkadzać, gdybym nagle przy jedzeniu wstała z krzykiem, uderzyła głową o kant stołu albo wyrwała z głowy kosmyk włosów tylko dlatego, że przez sekundę pomyślałam, że siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna mógłby być sprawcą moich paranoicznych ataków paniki, następnym razem bardzo chętnie wpadnę na śniadanie i przyniosę kilka rogalików. Co pan na to?

Zaśmiała się krótko z tego absurdalnego dialogu, a potem rozplakała. Łzy płynęły po mokrej od śniegu twarzy. Doszła do rogu, skręciła w prawo w swoją ulicę, po kilku krokach straciła oddech i musiała przytrzymać się płotu.

*Do diabła, Emmo. Ty głupia krowo.*

Nie mogła, nie chciała zrozumieć, jak bardzo pogorszył się stan jej zdrowia. Jeszcze parę miesięcy temu kierowała doskonale prosperującą praktyką. Dzisiaj nie potrafiła załatwić najprostszych codziennych czynności, a każda próba pokonania pieszo śmiesznych kilkuset metrów okazywała się klęską.

*A to wszystko tylko dlatego, że nie nocowałam wtedy w domu.*

Rozczulanie się nad sobą. Robienie sobie wyrzutów. Samobójstwo.

Emma знаła ten tragiczny akord i skłamałaby, gdyby twierdziła, że nigdy nie myślała o ostatnim rozwiązaniu.

*Jakie to żalodne, mówił jej rozum.*

*Jakie to nieuniknione,* mówiła ta część, która w zasadzie wpływała na wszystkie decyzje i której nie dawało się kontrolować ani wyleczyć, tylko zawsze się ją raniło: dusza.

Problemem chorób psychicznych jest niemożność autodiagnozy. Chęć zrozumienia własnego umysłu była mniej więcej tak wykonalna jak próba przysycia sobie własnej dłoni przez jednorękiego chirurga. To nie mogło się udać.

Emma wiedziała, że jest przewrażliwiona. Że na pewno istnieje proste wyjaśnienie, dlaczego weterynarz spotkał w hotelu Philippa.

*Le Zen. Pałac azjatyckiego kiczu, nie sądzi pani?*

Zagadka paczki miała pewnie równie śmiesznie proste uzasadnienie.

Nie miało sensu rozmyślanie godzinami, czy Salim rzeczywiście dał jej przesyłkę dla sąsiada, ponieważ alternatywy, a mianowicie faktu, że straciła rozum, jej własny umysł nigdy by nie zaakceptował. Być może w ogóle nie spotkała dziś Salima, być może do jej drzwi nie zadzwonił doręczyciel, lecz ktoś obcy, kto nie dał Samsonowi psiego smakołyku, lecz truciznę?

Być może również nie była u weterynarza, tylko leżała przywiązana do łóżka na

zamkniętym oddziale szpitala dla nerwowo chorych Bonhoeffera?

Emma nie uważała tego za prawdopodobne. Tego rodzaju ciężkie audiowizualne ataki schizofrenii były szalenie rzadkie i nie powodowało ich jedno traumatyczne wydarzenie. Poprzedzały je długoletnie ciężkie uszczerbki na zdrowiu. Ale ta myśl mogła być jedynie parasolem ochronnym, który musiała nad sobą otworzyć!

W gruncie rzeczy była pewna, że co prawda straciła nad sobą kontrolę oraz wszelką umiejętność komunikacji społecznej, ale nie utraciła związku z rzeczywistością. Nie można było wszakże stwierdzić tego ze stuprocentową pewnością, a już na pewno nie w sytuacji, kiedy jej dusza odnosiła tak bolesne rany.

– Paczka tam była! – powiedziała na głos, żeby wyrwać się z błędnego koła własnych myśli. Powtórzyła to jeszcze raz, żeby dodać sobie odwagi. – Paczka tam była. Miałam ją w ręku.

Powiedziała to jeszcze trzy razy i przy każdym powtórzeniu czuła się trochę lepiej. Z ponownie odzyskaną stanowczością wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer męża.

Rozległy się dwa sygnały, potem włączyła się poczta głosowa.

Na A 10 był miejscami zły zasięg, być może jechali właśnie tunelem. W każdym razie Emma była wdzięczna, że mogła zostawić wiadomość bez wtrącanych krytycznych pytań.

– Kochanie, wiem, że to śmiesznie zabrzmie, ale mogło być tak, że nasz doręczyciel nie jest całkiem w porządku. Salim Yüzgec. Czy możesz go jakoś sprawdzić? – Wy tłumaczyła mu powód swojego podejrzenia i dodała: – I jest coś jeszcze. Weterynarz powiedział, że spotkał cię w Le Zen. Że mówiłeś mu coś o awarii wody. Możesz mi powiedzieć, co miał na myśli?

Potem schowała telefon do kieszeni spodni i wytarła śnieg z oczu.

Dopiero kiedy zrobiła krok w stronę domu, zauważyła, jakiego płotu cały czas się trzymała.

Furtka do ogrodu widziała lepsze czasy i wisiała ukośnie na zardzewiałym żelaznym stelażu, obciążnięta drucianą siatką, z dużo większymi niż zazwyczaj otworami. Brakowało skrzynki na listy, a zamiast tabliczki z nazwiskiem ktoś przykleił do ramy furtki zwykły kawałek taśmy klejącej opisanej wodoodpornym markerem.

Litery były trochę niewyraźne i Emma dla pewności spojrzała jeszcze raz w górę na staromodną emaliowaną tabliczkę, którą miejscowym zwyczajem przymocowano bezpośrednio do budynku pomiędzy kuchennym oknem i toaletą dla gości: „Teufelssee-Allee 16a”.

*Bez wątpienia.*

Jej wzrok powędrował z powrotem do płotu. Przez krótką chwilę bała się, że litery na taśmie klejącej mogły tak samo rozpuścić się w powietrzu jak paczka na jej biurku, ale wciąż tam były, niezmienione:

A.P.

*Jak „A. Palandt”.*

W ułamku następnej sekundy Emma podjęła brzemienną w skutki decyzję.



## 21

Tok myśli był prosty:

*Jest kartka, jest również paczka.*

Oczywisty dowód.

Salim powinien, tak jak zapowiedział, wrzucić A. Palandtowi pisemną wiadomość, że zostawił paczkę Emmie.

Proste, logiczne.

Emmie przyszło na myśl, że aby zyskać pewność, powinna zadzwonić do drzwi i zapytać o to Palandta, który pewnie wrócił już do domu. Ale to nie wchodziło w rachubę. Nie po tym, co dziś przed południem Emma zobaczyła w Internecie. Już na samo wyobrażenie, że mogłyby się otworzyć drzwi i stanąłby w nich mężczyzna, który choćby tylko mgliście przypominał typa z windy, zrobiło się jej niedobrze ze strachu.

Nie, mogła tylko szybko zajrzeć do skrzynki na listy, której – i to był problem – w tym domu w ogóle nie było. A zresztą w ostatnim czasie niejedno stąd zginęło.

Emma przypominała sobie, że niewielka wdowa, która mieszkała tu samotnie, zawsze utrzymywała dom w dobrym stanie. Teraz w zewnętrznych lampach brakowało żarówek, z ogrodu zniknęły małe gliniane figurki. Nie było również zasłon w oknach, dlatego prosty szary budynek z grubym porowatym tynkiem wyglądał nie tylko na nieprzytulny, lecz wręcz na opuszczony.

*Myślę, że nikogo tu nie ma.*

Drzwi ogrodowe, o które się oparła, zacięły się, za to wjazd do wiaty garażowej obok był otwarty na oścież. Powinna zrezygnować ze swojego planu i wrócić do domu. Ale czuła, że otwarta brama przyciąga ją magicznie. I, prawdę mówiąc, wiedziała również, co było tego powodem: nie chodziło jej o to, by udowodnić istnienie paczki. Napędzał ją paranoiczny przymus, żeby poznać A. Palandta.

Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, nie mogła pozbyć się podejrzania, że mógł on mieć coś wspólnego z Fryzjerem i tym, co jej uczyniono, a była tego tak pewna, że sama myśl o tym obcym mężczyźnie i o tym, co mogło

znajdować się w paczce, doprowadzała ją do obłędu.

I tak, idąc w kierunku cudzego domu, zapadała się w sięgającym kostek śniegu na podjeździe. Nie zwracała uwagi na wilgoć, która przenikała do wnętrza butów przez dziurki na sznurowadła, ani na to, że chustka na głowie robiła się coraz bardziej mokra i przyklepiona do jej krótkich włosów.

Jeszcze bardziej nieprzyjemne były spojrzenia, które czuła na plecach, przynajmniej tak jej się zdawało. Sąsiadów, którzy stali przy oknach i obserwowali, jak idzie do wejścia. Nie znajdowało się ono jak zwykle z przodu, od ulicy, lecz z boku domu. Ganek był pokryty falistą blachą i spoczywał w cieniu rosnącej w ogrodzie jodły, której gałęzie stanowiły jakby zasłonę nad prowadzącymi do drzwi klinkierowymi schodkami.

Pokonała cztery stopnie i spojrzała na ulicę, ale nikogo nie zobaczyła. Nikogo, kto obserwowałby ją z samochodu albo z sąsiedniej działki, żadnego przechodnia, który zastanawiałby się, dlaczego kobieta, niewidziana przez nikogo od pół roku, nagle kuca przed drzwiami obcego domu.

Tak jak się obawiała, pocztę dla A.P. wrzucało się bezpośrednio przez specjalną szparę w drzwiach.

*Cholera.*

Być może w skrzynce na listy mogłaby jeszcze wymacać kartkę palcami, a tak?

Emma uniosła metalową zaślepkę, zajrzała przez szparę i oczywiście nic nie zobaczyła. Wewnątrz domu było równie ciemno, jak na dworze.

Wyjęła komórkę i włączyła latarkę.

W oddali zaszczekał pies, hałas zmieszał się z wszechobecnym szumem Heerstraße, który zwykle zauważała tylko wówczas, gdy znajomi odwiedzający ją po raz pierwszy siedzieli w ogrodzie i zwrócili jej na to uwagę.

Albo kiedy strach wyostrzył jej zmysły.

Nie tylko strach, że ktoś ją zobaczy (bo co powinna powiedzieć, gdyby nagle otworzyły się drzwi?), lecz także strach przed tym, że całkowicie rozchoruje się psychicznie. Do dzisiejszego przedpołudnia świat za drzwiami jej domu jawił się jak szalejący ocean z nią, osobą nieumiejącą pływać, na plaży, a teraz zamierzała wypłynąć na otwarte morze.

*Ale nie mogę inaczej.*

Światło latarki w telefonie nic nie dało. W wąskim wycięciu i ukośnym kącie, który miała do dyspozycji, Emma mogła zobaczyć tylko kilka desek podłogi i coś, co wyglądało jak papier albo listy, które leżały porozrzucane – ale czy znajdowała się wśród nich kartka dotycząca paczki? Nie dało się tego stwierdzić. *No dobrze, to byłoby tyle.*

Emma poczuła ulgę, kiedy wstała. Jej umysł znalazł powód, dlaczego nie mogła zrealizować swojego planu. Był to dobry, zdrowy znak tego, że nie kierowała się

impulsem, żeby szukać schowanego pod wycieraczką klucza, szarpać bocznym oknem do łazienki dla gości albo po prostu przekręcić gałkę przy drzwiach, które...

*...dają się bez problemu otworzyć!*

Emma cofnęła rękę. Rozległo się głośne skrzypienie, kiedy drzwi się uchyliły i odsunęły pocztę do środka.

Spojrzała przez ramię, ale nikogo za nią nie było, w każdym razie nikogo nie widziała. Kiedy znów się odwróciła, stwierdziła, że w domu nie było tak ciemno, jak się jej wydawało na początku. Z tylnego pokoju wpadało na korytarz przytłumione światło i Emma dostrzegła, że leżąca na podłodze pocztą zaklinowała drzwi.

I było tam coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że weszła dwa kroki w głąb obcego domu, chociaż podłużny cienki przedmiot, do którego się kierowała, sprawił na niej raczej odrażające, a nie zachęcające wrażenie.

Nie mogła jednak uwierzyć, co stało tu w korytarzu, bezpośrednio obok pustego stojaka na garderobę, a ponieważ się bała, że mogło to być czyste urojenie, wizja, którą wyprodukował jej chory umysł, żeby nakarmić manię prześladowczą, musiała przekonać się o tym z bliska.

Wyciągnęła rękę.

Poczuła własny oddech, bo w środku było tylko nieznacznie cieplej niż na dworze.

Dotknęła zimnego styropianu.

I wyczuła taśmę klejącą na imitacji ludzkiej głowy, do której przyczepiło się kilka włosów.

Bez wątpienia.

*To stojak na perukę.*

Jednocześnie z tym odkryciem, które wywołało dziwne uczucie odrętwienia w dłoniach, zaczął brzęczeć jej telefon.

Na szczęście nastawiła go na alarm wibracyjny, w przeciwnym wypadku w korytarzu rozległyby się dźwięki kościelnych dzwonów.

– Halo? – To weterynarz. Oprócz stojaka na perukę jej troska o Samsona była kolejnym powodem, żeby opuścić dom najszybciej, jak to możliwe.

– Pani Stein, tu gabinet doktora Planka, przepraszamy, że przeszkadzamy. Ale mamy tu problem z zaliczką na badania laboratoryjne. Pogotowie weterynaryjne Düppel twierdzi, że pani karta kredytowa jest zablokowana.

– To musi być pomyłka – szepnęła Emma, kierując się do wyjścia, które nagle było zagrodzone. Nie przez człowieka ani przez jakiś przedmiot, lecz przez światło.

Jasne, białe światło oświetlające podjazd aż do wnętrza domu, do którego

wdarła się bezprawnie.

Szerokie stożki światła reflektorów badały ogrodzenie z żywopłotu, kiedy samochód z bulgoczącym silnikiem powoli skręcił w podjazd do wiaty garażowej.

## 22

**T**ylne wyjście.

To jedyna rzecz, która przyszła jej na myśl, gdy się rozłączyła.

Włączyła tryb ucieczki, na chwilę zapomniała o zmęczeniu i nawet czuła, że umysł się jej rozjaśnił. Strach, że ktoś ją zobaczy, rozgonił diazepamową mgłę, przez którą brnęła.

Przynajmniej na chwilę.

*Musi tu być tylne wyjście, pomyślała.*

Pod żadnym pozorem nie chciała wyjść frontem. I wpaść na właściciela stojaka na perukę, właśnie kiedy wysiadał z samochodu.

*Więc tyłem.*

*Żeby tylko uciec.*

Jeśli dom, jak znaczna większość domów na osiedlu, został wybudowany w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, musiał mieć podobny salon prowadzący na taras.

Emma przebiegła przez korytarz i otworzyła pierwsze drzwi po prawej stronie do większego, jeszcze ciemniejszego pokoju.

Najpierw przestraszyła się, że żaluzje mogły być opuszczone, ale były tam tylko ciężkie, cuchnące kurzem i zimnym dymem zasłony, które musiała zerwać z futryn okiennych.

Rzeczywiście, przeszkłone drzwi prowadziły do ogrodu, który rozpościerał się przed nią jak długi wąski ręcznik.

Okna były stare, przez nierówne szyby świat było widać jak przez rybie oczko aparatu fotograficznego. Ale Emmy nie interesował wykrzywiony obraz płaczącej wierzby, kilku marnych drzew owocowych i rozrzuconych dookoła, przykrytych śniegiem głązów narzutowych.

Usłyszała kroki przy wejściu, nabrała w płuca ciężkiego powietrza, powstrzymała kaszel i starała się robić jak najmniej hałasu, kiedy powoli przekręcała klamkę przy oknie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Dzwonienie, kiedy pociągnęła zacinające się drzwi, boleśnie naderwało jej błonę bębenkową. Głośniejsze od szkolnego dzwonka na dużą przerwę rozbrzmiało w całym domu.

*Alarm?*

Czyżby Palandt zostawił otwarte drzwi wejściowe, a włączył alarm w drzwiach do ogrodu?

To bez sensu, zwłaszcza że nie było tu nic do chronienia, biorąc pod uwagę ubóstwo salonu.

Sofa po lewej ręce Emmy była w połowie przykryta starymi gazetami, w drugiej połowie siedzenia wystawała sprężyna. Za stolik służyła odwrócona skrzynka do piwa. Ze ścian gapiły się naiwnie narysowane końskie łby, nie było stołu, regałów na książki, dywanu ani krzeseł. Za to na wycieracze tuż obok drzwi stała brzydka rzeźba psa. Siedzący porcelanowy labrador, który mógł być używany jako stojak na parasole. Pomyślała o Samsonie.

*Tak bym chciała, żebyś był teraz przy mnie!*

Poza tym w pokoju stała jeszcze pusta skrzynia z płyt wiórowych, tak jak ją pośpiesznie postawili pakowacze przy przeprowadzce.

Zdecydowanie nic, co mogłoby zainteresować włamywacza, a jednak przenikliwe dzwonięcie przerwało ciszę.

Emma spociła się i zaschło jej w ustach, ale diazepam i adrenalina wykonywały dobrą pracę zespołową. Strach ją uskrzydlił, zmęczenie wyciszyło. Zauważyła nawet, że zadzwoniło tylko raz, co było niespotykane w alarmach.

Puściła klamkę i już chciała nacisnąć ramieniem najwyraźniej zaklinowane drzwi od tarasu, kiedy usłyszała głosy.

Głosy cudzoziemców.

*Albańczyków, Słoweńców, Chorwatów?*

Nie potrafiła tego powiedzieć, ale na pewno żaden z nich nie mógł należeć do A. Palandta, bo obaj mężczyźni, którzy najpierw zadzwonili do drzwi, a teraz z głośnymi okrzykami przemierzali korytarz, wykrzykiwali co i raz nazwisko właściciela domu.

– PAAALANDT??? PAAAAALANDT!!!!

Głos jednego z nich brzmiał jak po operacji gardła, ochryple i brzęcząco. Drugi, szczerzący, wydawał się wydobywać prosto z brzucha bulteriera.

Pomiędzy okrzykami wtrącali coś w swoim języku, co w żadnym wypadku nie brzmiało przyjaźnie.

– AAANTON???!!!!

A więc poznała teraz jego imię, ale nie drogę na zewnątrz.

Daremnie ciągnęła i naciskała drzwi tarasowe. Były mocno zamknięte, jakby przyklejone albo zabite gwoździami, w przeciwieństwie do drzwi do salonu,

przez które weszła bez trudu. Otworzyły się z impetem, który prawie wyrwał je z zawiasów.

Gdyby pierwszy z obu mężczyzn nie odwrócił się do swojego towarzysza z powodu jakiejś niezrozumiałej uwagi, od razu zauważyłby Emmę. A tak miała chwilę, żeby przemknąć w bok, obok puste szafki, za którą mogłaby się schować, ale która, jak stwierdziła, zasłaniała jej widok na coś, co w pierwszej chwili wydawało się ratunkiem: drzwi do kolejnego pokoju.

Były otwarte i Emma prześlizgnęła się przez nie, kiedy mężczyźni za jej plecami przeklinali w swoim ojczystym języku.

*Zobaczyli mnie?*

Nie traciła czasu na zastanawianie się, nie patrzyła za siebie, tylko przed siebie, w kierunku schodów.

Prowadziły na górę wzdłuż wewnętrznej ściany bliźniaczego domu.

*Na górę to dobrze...*

...w każdym razie lepiej niż na dół... *do piwnicy*, do której schodzi się tylko w horrorach, kiedy grozi niebezpieczeństwo. *Ale nie w obcym domu, kiedy się ucieka przed obcymi mężczyznami, którzy szukają obcego sąsiada, żeby zrobić z nim coś, co prawdopodobnie zrobić lepiej bez świadków.*

Emma trzymała się mocno wąskiej poręczy i starała się iść na górę po starych wydeptanych drewnianych stopniach możliwie jak najciszej.

Za jej plecami rozległ się huk, prawdopodobnie mężczyźni przewrócili szafkę. Zabrzęczało szkło, ale najgłośniejszym odgłosem był jej własny oddech.

Kiedy weszła na pierwsze, bardzo mroczne piętro, wzdłuż ściany korytarza szukała po omacku drzwi.

Były zamknięte. Tak samo jak następne, tuż przed nią.

*To niemożliwe.*

Poszła dalej, do jasnej szpary na końcu korytarza. Kolejne drzwi, pod którymi wpadało światło do ciemnego korytarza, przypominającego tunel. Ale one również nie dały się otworzyć.

Emma chciała krzyczeć ze złości, strachu i rozpacz, ale robili to już mężczyźni na parterze.

– PAAALAAANDT!

Zbliżały się nie tylko ich wrzaski, lecz również kroki. Twarde ciężkie buty wchodziły po schodach trochę szybciej niż ona.

Odwróciła się w lewo, zupełnie straciła orientację, nie wiedziała, czy stoi od strony ogrodu, czy ulicy, i szarpnęła następną klamką.

Nic.

W końcu Emma napała na drzwi z całej siły – i omal nie wleciała do pokoju.

Potknęła się, ręka ześlizgnęła się z klamki, uderzyła kolanami w przykrytą

dywanem podłogę i łokciami zasłoniła głowę.

*Cholera.*

Natychmiast wstała i zamknęła drzwi od środka.

*Czy mnie usłyszeli?*

Przewyciężając zawrót głowy, szukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, i natknęła się na małą komodę, obok której uklękła, nie będąc świadoma, że zaledwie kilka sekund wcześniej schowała się dokładnie w tej samej pozycji.

Plecami do ściany, wzrok skierowany na duże łóżko.

Było trochę cieplej niż w reszcie domu, poczuła woń potu oraz inny, jakby zgniły zapach.

Albo tu na górze zasłony nie były tak szczelne jak w salonie, albo wyostrzyły się jej zmysły. W każdym razie Emma poza cieniami i kształtami widziała teraz znacznie więcej.

Sypialnię Palandta, gdzie najwidoczniej się znajdowała, wypełniało niemal w całości staromodne łóżko z baldachimem.

Było świeżo pomalowane, paczworkowa narzuta wybrzuszała się nad grubą pierzyną, której rogi wystawały w nogach łóżka.

Różnej wielkości poduszki, starannie ułożone jedna na drugiej, w trzech rzędach zapełniały pościel od wezgłowia do jednej trzeciej łóżka.

*Jak w hotelu*, pomyślała Emma i znenawidziła to porównanie.

– PAAALAAAANDT?

Mężczyźni weszli na górę, szarpali tymi samymi drzwiami co ona wcześniej, tyle że obchodzili się nimi mniej delikatnie.

Drewno pękało, zawiasy skrzypiały.

I Emma nie wiedziała, gdzie się schować.

*Pod łóżko?*

Nie. Tu zajrzę na samym początku!

Nie było dużej szafy, tylko wieszak na ubranie na kółkach obok okna i nocny stolik, bezpośrednio przed nią, na którym leżało pół apteki w postaci fiolek z pastylkami, sprejów, tabletek oraz innych lekarstw.

Nagle przestała słyszeć, miała jeszcze tylko ciągły szum strachu w uszach, a potem skończyła się przysłowiowa cisza przed burzą. Drzwi do sypialni otworzyły się z hukiem, uderzyły o kant komody, obok której siedziała skulona, i została oślepiona.

Jasnym, mieniącym się światłem.

Świecącym przeraźliwie i bezlitośnie z sufitu, na łóżko i wszystko inne.

*Czyli również na mnie.*

Zamknęła oczy – nie był to rodzaj dziecięcego odruchu w nadziei, że nikt nie będzie mógł jej zobaczyć, tylko dlatego, że sama nie widzi, lecz dlatego, że się



myliła.

Przedmiot obok okna nie był wieszakiem, lecz kolejnym stojakiem na perukę. I nie był łysy jak ten w sieni na dole. Styropianowa postać miała nieco sfatygowaną kobiecą perukę z długich jasnych włosów.

*Ale ze mnie głupia krowa, co ja zrobiłam? W co ja się tu wpakowałam?*

Pomiędzy dwóch bandytów i jednego zboczeńca?

Usłyszała, jak do pokoju weszła para butów, wciąż nie ważyła się otworzyć oczu... i nagle zadzwoniła jej komórka.

*Cholera.*

Głośno, przenikliwie. Jak niedawno alarm.

*Cholera, cholera, cholera!*

Pot płynął jej ze wszystkich porów, jakby temperatura w pokoju podskoczyła do takiej, jaka panuje w saunie.

Wiedziała, że to już koniec. Że nie ma czasu, żeby wezwać pomoc, gdy tylko wyjęła telefon z kieszeni spodni i odebrała rozmowę, a mimo to spróbowała.

Za późno.

Trzymała telefon w dłoni. Wpatrywała się w ciemny wyświetlacz. Przeklinała dzwoniącego, który wysłał tylko dwa sygnały, żeby ją zdradzić, i usłyszała mężczyznę beczelnie śmiejącego się basowym głosem bulteriera.

Otworzyła oczy, z całkowitą pewnością, że spojrzy w twarz śmierci, ale nie było nikogo.

Również śmiech stał się cichszy, oddalił się od sypialni, szedł na dół razem z odgłosami butów drugiego mężczyzny.

Dopiero kiedy obaj zeszli na dół, Emma uświadomiła sobie, że to nie zadzwoniła jej komórka, lecz bulteriera.

Ustawiona na identyczny sygnał, jaki miał i jej telefon. Telefonował ktoś, kto mężczyznę rozśmieszył, i najwidoczniej powiedział coś, co sprawiło, że obaj przerwali poszukiwanie.

– *Spadajcie, znaleźliśmy Palandta.*

albo:

– *Zapomnijcie o sąsiedzie, jest inne zlecenie.*

albo:

– *Cześć, to ja, Anton Palandt. Nazywają mnie również Fryzjerem. Wiem, że byliśmy umówieni u mnie w domu, ale czy możecie przyjechać w inne miejsce? Właśnie mam tu problem z umierającą dziwką.*

Cokolwiek to było, Emma czuła, jakby ten, kto zadzwonił, uratował jej życie.

*Na razie.*

Podniosła się z trudem, przytrzymała brzegu komody i zastanawiała się, czy powinna wziąć sobie jedną z fiolek z pigułkami z nocnego stolika. Jak zobaczyła

teraz w jaskrawym świetle sufitowej lampy, wszystkie były opisane literami przypominającymi cyrylicę. Ale nie miała czasu, żeby zmienić tę decyzję w czyn.

Tuż przed nią coś poruszyło poduszkami.

Narzuta wybrzuszyła się, wygięła w kilku miejscach nieforemnie, jak brzuch ciężarnej kobiety, w którym kopie i wierci się nienarodzone dziecko.

Potem spod odsłoniętej teraz pierzyny wysunęła się ręka i na łóżku usiadł łyśy, chudy jak szczapa mężczyzna.

## 23

**M**iał nagi i kościsty tors, wyglądał jak głodujący więzień.

Miał szeroko otwarte oczy, z których płynęły łzy. Ani razu nie mrugnął.

Ani kiedy odwrócił do niej głowę.

Ani kiedy gapił się na nią, nie spuszczać z niej wzroku.

Nawet kiedy krzyknęła i wybiegła z pokoju. Korytarzem, schodami w dół do wyjścia, gdzie najpierw sądziła, że wpadła w ręce jednego z mężczyzn, ale to był tylko leżący stojak na perukę, o który się potknęła. Wstała i wybiegła na ulicę, nie zaprzatając sobie myśli sąsiadami ani nikim, kto mógł ją widzieć. Kilka razy poślizgnęła się na oblodzonych kocich łbach, ale nie tak, żeby przewrócić się drugi raz.

Emma biegła, biegła i biegła... Przerazona trzeszczeniem żwiru, które sama powodowała. Sapaniem, które wydobywało się z jej własnych płuc.

Przycisnęła dłoń do miejsca, gdzie czuła największą kolkę, biegła dalej, aż wreszcie stanęła przed swoim domem. Jedyne wolno stojącym budynkiem w okolicy, zabezpieczonym przez Philippa jak bank elektronicznymi zamkami, do których potrzebowała transpondera. Okrągłego, przypominającego monetę chipa, który trzeba było przytrzymać pod zamkiem, aż dwa razy piknął, i który Emma wyjęła teraz z dzinsów, wchodząc po klinkierowych schodach.

I którego omal nie upuściła, kiedy zobaczyła, że świeci się zielona ledowa lampka zamka. Poza tym przez zasłonę za małą szybą w drzwiach padało na zewnątrz matowe światło.

*Nie. To niemożliwe,* krzyknęła w duchu.

To nie może być prawda!

Ktoś wyłączył alarm, otworzył drzwi i włączył w domu światło.

I nie był to Philipp, bo jego samochód nie stał na ulicy.

## 24

**Dokąd chcesz iść?**

Emma odwróciła się na pięcie i daremnie szukała swojej komórki, żeby zadzwonić na 110, ale poczuła bezgraniczną ulgę, gdy usłyszała za plecami głos swojej najlepszej przyjaciółki.

Odwróciła się do otwartych drzwi.

– Mój Boże, Sylvio. Ale mnie przestraszyłaś.

Zamiast przeprosin czy choćby zwykłego przywitania przyjaciółka po prostu zostawiła ją na schodach i zniknęła bez słowa w głębi domu.

Emma poszła za nią z uczuciem głębokiego zmęczenia. Samson, włamanie do domu Palandta, nieproszeni goście, droga powrotna, która ją całkowicie wyczerpała – wszystko to doprowadziło ją do granic wytrzymałości. Kolejny problem – na co wskazywało dziwne zachowanie przyjaciółki – mogła sobie śmiało odpuścić.

Zamknęła drzwi.

Drżącymi palcami powiesiła płaszcz w garderobie, zdjęła z nóg mokre od śniegu buty i weszła do salonu. Z powodu nagłego ciepła dostała wypieków.

– Wszystko w porządku?

Sylvia wściekle pokręciła głową. Jej zawsze wysoko upięte długie włosy opadały beładnie na ramiona.

Kiedy przychodziła z wizytą, zwykle siadała wygodnie na sofie i zakładała nogę na nogę. Przeważnie prosiła Emmę o latte macchiato, a potem zaczynała wesoło paplać o błahych wydarzeniach ubiegłego tygodnia. Dzisiaj zamiast zwykłej eleganckiej sukienki miała na sobie mysioszary dres do joggingu i siedziała nieruchomo jak posąg na brzegu kanapy, wpatrując się w wypalające się szczapy drewna w kominku.

– Nie. Nic nie jest w porządku.

Sylvia Bergmann była nie tylko jej najlepszą, lecz również najwyższą wzrostem przyjaciółką. W kręgu znajomych Emmy nie było innej kobiety, której sięgałaby do wysokości oczu. Już sam fakt, że nosiła buty w rozmiarze czterdzieści dwa,

coś o niej mówił. Pewnie została by zawodową koszykarką, gdyby jej konserwatywni rodzice nie zdecydowali o solidnym zawodzie, przy czym myśleli raczej o studiach medycznych, a nie o psychoterapii. Pacjenci z gabinetu Sylvii kochali ją z powodu jej dużych magicznych dłoni, które jakby wyposażone w sonar najpierw wymacywały skurcze i blokady, a potem likwidowały przez uciskanie tylko jej znanych punktów. Dzisiaj jednak Sylvia wyglądała tak, jakby jej samej potrzebny był taki zabieg. Wszystko w niej wydawało się spięte i zeszywniałe.

– Siadaj! – rozkazała szorstko, jakby to ona była u siebie w domu, a Emma wezwanym gościem.

Emma walczyła z falą zmęczenia, pod którą teraz, kiedy znów znalazła się w swoich własnych czterech ścianach, dosłownie ugięły się jej nogi. Nawet jeśli nie czuła się już w swoim domu tak bezpiecznie jak dziś rano. A w dodatku Sylvia sama otworzyła sobie drzwi.

– Sylvio, nie chcę nic mówić, ale wiesz, że dałam ci klucz, żebyś mogła tu wejść tylko w nagłym przypadku?

– Siadaj! – powtórzyła Sylvia zimno. – To jest nagły przypadek.

– Co ci jest? – zapytała Emma i zdecydowała, że będzie stać. Mimo chwiejnych kolan wydało się jej naraz ważne, żeby zachować dystans. W razie potrzeby mogła przytrzymać się gzymsu kominka.

– Pytasz, co mi jest? – Sylvia dokonała rzeczy niemożliwej i jeszcze bardziej się usztywniła. – Dlaczego mi to robisz?

– O czym ty mówisz?

– O tym!

Przyjaciółka wyjęła z kieszeni dresowej bluzy białą fiolkę z czerwoną pokrywką.

– Wiesz, co to jest? – zapytała.

Emma przytaknęła.

– Wygląda na progesteron, który ci dałam.

Środek zwiększał szansę zajścia w ciążę. Substancja pobudzająca ukrwienie macicy. Kobietom pragnącym bezskutecznie dziecka zaleca się przyjmowanie hormonu płciowego już przed zapłodnieniem. A później, żeby nie poronić. Emma poprosiła swojego ginekologa o receptę po pierwszym badaniu USG i dała napoczęte opakowanie przyjaciółce.

Po krwawieniach, po nocy w hotelu, lekarstwo nie było jej już potrzebne.

– Dlaczego mi to robisz? – powtórzyła Sylvia i postawiła fiolkę na ławie.

– O czym, do diabła, mówisz?

– Nie chcesz, żebym urodziła dziecko? Chcesz, żeby mnie spotkało to samo co ciebie?

– Co w ciebie, do diabła, wstąpiło? – Emma uniosła obie dłonie, prostowała i zginała palce, ugniatała powietrze jak niewidzialne ciasto, bezradnie, nie wiedząc, jak powinna zareagować na ten krzywdzący zarzut. – Dlaczego coś takiego miałoby mi przyjść do głowy? – zapytała ze łzami w oczach. – Kocham cię, Sylvio. Nocy z Fryzjerem nie życzyłabym najgorszemu wrogowi.

Sylvia patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu, a potem przytaknęła pogardliwie, jakby liczyła się z tego rodzaju kłamstwem.

– W ubiegłym tygodniu miałam nieustanne nudności, ból głowy i czułam zmęczenie – powiedziała monotonie.

*Witaj w klubie.*

– Najpierw się ucieszyłam, bo myślałam, że wreszcie zaskoczyło. Ale testy były negatywne i dostałam okresu. Poszłam więc do lekarza. A on zapytał, czy przyjmuję jakieś leki. *Tylko utrogest*, odparłam i pochwalił mnie za to. *Tak, to może pomóc.*

Wzrok Sylvii wędrował po twarzy Emmy, która odczuwała go jak ukłucia igieł do akupunktury. Gdy przyjaciółka znowu otworzyła usta, Emma mimowolnie cofnęła się o krok jak przed warczącym psem, który szczyrzy zęby.

– Oczywiście zakładając, że w opakowaniu, które podarowała ci kochana przyjaciółka, jest progesteron. A nie levonor coś tam – powiedziała Sylvia o wiele za cichym głosem jak na takie oskarżenie.

– Levonorgestrel? – Emmie zrobiło się gorąco. Pierwszy raz tego dnia się spociła. – To niemożliwe – wykrztusiła. Zachwiała się w stronę gzymsu kominka i zrobiło się jej jeszcze bardziej gorąco.

– Co myślałaś? – zapytała Sylvia. – Kiedy coraz bardziej krwawiłam, Peter przyjrzał się pigułkom. Jego była żona też je kiedyś brała i powiedział, że twoje proszki wyglądają zupełnie inaczej.

*Peter!*

Przyjaciel Sylvii bez nazwiska. W każdym razie Emma nie знаła jego nazwiska, pewnie dlatego, że prawie nigdy nie słuchała przyjaciółki, kiedy o nim mówiła. Sylvia poznała go dopiero w czasie po, gdy Emma miała ochotę na wszystko, tylko nie na opowieści o związkach. Nie chciała nawet zobaczyć jego zdjęcia. Jediną rzeczą, jaką wiedziała o Peterze, było to, że podobno był „tym właściwym”, wymarzoną mężczyzną, z którym Sylvia chciała mieć dzieci.

– Pokazałam tabletki aptekarzowi. A on zrobił ich analizę.

Sylvia rozplakała się. Sięgnęła po leżące na stole opakowanie i rzuciła nim w stronę Emmy. Fiolka ominęła jej głowę w dość dużej odległości i uderzyła w stojący za nią regał. Przy uderzeniu o podłogę otworzyła się i pigułki potoczyły się po parkiecie jak malutkie szklane kulki, a Sylvia krzyczała:

– Podmieniłaś je! Ty obłąkana kobieto, dałaś mi pigułki dzień po!

## 25

Emma wpatrywała się z niewielkiej odległości w opakowanie, które wyglądało dokładnie tak samo jak to, jakie dała Sylvii trzy miesiące temu.

*Pigułka dzień po?*

– Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie – powiedziała, nie mając zielonego pojęcia, co by to mogło być.

– Dlaczego mnie nie dziwi, że chcesz mi teraz wcisnąć jedną ze swoich historyjek?

– Sylvio, przecież mnie znasz.

– Doprawdy?

*Nie wiem. Nie wiem nawet, czy sama siebie znam.*

Emma nerwowo drapała się w przedramię. Nagle poczuła na całym ciele swędzenie.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to pigułki musiał podmienić ktoś inny.

– Ach tak, znów jakiś złowieszczy ktoś. Jak ten ktoś, kto rzekomo cię zgwałcił.

*Baaach.*

Wreszcie ktoś to powiedział. *Rzekomo.*

Jedno jedyne słowo. Nie trzeba więcej, żeby całą ich przyjaźń wrzucić do kosza na śmieci i zatrasnąć pokrywę.

– Nie chciałam tego powiedzieć – wychrypiała Sylvia. Wyglądało, jakby właśnie się obudziła ze złego snu. Z odmienionym, trochę łagodniejszym wzrokiem przyłożyła dłoń do ust, wyrażając tym gestem, że żałuje swoich słów.

– Ale powiedziałaś – odparła Emma bezdźwięcznie.

*Rzekomo.*

– Wiem. Ale proszę, zrozum mnie. Co mam o tym myśleć?

– Prawdę.

– Ale jaka jest prawda?

Upłynęła krótka przerwa na wzięcie oddechu. Sylvia znów mówiła z wściekłością i każde słowo przybliżało ją do dawnego gniewu.

– Hotelowy pokój, który nie istnieje? Świadek, kobieta, której nie można

znaleźć? Na Boga, nie pasujesz nawet do schematu ofiary. Fryzjer morduje dziewczki. A ty jesteś najwierniejszą żoną, jaką znam. I żyjesz.

– Zostałam ogolona i zgwałcona. W moim pokoju był mężczyzna...

– No. Tak samo jak Arthur w twojej szafie...

*Baaach i do widzenia.*

Pojemnik na śmieci, w którym gniła ich przyjaźń, był gotowy, żeby pojechać na wysypisko.

– Co ci chodzi po głowie, ty... ty... – Emmie z bólu brakowało słów. Zamknęła oczy i groziło, że wciągnie ją wir wspomnień.

Odżyły litery na lustrze.

*Uciekaj.*

Usłyszała głos swojego ojca.

*Uciekaj stąd. Albo ja zrobię ci krzywdę!*

Usłyszała wibrujący dzwonek.

Drrr.

Usłyszała, jak zamykają się drzwi. Tak gwałtownie, że zadrżał cały salon.

– Tamtej nocy straciłam nie tylko włosy i pewność siebie, lecz również moje dziecko! – wykrzyczała z zamkniętymi oczami. Jednocześnie wściekle uderzała się w brzuch. Raz, drugi. Coraz mocniej. Aż ból stał się tak silny, że opadła na kolana.

Dusiła się, rzeziła, niewiele brakowało, żeby zwymiotowała.

– Pomóż mi – powiedziała, a słowa tak po prostu wyszły jej z ust. – Pomóż mi, nie wiem, co się ze mną dzieje.

Otworzyła oczy, wyciągnęła ręce i po omacku szukała przyjaciółki.

Ale nie było tam już nikogo, kto mógł jej pomóc.

Sylvia dawno wyszła.



## 26

Emma dowlokła się do sofy i zaniósła kaszlem.

Gardło paliło ją od wymiotów, miała wrażenie, że uderzenia podrażniły jej żołądek. Pomyślała o biednym Samsonie, który na pewno czuł się dużo gorzej i który dopiero teraz był dobrze leczony.

Proszkami.

*Podmieniłaś je! Ty obłąkana kobieto...*

Sylvia już sobie poszła, ale jej głos wciąż dźwięczał w głowie Emmy, nadal rzucała oskarżenia, które według Emmy nie miały sensu.

Nigdy nie brała pigułek dzień po, nie mówiąc już o przygotowanym zapasie, który mogłaby oddać komuś innemu. Jako lekarka czuła się zobowiązana do ochrony życia. Nigdy nie wcisnęłaby swojej najlepszej przyjaciółce niewłaściwego leku. Zwłaszcza ona, która w proteście przeciwko maltretowaniu pacjentów zdecydowała się na ponowne wykonanie eksperymentu Rosenhana.

A mimo to, niezależnie od tego, jak niesprawiedliwe były oskarżenia Sylvii i jak głęboko zraniła ją przyjaciółka, cała ta dyskusja nie miała znaczenia w porównaniu z tym, co spotkało ją w domu Palandta.

Wstała z sofy.

Musiała zadzwonić do Philippa.

Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że będzie robił jej wymówki, kiedy tylko dowie się o tym, że wyszła sama z domu. Ale ostatecznie będzie musiał przyznać jej rację: Anton Palandt był wyjątkowo dziwnym sąsiadem, któremu trzeba się kiedyś dobrze przyjrzeć.

Szurając nogami, poczłapała do garderoby.

– *Halo, Philipp? Mam do ciebie prośbę, czy mógłbyś przekazać śledczym, żeby kiedyś bliżej zainteresowali się mieszkańcem domu przy Teufelssee-Allee 16a? Łysy mężczyzna, który garściami połyka lekarstwa, mieszka w zaciemnionym domu, najwidoczniej czuje się zagrożony, a na dodatek zastawił cały dom stojakami na peruki. Na jednym z nich w sypialni znajdują się nawet włosy kobiety i lepiej nie pytaj, jak się tego dowiedziałam.*

Tak albo jakoś podobnie chciała mu to powiedzieć przez telefon, ale, jak stwierdziła przerażona, kiedy pomacała kieszenie kurtki, jej komórka zniknęła.

*Nie! Nie, nie, nie...*

Przerażona opuściła ręce.

„Zniknęła” było niewłaściwym słowem na określenie tego, co stało się z jej telefonem.

*Zgubiłam go*, pomyślała i głośno zakląła, kiedy dotarło do niej, że najbardziej prawdopodobne było to, że musiał jej wypaść z kieszeni.

U A. Palandta.

*Kiedy uciekałam z domu i przewróciłam się o stojak na perukę.*

## 27

Emmie wydało się, że poczuła przeciąg, psychosomatyczna reakcja na stres, część umysłu mówiła jej, że musi tam wrócić i zabrać telefon. Inna część zadawała pytanie, czy naprawdę jest tak szalona, żeby wrócić do jaskini lwa.

Dostała dreszczy i z szafy w garderobie wyjęła gruby błękitny szlafrok frotté. Pachniał perfumami. Wyciągnęła je dopiero przedwczoraj, w nadziei że zapach perfum, które Philipp kupił jej w Barcelonie na pierwszą rocznicę ślubu, przypomni najszcześniejsze dni z czasów przed. Ale w tej chwili kompozycja z czarnej porzeczki, bursztynu i lotosu potwierdziła tylko przekonanie, że bezpowrotnie straciła szczęście, jakim się kiedyś cieszyła.

Ociężałym krokiem powlokła się do kuchni i wzięła z bazy obok ekspresu do kawy bezprzewodowy telefon.

Oparta plecami o wibrującą lodówkę, patrzyła na ogród za domem i wystukała na klawiaturze numer komórki Philippa.

*Proszę, odbierz. Odbierz...*

Na stojącym pośrodku ogrodu spróchniałym pniu pozbawionej korony brzozy, w którą przed laty uderzył piorun i którą już dawno powinni usunąć, wylądowała wrona.

Na zewnątrz zapadał zmierzch, między drzewami w domach sąsiadów migały światła, przytulne jak małe lampy choinkowe.

W czasie przed o tej porze zaparzyłaby herbatę, zapaliła świecę i nastawiła muzykę klasyczną, a tak jedynym dźwiękiem, który towarzyszył jej depresyjnemu nastrojowi, był nieskończenie długo dzwoniący telefon.

Spodziewała się poczty głosowej, kiedy rozległ się trzask i usłyszała pojedyncze kasznięcie.

– Tak? Halo?

Emma odsunęła się od lodówki, ale wibracja w jej plecach nie ustała. Przybrała nawet na sile, gdy zorientowała się, kto odebrał komórkę jej męża.

– Jorgo?

– Wszystko w porządku?

– Tak. Gdzie jest Philipp?

– Jest... poczekaj chwilę. – Usłyszała, jak coś szeleści, potem kroki, w końcu coś jak zamknięcie drzwi. Jorgo mówił teraz głośniej, jego głos brzmiał, jakby trafiał w próżnię, jakby stał w pustym pomieszczeniu.

– Nie może teraz rozmawiać.

– Aha.

– Właśnie wygłasza odczyt. Dlatego mam jego komórkę.

*Czy to wymówka?*

Emma mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha, ale nie potrafiła rozpoznać odgłosów w tle, które by potwierdziły albo obaliły twierdzenie Jorgo.

– A ty nie chcesz wysłuchać odczytu swojego przyjaciela?

– Wyszedłem z sali tylko przez ciebie. Czy coś się stało?

*Tak. Moje życie.*

– Jak długo będzie jeszcze mówił? – zapytała.

– Jeszcze chwilę. Posłuchaj, co prawda to nie moja sprawa, ale jeśli znów chodzi o jego pobyt w Le Zen...

W żołądku Emmy otworzyła się zamrażarka.

– Skąd o tym wiesz? – wydyszała.

Wyjaśnienie było równie proste jak niezręczne.

– Philipp włączył w samochodzie zestaw głośnomówiący, kiedy wcześniej odsłuchiwał pocztę głosową.

Zamrugła nerwowo.

*Cholera.*

Zupełnie o tym zapomniała. I Jorgo wszystko usłyszał.

Przeszła z kuchni do salonu.

– Cztery tygodnie temu Philipp był w tym hotelu służbowo. Wiem to, bo z nim byłem. Kazaliśmy pokazać sobie jeszcze raz wszystkie pokoje na dziewiętnastym piętrze. Co miał powiedzieć, kiedy naraz stanął przed nim ten weterynarz? „Witam, czekam na dyrektora hotelu? Chcemy znaleźć pokój, w którym zgwałcono moją żonę”?

Emma przytaknęła mimowolnie.

*To miało sens.*

Zamrażarka w jej żołądku zamknęła się.

– Nie odsłuchiłaś swojej poczty głosowej? – zapytał po chwili Jorgo.

– Słucham?

– Philipp dzwonił do ciebie kilka razy. Ale albo nie miałaś przy sobie telefonu, albo nie miałaś zasięgu.

*Ponieważ właśnie włamałam się do Palandta, u którego zgubiłam swój telefon, omal nie powiedziała Emma.*

*Co za cholerna bzdura.*

Kiedy sąsiad znajdzie go w swoim przedpokoju, będzie tylko kwestią czasu, żeby ustalili, kto się do niego włamał.

*Poza tym widział mnie w swojej sypialni!*

Emma zadrżała na wspomnienie szeroko otwartych nieruchomych oczu.

– Czy mógłbyś przekazać Philippowi, że teraz jestem znów osiągalna? Żeby zadzwonił do mnie na stacjonarny. I dziękuję za kartkę.

W tle zrobiło się głośniejsze, jakby Jorgo włączył tryb głośnomówiący.

– Jaką kartkę? – zapytał.

– No tę, którą wcisnąłeś mi do ręki. Dziękuję, że mi wierzysz.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym mówisz.

– Słucham?

Emma poczuła się, jakby za szybko biegła. Pociemniało jej w oczach. Usiadła przy biurku i tępo patrzyła na ogród, szukała stałego punktu, na którym mogłaby zatrzymać wzrok, skoro jej umysł już się rozsypał.

Znów spojrzała na ułamany pień brzozy w ogrodzie. Wrony już tam nie było.

– Ale ty... przecież...

*Kartka!*

Nerwowo sięgnęła do kieszeni spodni, ale niczego tam nie znalazła. Próbowwała się skoncentrować, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie włożyła wiadomość od Jorgo. W tym czasie wydarzyło się zbyt wiele, prawdopodobnie zgubiła kartkę u weterynarza, po drodze do Palandta albo nawet w jego domu razem z komórką.

– Nie dałem ci żadnej kartki – usłyszała głos Jorgo, który nagle zabrzmiał dziwnie nerwowo.

*Kłamiesz!* – chciała na niego wrzasnąć, ale jej wzrok zawisł na leżącym przed nią na biurku przedmiocie, który był tak duży, że właściwie nie można go było nie zauważyć. Jak przysłowiowego lasu, którego człowiek na początku w ogóle nie widzi, tylko same drzewa. Emma zadrżała.

– Czy jest coś jeszcze? – usłyszała jak z oddali pytanie Jorgo.

Nie mogła nic na to poradzić, że jej dreszcze przeszły w silne drżenie.

– Nie – wychrypiała bezdźwięcznie i rozłączyła się, chociaż właściwie chciała wykrzyknąć: „Tak. Jest coś jeszcze. Coś bardzo niedobrego!”

Drżała teraz tak mocno, że bezprzewodowy telefon wypadł jej z ręki, ale nie z powodu oczu Palandta ani ucieczki z jego domu.

To paczka.

Ta, którą Salim dał jej dziś rano dla tajemniczego sąsiada.

Znów tam leżała.

Na biurku.

Na swoim miejscu.

Tam, gdzie ją wcześniej położyła.  
Tak jakby nigdy nie była gdzie indziej.

## 28

Tak jak alkoholik wie, co robi, kiedy jednym łykiem opróżnia kieliszek, tak Emma wiedziała, co robi, kiedy zdjęła sznurek z paczki. Rozpoczęła najbardziej niebezpieczny etap podróży, daleko w głąb slumsów swojej bezsensownej egzystencji.

Jedną z pierwszych rzeczy, których nauczyła się na wykładach z psychiatrii, było znaczenie słowa „paranoja”. Pochodzi ono z języka greckiego i najtrafniejsze jego tłumaczenie brzmi „wbrew zdrowemu rozsądkowi”. I dokładnie tak się zachowywała: wbrew zdrowemu rozsądkowi. Był to nawet czyn karalny, ale naruszeniem tajemnicy korespondencji przejmowała się najmniej. O wiele bardziej bała się siebie samej. A jeśli wszyscy mieli rację?

Policyjna psycholożka, kiedy twierdziła, że Emma wymyśliła sobie zgwałcenie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jorgo, który uważał, że nigdy nie dał jej żadnej kartki.

Za to teraz znów pojawiła się paczka.

Była pewna, że jest w niej klucz do wyjaśnienia wszystkich zagadkowych wydarzeń ostatnich godzin, jeśli nie tygodni.

Ale ilu ludzi już poznała, którzy mieli zafałszowane postrzeganie rzeczywistości? Ilu leczyła pacjentów, zagubionych dusz, które przez cały dzień nie robią nic innego, tylko przeinaczają swoje obserwacje i wydarzenia, aż w końcu interpretują je jako dowód najbardziej podstępnych teorii spiskowych i prześladowczych?

Czyżby przeszła na drugą stronę i postępowała tak samo jak oni?

Zdawała sobie sprawę, że pewne rzeczy mogły wyglądać inaczej. Że co prawda w ostatnich godzinach wykryła wiele „niezgodności”, ale nie znalazła najmniejszego dowodu na to, że paczka miała jakkolwiek związek z tym, co się jej przydarzyło. A mimo to przecięła sobie do krwi kciuk brzegiem papieru, kiedy go rozrywała.

Rozerwała pudełko. Uroczyście otworzyła paczkę i grzebała prawą dłoń w styropianowych kulkach, które wkłada się do środka, żeby zabezpieczyć

zawartość. I wydobyła pudełeczko wielkości opakowania tabletek, z obcojęzycznym napisem:

МОРФЕЙ N60 ТАБЛ

Było co najmniej dziesięć paczuszek, białe kartoniki z błękitnymi paskami, i Emma otworzyła jedną z nich.

*Rzeczywiście, lekarstwa.*

Żółto-brunatne pigułki wielkości łyżki w przezroczystym listku.

*Ale jakie?*

Emma uczyła się w szkole angielskiego i łaciny, ale nie rosyjskiego. Wzięła do ręki otwarte pudełko.

МОРФЕЙ N60 ТАБЛ

Udało jej się odczytać wskazówkę dotyczącą dawkowania. Ale nie nazwę handlową leku ani skład.

Znalazła ulotkę informacyjną, niezbyt profesjonalnie złożoną, wciśniętą do opakowania. Rozłożyła ją, napisane cyrylicą słowa przypomniały jej lekarstwa na nocnym stoliku Palandta. Grzebała dalej w styropianowych kulkach i natrafiła na coś, co, o dziwo, nie skłoniło jej do krzyku, chociaż trzymała w dłoni śmiertelną broń.

Plastikowy skalpel.

Emmie zaparło dech dopiero wówczas, kiedy zdjęła uszkodzone celofanowe opakowanie i odsłoniła czerwone ostrze.

*Czy to krew?*

Doznała surrealistycznego uczucia, jakby ktoś stojący za jej plecami wyciągnął do niej rękę, odwróciła się, ale nikogo tam nie było. Nie było również Samsona, którego w tej chwili tak bardzo pragnęła mieć obok siebie.

Ze wstrętem odłożyła nóż na bok i kontynuowała przeszukiwanie paczki.

Natrafiła na brązową butelkę z etykietą bez logo i kolorowego nadruku, z odręcznym napisem:

гамма-гидроксимасляная кислота

Emma przetarła oczy i zmusiła się, żeby je choć na moment zamknąć. Czuła się jak kierowca samochodu, który walczy z sennością.

*Właściwie powinnam zjechać na prawo i zrobić przerwę.*

*Dobry pomysł.*

Zatęskniła za swoją sofą (*och, tak, byłoby cudownie położyć się chociaż na chwilę*), ale to niemożliwe. *Co, jeśli Palandt przyjdzie, żeby odebrać paczkę?*

Sięgnęła po skalpel z zabrudzonym ostrzem i włożyła go do kieszeni szlafroka.

Mimo noża czuła się całkowicie bezbronna, ponieważ pomijając to, że pewnie nie byłaby teraz w stanie unieść ostrza, i tak byłoby ono nieskuteczne wobec najokrutniejszego ze wszystkich wrogów.



*Wobec demonów, które niszczą mój umysł.*

A jeśli położysz się, żeby odpocząć, a paczka znów zniknie, gdy tylko odeśpi dżazepam?

Postanowiła na dowód sfotografować opakowania leków, rozsypanych na stole, ale czym?

Jej komórka leżała u A. Palandta, którego goście mówili takim językiem, że chyba byliby w stanie odczytać te hieroglify, których Emma nie potrafiła odcyfrować... *Chwileczkę...*

Jej wzrok zatrzymał się na laptopie.

*...ale może mój komputer!*

Uniosła pokrywę notebooka, otworzyła ustawienia systemowe i postawiła haczyk w ustawieniach regionalnych obok „Rosji”.

*Szybko poszło.*

Dużo więcej czasu zużyła na znalezienie na klawiaturze odpowiednich znaków. Istniała tylko metoda prób i błędów i dopiero po kilku minutach zaszła tak daleko, że wstukała w tłumacza Google:

МОРФЕЙ & гамма-гидроксимасляная кислота.

Kiedy spojrzała na prawą kolumnę z rezultatami, pożałowała, że to zrobiła.

*Morfina & kwas gamma-hydroksymasłowy*

Pierwsze znało każde dziecko. Ostatnie każdy lekarz.

GHB. Płynny narkotyk, podawany w większych dawkach sprawia, że pacjenci stają się bezwolni i bezbronni, lecz również ogranicza świadomość. GHB, który prasa nazwała nokautującymi kroplami, zyskał złą sławę, bo gwałciciele dodawali go niepostrzeżenie do drinków swoich ofiar.

Emma zaczęła ciężko dyszeć, łapała powietrze.

Paczka zawierała środek, który Fryzjer podawał wszystkim swoim ofiarom.

Przed jej oczami wszystko drżało, jakby wpatrywała się w gorący asfalt w środku lata.

Dotarła do momentu, kiedy musi przerwać swoje śledztwo, do tej pory prowadzone na własną rękę. Ściśle rzecz biorąc, dawno już ten moment przekroczyła.

Osamotniona, zmęczona, do bólu bezsilna wstała od biurka, poczłapała do sofy i wyczerpana opadła na poduszki.

Mysłała.

O paczce i jej zawartości. Tak pragnęła, żeby zawartość rozwiała jej makabryczne wątpliwości, a tymczasem spowodowała coś przeciwnego.

O A. Palandcie, który przerażony przez bandytów, płakał bezgłośnie w ciemności swojej sypialni, i o Phillipie, który zostawił ją samą sobie z wewnętrzną pustką i do którego nie mogła teraz zadzwonić.

Nie dlatego, że jej komórka leżała obok stojaka na peruki Palandta, miała przecież jeszcze telefon stacjonarny. Ani nie dlatego, że bała się jego gniewu, ponieważ popełniła dzisiaj trzy czyny karalne: naruszenie miru domowego, złamanie tajemnicy korespondencji i uszkodzenie mienia w postaci paczki.

Nie, nie mogła już zadzwonić do męża z całkiem prostego powodu – zamykały się jej oczy.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był cień, który poruszał się po prawej stronie w pewnej odległości od drzwi. Cień, który przypominał ciemną męską postać i którego pojawienie się co prawda głęboko ją zaniepokoiło, ale nie była już w stanie wyrwać się ze snu. Z każdym jego krokiem, gdy się do niej zbliżał, Emma oddalała się od własnej świadomości. Nawet odgłosy szurania ciężkich butów nie mogły jej uchronić przed zapadnięciem w głęboki spokojny sen.

## 29

### Trzy tygodnie później

Emma otworzyła oczy i z trudnością zorientowała się w sytuacji. Wiedziała, gdzie jest (w kancelarii Konrada) i dlaczego tu jest (żeby złożyć zeznanie, od którego bardzo dużo zależało). Jednak nie miała pojęcia, gdzie zniknęły ostatnie minuty. Wskazówka zegara na regale przeskoczyła o kwadrans, a herbata assam w filiżance, którą Konrad dopiero co nalał, przestała parować, choć w tym czasie zdążyła tylko raz mrugnąć okiem.

– Co się stało? – zapytała Konrada i ziewnęła.

– Zasnąłeś – stwierdził. Nie miał już nóg założonych jedna na drugą, ale była to jedyna zmiana w jego poza tym perfekcyjnej postawie. Wyprostowany jak świeca siedział w fotelu i zupełnie nie sprawiał wrażenia, że jest spięty. Emma wiedziała, że od lat był zapalonym zwolennikiem treningu autogennego i doprowadził do perfekcji umiejętność samodzielnego wyciszania się.

– Zasnąłam? Podczas rozmowy? – zapytała z niedowierzaniem i pomasowała napięty kark.

– W środku zdania – potwierdził. – Lekarstwa sprawiają, że jesteś zmęczona, poza tym jest tu bardzo gorąco. Przykręciłem kominek.

*Jaka szkoda.*

Spojrzała na szybę kominka, za którą gazowe płomienie buchały znacznie niżej, i znów ziewnęła.

Konrad uniósł brwi i łagodnie zapytał:

– Może chcesz, żebyśmy na dzisiaj skończyli?

– Czy w takim razie muszę tam wrócić?

Przełknęła ślinę. Sama myśl o „celi” sprawiła, że głos uwiązł jej w gardle.

– Niestety, ale gwarantuję ci, że dziś w nocy cię nie przywiążą.

*Co za postęp!*

– Myślę, że mogłabym jeszcze trochę zostać.

– Bardzo chętnie, ale...

– Nie, już dobrze. Zmęczenie nie jest chorobą, prawda? Mam jeszcze siłę, powinniśmy więc wykorzystać czas. Dobrze mi zrobi, jeśli ci wszystko opowiem.

– Wszystko? – zapytał Konrad.

– Od czego chcesz zacząć?

Odetchnął głęboko i zawahał się.

– No tak, widzę, że są sprawy, o których wspominasz tylko powierzchownie, żeby potem szybko zmienić temat.

– Na przykład?

– Na przykład pieniądze.

– Jakie pieniądze?

Konrad uśmiechnął się szelmowsko, jakby to pytanie było dowodem na jego wcześniejsze pytanie.

– Czy nie powiedziałaś, że weterynarz poskarżył się na zablokowanie twojej karty kredytowej.

– Ach, o to ci chodzi. – Emma założyła ręce na kolanach.

– Co to było? Błąd banku?

– Nie – odpowiedziała cicho.

– Więc naprawdę ją zablokowali?

– Tak – przytaknęła.

– A wcześniejszy mejl, o którym mimochodem wspomniałaś. Zablokowanie twojego konta, myślałaś, że to był spam...

– Był prawdziwy.

Oczy Konrada zwęziły się.

– Mieliście problemy finansowe?

– Nie.

– No więc?

Emma chrząknęła zakłopotana.

– Zapytałeś, czy my mieliśmy problemy finansowe. Powiedziałam: nie, bo tylko ja je miałam.

To, żeby Philipp kiedykolwiek miał popaść w tarapaty finansowe, było prawie niewyobrażalne. Jego rodzice, zanim zabrał ich rak, zostawili mu majątek, który zbili na budowie restauracji przy autostradach.

– Za dużo zamawiałam, całe mnóstwo głupot w sklepach internetowych i telesprzedazy, od drogich kosmetyków po kuchenki mikrofalowe i kaptcie. Niepotrzebne rupiecie, za ich pomocą próbowałam odwrócić uwagę, przestać myśleć o tym, co mnie spotkało. A jednocześnie całkowicie zaniedbałam praktykę.

– Ale przecież Philipp nie zostawiłby cię bez grosza? – zapytał Konrad.

– Nie, znasz jego hojność. Nawet nie mamy intercyzy, chociaż wniósł do

małżeństwa swój majątek. Ale przecież już spłacał kredyt na moją przychodnię. Wydatki wynikające z nałogu kupowania pokrywałam z własnego konta.

– A gdy było puste, wstydziłaś się mu o tym powiedzieć.

Emma opuściła wzrok.

– Tak.

– Rozumiem – odparł Konrad, jakby odhaczył jeden punkt na swojej liście, i rzeczywiście zmienił temat. – Porozmawiajmy o tym, z czego zwierzyłaś się Sylvii. Co cię bardziej zirytowało? Kiedy wmawiała ci, że podmieniłaś pigułki? Czy kiedy powiedziała o „rzekomym” gwałcie?

Emma przełknęła ślinę.

– Nie wiem. Myślę, że to jedno i to samo. Powiedziała, że jestem obłąkaną kłamczuchą, która chce jej zaszkodzić.

– Tak powiedziała? – Konrad przechylił głowę na bok. – A nie podała raczej w wątpliwość twojej zdolności postrzegania?

Emma zmarszczyła czoło.

– A jaka to różnica?

– Ogromna. Przecież wiesz, że trzech świadkowie wypadku samochodowego czasem przedstawiają trzy różne wersje przebiegu zdarzenia. Żaden z nich nie kłamie, ale niektórym umysł płata figle w stresujących sytuacjach.

– To możliwe, ale chyba wiem, czy umyślnie podmieniłam jej pigułki i czy zostałam zgwałcona.

Konrad przytaknął i wtedy wydarzyło się coś niezwykłego. Zmienił się, i to z taką prędkością, jakby ktoś przełączył wyłącznik. Ojcowski uśmiech znikł równie szybko jak zmarszczki od śmiechu wokół oczu. Jego wzrok stał się twardy, niemal nieruchomy, ostry jak szpikulec do papieru na jego biurku. Dolną szczękę wysunął do przodu, a oddech całkiem się uspokoił.

*Wygląda jak lis przed doskoczeniem do zająca*, pomyślała Emma, i rzeczywiście jej troskliwy mentor zmienił się w owianego złą sławą prawnika, którego krzyżowych przesłuchań obawiano się w całych Niemczech.

– Więc jesteś siebie pewna? – zapytał.

Emma zacisnęła pięści pod kaszmirowym kocem.

– Tak pewna, jak w trakcie przymusowego poddania się eksperymentom Rosenhana?

– Konrad, ja...

– Przecież opowiedziałaś to słuchaczom swojego wykładu. Pokazałaś im wideo. Co prawda kobieta miała inny kolor włosów, ale wyjaśniłaś publiczności, że to ty byłaś osobą, którą poddano elektrowstrząsom.

– Tak, ale...

I na tym koniec. To „ale”, które wszystko zmieniło. Emma przecierała oczy i

daremnie próbowała powstrzymać łzy.

– Przecież nawet nie wiem, dlaczego skłamałam – powiedziała i natychmiast się poprawiła. – A może jednak wiem. Chciałam wytrącić argumenty z ręki pewnemu słuchaczowi, nazywa się Stauder-Mertens, pyszałkowaty dupek, który chciał mnie ośmieszyć swoimi pytaniami. To było bardzo głupie. Ale...

To drugie „ale” zawisło w powietrzu, bo nie było niczego, co mogło usprawiedliwić jej oszustwo.

– Krytyczne pytanie słuchacza mogło być powodem twojego kłamstwa. Ale nie przyczyną – stwierdził Konrad.

– Wiem o tym.

Odwróciła się do okna. Patrzyła na śnieg na jeziorze. Pragnęła znaleźć się tam, na dworze. Unosić się bez życia, pod lodem.

– Oczywiście, że wiesz. – Konrad nie przestawał drażnić jej słowami. – Pseudologia jest twoją specjalnością. Znasz okoliczności, które mogą wywołać patologiczne, wymuszone kłamstwo.

– Konrad, proszę...

Odwróciła się do niego. Popatrzyła na niego błagalnie, ale adwokat nie znał litości i wyliczał objawy:

– Zaniechywanie w dzieciństwie. Odrzucenie przez rodziców, na przykład przez ojca. Ponadprzeciętna wyobraźnia, która umożliwia ucieczkę w urojony świat, gdzie człowiek tworzy sobie zastępczą postać wyimaginowanego przyjaciela, którego mógłby na przykład nazywać Arthurem.

– Przestań!

Emma zerwała koc z kolan.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy, skoro i tak nie wierzysz w ani jedno moje słowo! – krzyknęła i chciała zerwać się z kanapy. Ale przeceniła swoje siły, zachwiała się do tyłu i przewróciła filiżankę.

Grube krople spadły z ławy akurat na białą część dywanu. Na czarnych wyblakłych włóknach na brzegu, które i tak z czasem lekko zbrązowiały, plama nie byłaby tak widoczna.

– Przepraszam, Konrad. Cholera, nie chciałam. – Łzy na nowo napłynęły jej do oczu, ale teraz już z nimi nie walczyła.

– Nic się nie stało – usłyszała głos Konrada, który odruchowo zerwał się na równe nogi i w gruncie rzeczy postąpił słusznie. Plama była nieduża i na pewno dałoby się ją bez problemu wyczyścić, mimo to czuła się tak, jakby zabrudziła jego największą świętość.

*Akurat dywan w kształcie koła!*

Wiedziała, ile znaczy dla niego ten stary dywan. Kilkadziesiąt lat temu Konrad, jeszcze jako student, przywiózł go z wyprawy do Tybetu. To był jego pierwszy

większy zakup, jego talizman – a ona go poplamiła.

– Dokąd chcesz iść? – zapytał, kiedy znowu próbowała wstać z kanapy.

Pokazała na drzwi obok wyjścia, które prowadziły do prywatnej łazienki Konrada.

– Przynieść wodę i mydło.

Łagodnie pokręcił głową, znów był starym przyjacielem i mentorem. Tak jak poprzednio zmiana zaszła w ułamku sekundy i chociaż się nie uśmiechał, jego słowa zabrzmiały ciepło i przyjaźnie, jak wcześniej.

– Dywan wcale nie jest ważny. Ważne jest to, że mówisz mi prawdę.

– Staram się, ale przerażasz mnie.

Konrad wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, ale co mam robić?”

– Postaraj się nie bać tego, co mówię – poprosił łagodnie i usiadł. – Gram tylko rolę adwokata diabła. Prokurator będzie próbował wyprowadzić cię na rozprawie z równowagi zupełnie innymi sztuczkami.

Emma przełknęła ślinę i zapragnęła, żeby ją objął albo przynajmniej wziął za rękę, ale on po prostu tylko patrzył, jak siadała.

Dopiero potem wstał, wyjął z kieszeni spodni dużą chusteczkę i wytarł nią do sucha szklany stolik. Zlekceważył ciemną plamę na podłodze.

– Wyciągnie na światło dzienne wszystkie twoje mroczne tajemnice i ja też muszę to zrobić. W końcu on chce cię wsadzić do końca życia do więzienia.

– Wiem.

Emma podrapała się po odrastających włosach na czole, oparła się impulsowi, żeby sprawdzić ich długość. Wydmuchała nos, a potem powiedziała:

– Uwierz mi, że nie chciałam tego wszystkiego.

Konrad postukał się w wargi, naraz mocno je zacisnął i po krótkim namyśle powiedział:

– Zwykle mówię w takiej sytuacji, że do tego nie dojdzie. Dla mnie jest bez znaczenia, czy mój klient mówi prawdę, czy kłamie. Ale w tym wypadku jest inaczej.

– Bo jesteśmy zaprzyjaźnieni?

– Bo nie znam całej historii. Opowiedz mi ją. I to nie tylko to, co i tak wiem z akt. Musisz wejść głębiej. I opowiedzieć również o rzeczach, które są dla ciebie bolesne.

Emmie zaszkliły się oczy.

Poparzyła na niego, jakby był przezroczysty, i oczywiście zrozumiała, co miał na myśli. Chciał usłyszeć o zwłokach.

*A więc dobrze...*

Jej wzrok znów się skupił, powędrował nad kominkiem i ogromnym biurkiem

do okna, za którym leżało jezioro. Prawdopodobnie już nigdy w życiu tam sobie nie pospaceruje.

Za to w głowie miała obrazy, które będą jej towarzyszyły wszędzie, obojętnie, jak szybko będzie sama przed sobą uciekała.

*Beczkę z odrąbanymi członkami, na przykład.*

*Aha, dobry pomysł.*

*Dlaczego nie mówię mu o beczce?*

Ale przedtem musiałaby jeszcze opowiedzieć, po co w ogóle poszła do szopy i dlaczego musiała drugi raz wyjść z domu, nie wiedząc, że jest obserwowana przez listonosza... Ale wszystko po kolei.

Emma oparła się na sofie i wyświadczyła Konradowi przysługę, bo poszła tam, gdzie najbardziej bolało.

Z powrotem do starego domu przy Teufelssee-Allee, w którym wkrótce miała stracić wszystko, co kiedyś było dla niej ważne.



# 30

## Trzy tygodnie wcześniej

Emma była bardzo spokojna.

Usnęła na siedząco, głowa opadła jej na bok i spoczywała na brzegu poduszki, przez co pokój przechylił się o prawie czterdzieści pięć stopni w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Filizanka na ławie, fotografie w ramach na gzymsie kominka, wazon z suszonymi kwiatami – wszystko w salonie wydawało się zachowywać na przekór sile ciężkości.

Również mężczyzna, stojący o trzy kroki od niej.

Przez chwilę sądziła, że to sen, i najpierw zdziwiła się, że środek nasenny w ogóle pozwala na sny. A potem zdziwiła się, że się dziwi, bo nie miała skłonności do rozmyślania przez sen na temat własnej świadomości. W końcu uświadomiła sobie, że ma otwarte oczy i że wszystko dookoła jest realne: kurz na stoliku do kawy, wypalone drwa w kominku, szlafrok, który w krótkiej, ale intensywnej fazie jej snu całkowicie się przepocił. I mężczyzna w grubych zimowych buciorach, z których kapie na podłogę woda z topniejącego śniegu.

*Mężczyzna!*

Podniosła się tak szybko, że na moment zakręciło jej się w głowie i świat zaczął wirować.

Sięgnęła do włącznika lampy stojącej i zapaliła ją. Ciepłe, łagodne światło wypełniło salon, jeszcze przed chwilą pogrążony w półmroku.

– Witam – powiedział mężczyzna i uniósł dłoń.

– Czego pan chce? – zapytała Emma i pomacała kieszeń szlafroka, szukając skalpela. To dziwne, ale była znacznie mniej przestraszona, niż powinna na widok obcego, który wtargnął do jej domu, gdy spała.

Była zaniepokojona, zdenerwowana, czuła się jak przed egzaminem, do którego się nie uczyła, ale daleko jej było do uczucia sparaliżowania, a cóż dopiero do krzyku. I nie chodziło o to, że zrezygnowana pogodziła się z losem, nie, bardziej

prawdopodobne było to, że mężczyzna wywoływał w niej teraz strach w dużo mniejszym stopniu niż w chwili, kiedy zobaczyła go pierwszy raz.

Niecałą godzinę temu.

Płaczącego w swojej sypialni.

– Pan Palandt? – zapytała, a nieproszony gość przytaknął bez słowa.

Wcześniej miał łysinę, teraz nosił ciemnobrązową perukę z krótkich włosów, która od śniegu z deszczem zmieniła kolor na czarny.

Był wysoki, prawie taki jak Sylvia, i szczupły, a nawet zasuszony. Czarna kurtka przeciwdeszczowa zwisała mu z zapadniętych ramion jak plandeka. Miała żółte guziki, które sprawiały wrażenie dziwnie modnych jak na kogoś, kto chyba nie przykładał wagi do wyglądu zewnętrznego. Również za cienkie jak na tę pogodę sztruksowe spodnie były o trzy numery za duże, tak jakby Palandt nosił rzeczy starszego brata. A miał co najmniej sześćdziesiątkę na karku.

Najbardziej niezwykle w jej sąsiedzie były jego okulary. Beżowe plastikowe monstrum ze szklami tak grubymi, że prawie nie było widać zza nich oczu.

Czy bez okularów w ogóle coś widział?

– Czego pan sobie życzy? – zapytała Emma w nadziei, że Palandt nie rozpoznał jej w sypialni. – Jak pan tu wszedł?

Wygrzebała się z poduszek i jakoś czuła, że musi się usprawiedliwić, a przecież to sąsiad wtargnął do jej domu, *a naruszenie miru domowego zapewne jest cięższym przestępstwem niż uszkodzenie mienia, prawda?*

– Przepraszam. Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem, ale drzwi były otwarte.

*Drzwi wejściowe?*

Emma przypomniała sobie, jak wyjąc, leżała na podłodze i usłyszała, jak Sylvia z wściekłością zatrzasnęła drzwi. Tak silnie, że w salonie wciąż czuło się wstrząs.

Prawdopodobnie wyskoczyły z zamka.

*A ja, głupia krowa, tego nie sprawdziłam!*

Palandt odwrócił się i spojrzał na biurko.

*Na paczkę!*

Rozerwaną jak prezent w Boże Narodzenie przez niecierpliwe dziecko. Jej zawartość leżała rozsypana na blacie pomiędzy styropianowymi kulkami.

– Przepraszam – powiedziała w poczuciu winy i pokazała na stół. – Jestem... no więc... nie czuję się zbyt dobrze. To był głupi pomysł, żeby przetrząsać pocztę po tym, jak połknęłam środek nasenny. Myślałam, że paczka jest dla mnie. Przykro mi.

– Nic się nie stało – odparł Palandt. Jego słowa brzmiały przyjaźnie i ciepło, chociaż wypowiedział je słabym głosem. – Jak już mówiłem, to ja powinienem

przeprosić.

Emma bezwiednie pokręciła głową, toteż Palandt dodał:

– Ależ tak, jak najbardziej. Nie powinienem tu tak po prostu wpaść, żeby zabrać paczkę. – Sięgnął do tylnej kieszeni sztruksowych spodni i wyjął z niej kartkę z wiadomością od Salima. – Pukałem, nie znalazłem też dzwonka...

– Jest na furcie do ogrodu.

– Ach tak, kiedy wspiąłem się na schody, nie wracałem już do furtki. Wie pani, mam trochę słabe nogi. – Spojrzał na siebie w dół, jakby chciał się upewnić, że chude nogi wciąż są przyrośnięte do wycięzonego ciała. – Tak czy inaczej, kiedy nikt się nie odezwał, zmartwiłem się, że tutaj też ktoś się włamał.

– Też? – zapytała Emma i nagle znów pojawił się strach. Ponieważ, oczywiście, wiedziała, o czym mówił Palandt.

– Och, już kilka razy mnie napadli, ostatni raz nawet dzisiaj – powiedział sąsiad i podrapał się w tył głowy. – Dzisiaj weszli nawet do mojej sypialni i obserwowali mnie.

Emmie zrobiło się zimno. Otworzyła usta, chciała zadać pytania, które natychmiast zadałaby osoba niepodejrzana: „O kim pan mówi? Czego od pana chcieli? Czy powiadomił pan policję?” – ale głos zamarł jej w gardle.

Nie wydała żadnego dźwięku, widząc, jak peruka na głowie Palandta przesuwa się, kiedy nieustannie drapał się po włosach.

Mruknął coś, co zrozumiała jak: „to cholerne swędzenie” i jednocześnie monstrualne okulary zmieniły się w akwarium pełne łez.

Palandt zaczął płakać.

## 31

Czy nie...? – Palandt pociągnął nosem i rozejrzał się dookoła, potem wydawało się, że coś znalazł, bo odwrócił się od Emmy i zrobił krok w prawo. – Czy nie przeszkadzałoby pani, gdybym usiadł?

Nie czekając na odpowiedź, opadł na fotel, który stał na skos do sofy i na którym Philipp lubił czytać w niedziele gazety. Fotel był pokryty ciemnozieloną skórą i miał oparcia na ręce w kolorze betonu, paskudny industrialny wygląd, który, zdaniem Emmy, w ogóle nie pasował do domu urządzonego w stylu rustykalnym. Ale była to pamiątka rodzinna po matce i Philipp był do niego bardzo przywiązany. Wydawało się, że również Palandt dobrze się w nim czuł, w każdym razie westchnął z ulgą, wierzchem dłoni wytarł łzy z policzka i przymknął oczy.

Emma stała niezdecydowana przed stolikiem do kawy. Bała się już, że sąsiad zaśnie, kiedy Palandt otworzył oczy:

– Jest mi bardzo niezręcznie, pani Stein, ale nie czuję się najlepiej, jak, być może, pani zauważyła.

*Pani Stein.*

Emma zastanawiała się przez chwilę, skąd sąsiad znał jej nazwisko, ponieważ nie było go na drzwiach, potem przyszło jej na myśl, że Salim na pewno zapisał je na pokwitowaniu odbioru.

– Co panu dolega? – zapytała, chociaż właściwie szukała zupełnie innych odpowiedzi. Na przykład, czy Palandt znalazł jej komórkę. Co się stało z jego włosami. Czy bawił się z nią w kotka i myszkę, kiedy właśnie znajdowała się w „fazie uspokojenia” i myślała, że od słabego chorego Palandta nic jej nie grozi, a on tylko czekał na odpowiedni moment, żeby skoczyć jej do gardła.

– Mam raka – powiedział. – Guza wątroby. Przerzuty do płuc.

– Stąd te lekarstwa? – Oboje spojrzeli na biurko.

– Morfina i GHB – przyznał bez ogródek. – Jedno uśmierza ból, drugie pobudza albo pomaga zasnąć, w zależności od dawki. Dzisiaj chyba za dużo łyknąłem, dlatego przespałem wizytę doręczyciela. – Zaśmiał się smutno. – Nigdy

bym nie pomyślał, że kiedyś zostanę ćpunem. Wie pani, przez całe życie uprawiałem sport, zdrowo się odżywiałem, nigdy nie piłem, zresztą w moim zawodzie nie było mi wolno.

Palandt mówił szybko, z typową dla samotnych ludzi mieszanką podniecenia i wstydu, kiedy po dłuższym czasie znajdowali okazję do porozmawiania z kimś, a tym kimś była zupełnie obca osoba.

– Pracowałem w cyrku – wyjaśnił. – Nazywali mnie Długonogi Ojczulek, być może słyszała pani o mnie. Nie? No tak, to było już jakiś czas temu. W każdym razie Długonogi Ojczulek, jak pająk, bo też miałem takie długie nogi, ale potrafiłem stać się całkiem mały. Boże, byłem taki giętki, największe brawa dostawałem za numer z kufrem.

– Numer z kufrem? – zapytała Emma.

– Tak, potrafiłem tak się zwinąć, że mieściłem się w małej podręcznej walizce. – Palandt uśmiechnął się smutno. – Miałem wtedy kości jak z gumy. Dzisiaj boli mnie, nawet kiedy zawiązuję sznurowadła.

Emma przełknęła ślinę. Myśl o człowieku, który wcisnął się w najdalszy kąt pokoju, żeby go nie znaleźli, zanim jego mieszkaniec położył się spać, nie dawała jej spokoju.

*Ale w Le Zen nie było ani jednego kąta. Nawet dla człowieka węża.*

Popatrzyła na okno. Pod kloszem ulicznej latarni wirowały w świetle płatki śniegu jak chmara komarów w lecie. Poczowała tępy ból, który naciskał od środka na jej czoło i pomyślała, że wystarczyłaby tylko połówka pigułki, z tych, które leżały na biurku, żeby pozbyć się bólu, obojętne, jak silna będzie dziś migrena, która właśnie się zapowiedziała.

Zauważyła, że Palandt podążył za jej wzrokiem do paczki i rzekła:

– To nie moja sprawa, ale wie pan, jestem lekarzem.

Palandt zaśmiał się piskliwie.

– Chce pani wiedzieć, dlaczego zamawiam tanie czarnorynkowe podróbki?

Skinęła głową.

– Tak, to był głupi pomysł – tłumaczył Palandt. – Wie pani, wcześniej nigdy nie miałem ubezpieczenia zdrowotnego. Zresztą po co? Nigdy nie chorowałem, a jeśli coś pójdzie źle, tak myślałem, zamieszkać w domu mojej matki i będę żył z oszczędności.

– Pani Tornow?

– To było jej panieńskie nazwisko. Wróciła do niego po rozwodzie. Znała ją pani? – Palandt wydawał się bardzo uradowany i lekko się uśmiechnął.

– Od czasu do czasu spotykałyśmy się na ulicy, miła kobieta – odpowiedziała Emma. – Już dawno jej nie widziałam.

– Jest w Tajlandii – wyjaśnił. – W domu opieki, tuż przy plaży.

Emma przytaknęła. To prawda. Coraz więcej niemieckich emerytów spędzało jesień życia w Azji, gdzie za małe pieniądze dostawali dobrą opiekę. A w zimie nie było tak zimno jak w domu.

– Powinienem dbać o dom w czasie jej nieobecności. – Palandt chciał jeszcze coś dodać, ale nagle zasłonił dłońmi usta. Jego ciałem wstrząsnął raptowny atak kaszlu. – Przepraszam... – Próbował coś powiedzieć, ale musiał co i raz przerywać i wydawało się, że zaraz się udusi.

Emma przyniosła z kuchni szklankę wody. Kiedy wróciła, miał zaczerwienioną twarz i ledwie zrozumiałe wycharczał:

– Czy mogłaby pani podać mi proszek, bardzo proszę.

Podawała mu morfinę z biurka.

Łapczywie połknął dwie pigułki naraz. Kaszlał jeszcze pół minuty, w końcu uspokoił się i odprężył.

– Przepraszam – powiedział, mrugając powiekami. Zdjął okulary i wierzchem dłoni osuszył łzy. – Czasem budzę się z tak silnym bólem, że aż płacę.

Ponownie włożył na nos okulary i uśmiechnął się przeproszająco.

– Wiem, w okularach wyglądam jak strach na wróble, ale bez nich mogłaby pani wstać i wyjść z pokoju, a ja dalej rozmawiałbym z poduszką na sofie.

Emma mimowolnie zmarszczyła czoło i usiadła.

*Czy to prawda?*

W końcu w jakimś stopniu mogło to tłumaczyć, dlaczego był wobec niej taki śmiały. Kiedy się obudził, prawdopodobnie doskwierał mu ból, o którym mówił. Bez okularów i ze łzami w oczach nie mógł jej widzieć, jak stała obok łóżka.

*Chyba nie znalazł jeszcze mojej komórki?*

Paranoiczne ja Emmy chciało oczywiście widzieć wszystko w innym świetle: Anton Palandt był utalentowanym aktorem, który tylko udawał przed nią swoją chorobę, żeby poczuła się bezpieczna, w *każdym razie nosi perukę!*, ale ona wręcz marzyła o niewinnym logicznym wyjaśnieniu wszystkich tajemniczych sytuacji, które dziś przeżyła i zobaczyła, dlatego całkiem bez ogródek zapytała:

– Czy stracił pan włosy wskutek chemioterapii?

Palandt przytaknął.

– Tak, prawda, że to wygląda okropnie? – Na chwilę uniósł tupecik i Emma zobaczyła liczne starcze plamy na głowie. – Tanie dziadostwo z Internetu. Swędzi jak diabli. Ale nie odważyłbym się wyjść bez tego na ulicę. Łysy wyglądam jak jakiś gwałciiciel.

Zaśmiał się gardłowo, a Emma próbowała zrobić dobrą minę do złej gry i również wykrzywiła usta w uśmiechu.

*Przypadek*, powiedziało jej pełne optymizmu ja. *On się z tobą bawi*, odpowiedziała paranoiczna tożsamość.

Emma pochyliła się do przodu, tak jak wcześniej podczas sesji terapeutycznych, kiedy chciała dać do zrozumienia pacjentom, że słucha ich z całą uwagą.

– Powiedział pan, że to był zły pomysł z tymi zagranicznymi lekarstwami? Nie działają?

Palandt przytaknął.

– To są tanie odpowiedniki. Nie powinienem się zadawać z typami, którzy mi je dostarczają.

– Czy to Rosjanie? – zapytała Emma.

– Nie. Albańczycy. Kupują je na czarnym rynku i wysyłają pocztą, oczywiście nie pisząc, kto jest nadawcą, ponieważ nie zdobyli ich całkiem legalnie.

– I jaki jest problem?

– Ci dranie są zwykłymi oszustami. Przy zamówieniu środka te kosztują nawet jedną trzecią wartości normalnego leku, dlatego na to poszedłem. Wie pani, nie stać mnie już na nic innego. Wszystkie pieniądze poszły na leczenie alternatywne. Na szamanów, terapie genowe, uzdrowicieli, na których roztrwoniłem oszczędności. Ale po pierwszej dostawie ci łajdacy nagle zażądali ode mnie ponad tysiąc euro. A ja tyle nie mam.

– I włamali się do pana?

Tym pytaniem Emma przełączyła wyłącznik. Dobroduszne rysy twarzy dziadka stwardniały. Jego wargi zmieniły się najpierw w kreski, potem zniknęły, a oczy nabrały dziwnego wyrazu.

– Tak, żeby ściągnąć pieniądze.

Uniósł prawą rękę i palec wskazujący skierował w stronę Emmy. Dłoń mu drżała jak choremu na parkinsona.

– Początkowo groźby były subtelne – mówił zdenerwowany. Wściekłość na ludzi, którzy go szantażowali, sprawiła, że zapomniał swojego do tej pory uprzejmego języka. – Te przekłete dupki wciąż przysyłają mi leki. Coraz gorsze. Które prawie nie działają. Tylko z trudem utrzymują mnie przy życiu, żebym nie wykitował, zanim nie dostaną swoich pieniędzy.

Palandt wytarł odrobinę śliny z dolnej wargi, potem wydawało się, że zauważył minę Emmy. Zaskoczona i przerażona jego nagłą zmianą nastroju wstrzymała oddech.

– Przepraszam, zapomniałem się – powiedział Palandt. Wydawało się, że gniew tak samo szybko zgasł, jak szybko w nim zapłonął.

Emma zastanawiała się, czy jego choroba może wywoływać dwubiegunowe zaburzenia maniakalno-depresyjne. Postanowiła, że go nie zlekceważy, i poprosiła Palandta, żeby mówił dalej.

– A więc, pani Stein, co mam powiedzieć. Próbowali mnie zastraszyć na

wszystkie sposoby. Na przykład, włożyli mi do paczki wycinek z gazety o okrutnym morderstwie.

*Albo zakrwawiony skalpel.*

– Jako ostrzeżenie, że mogłoby się tam znaleźć również moje nazwisko, rozumie pani. Ale teraz nie poprzestają już na aluzjach. Przetrzęsają mi dom, grożą pobiciem. Przestałem już zamykać drzwi, ponieważ ostatnim razem je zniszczyli. A dzisiaj znów tam byli.

– Dlaczego nie pójdzie pan na policję?

Palandt westchnął bezsilnie.

– Do tej pory nic by to nie dało. Nawet nie wiem, kim oni są, gdzie mieszkają. Nie wiem, jak się nazywają. Więc co miałyby zrobić policja? Dzień i noc obserwować dom jakiegoś chorego na raka? Obawiam się, że mają coś lepszego do roboty.

– Jak pan na nich trafił?

– Złożyłem zamówienie przez rosyjską stronę internetową.

– A co znaczy: do tej pory?

– Słucham?

– Powiedział pan, że do tej pory nie mógł pan złożyć zawiadomienia. Czy teraz coś się zmieniło?

– Ach, o to chodzi. Tak. Szantażyści popełnili błąd. Zgubili telefon komórkowy. Uśmiechnął się triumfująco, a temperatura ciała Emmy wzrosła o kilka stopni.

– Telefon komórkowy? – powtórzyła jak echo.

– Tak. Znalazłem go w korytarzu. Teraz chyba można znaleźć właściciela, prawda?

Emma wzruszyła ramionami. Prawa powieka zaczęła jej drżeć.

*Tak, można. Posłusznie zapisałam w nim nazwisko i adres właściciela, na wypadek gdybym kiedyś zgubiła telefon.*

Zrobiło jej się niedobrze.

– Czy poinformował pan kogoś o włamaniu?

Emma poczuła ulgę, kiedy pokręcił głową.

– Nie. Kiedy znalazłem zawiadomienie o nadejściu przesyłki, postanowiłem, że najpierw pójdę do pani, żeby zabrać lekarstwa. W domu mam jeszcze morfinę, ale kończą mi się krople.

Palandt wstał.

– Jestem pani niezmiernie wdzięczny za to, że mnie pani wysłuchała. I oczywiście za wodę. Proszę mi wybaczyć, jeśli moje wtargnięcie panią przestraszyło. Czy mogłaby mi pani dać jakąś torebkę?

– Torebkę?

Palandt wskazał na rozerwaną paczkę.



- Na lekarstwa. Wtedy będę mógł wrócić do domu i sprawdzić telefon.
- Po co? – zapytała Emma przestraszonym głosem.
- Nie mam pojęcia. Jeszcze nie jestem pewny. Właściwie to nie wiem, czy warto zaczynać z policją. Ale być może będą mogli coś zrobić, jeśli podam im nazwisko osoby, do której należy telefon.

## 32

Emma rzadko czuła się tak wyczerpana jak w tej chwili. Przy czym wcale nie była taka zmęczona, chociaż sen, z którego wyrwał ją sąsiad, był o wiele za krótki, żeby choć w niewielkim stopniu dać odpoczynek. Ale podobnie jak wcześniej, w domu Palandta, ogarnął ją strach, że zostanie przyłapana.

Nie mogła pozwolić, żeby wyszło na jaw, że to ona się tam włamała. Palandt nie mógł pod żadnym pozorem zadzwonić na policję. Co by to było, gdyby okazało się, że z powodu niekontrolowanych ruchów, jak w zespole Tourette'a, wdarła się do domu starego, śmiertelnie chorego mężczyzny? Większość ludzi od razu zakwestionowałaby jej poczytalność. Przecież nawet Philipp, i to całkiem otwarcie, zasugerował jej dziś terapię, a najbliższa przyjaciółka oskarżyła ją o otrucie.

Gdyby włamanie wyszło na jaw, jej reputacja raz na zawsze zostałaby zrujnowana. I wszyscy mówiliby, że byłoby lepiej, gdyby podczas eksperymentów Rosenhana lekarze zastosowali wobec niej terapię przymusową. Ponieważ naprawdę jest stuknięta.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał Palandt, kiedy wyszła z kuchni z plastikową reklamówką w ręku. – Wygląda pani tak blado.

– Co, a tak. Nie, wszystko w porządku. Zamyśliłam się.

Podziała mu torebkę, a on podszedł do biurka, ona została przy kominku.

– Nad czym? – zapytał, a torba z szelestem połykała wszystkie opakowania tabletek, które do niej wpychał.

*Nawet go nie zapytałam, czy chce zdjąć płaszcz*, pomyślała Emma, gapiąc się na jego chude plecy. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

– Czy pan go już dotykał? – zapytała.

Palandt odwrócił się.

– Telefon – powiedziała. – Czy miał go pan już w ręku?

– Tak. A czemu pani pyta?

– Bo mój mąż jest policjantem.

Wydawało się, że ta odpowiedź wcale go nie zdziwiła.

– Ach tak?

– Tak, Philipp często ma do czynienia z przypadkami szantażu – skłamała. – Przeważnie ma to związek z przestępczością zorganizowaną.

Palandt zakaszłał krótko.

– Mogę to sobie wyobrazić. Ci, którzy przychodzą do mojego domu, z pewnością należą do jakiejś zorganizowanej bandy. – Schował ostatnie opakowanie i ruszył do wyjścia.

Emma zastąpiła mu drogę.

– Jestem psychiatrą i od czasu do czasu pracuję z mężem, dlatego znam się trochę na jego pracy. Ale, niestety, mam wrażenie, że pan utrudnił czynności śledcze.

– Z powodu moich odcisków palców? – Palandt zdjął okulary i potarł zmęczone oczy.

– Gangsterzy mają dobrych adwokatów. Prawdopodobnie noszą nawet rękawiczki, dlatego teraz na telefonie znajdują się jedynie pańskie odciski.

– Ale to przecież nie ma znaczenia. Kiedy policja sprawdzi numer, stwierdzi, że to nie jest mój telefon – powiedział Palandt, choć jego głos brzmiał niepewnie.

– Jeśli sprawcy byli tak głupi i mają umowę na tę komórkę. Ale stawiałabym na to, że telefon jest na kartę.

– Aha.

Deski pod stopami Palandta trzeszczały, kiedy przestępował z nogi na nogę. Jego oczy nadal sprawiały przyjazne wrażenie, ale na twarzy malowało się napięcie. Najwidoczniej stanie sprawiało mu ból.

– No cóż, tak jak zawsze. Ale nie szkodzi spróbować – powiedział, włożył okulary i chciał w końcu przejść obok niej. Emma przemogła się i dotknęła jego ramienia.

– Szczerze mówiąc, byłabym ostrożna.

Zatrzymał się.

– Dlaczego? Co się może stać?

– No cóż, zadzwoni pan na policję. Przyjadą, sprawdzą telefon, sprawdzą wybierane numery i niczego nie udowodnią. Ale ponieważ funkcjonariusze sprawdzą numery, będzie to oznaczało, że wypłoszy pan szczury, panie Palandt, i w ostatecznym rozrachunku nic pan nie osiągnie poza tym, że pana dealerzy jeszcze bardziej się wściekną.

– Hm.

Jej słowa osiągnęły cel. Pracowały w jego głowie.

– Prawdopodobnie ma pani rację. Nie chcę mieć już więcej nieprzyjemności i dam sobie spokój. Z drugiej strony... – Palandt zdezorientowany spojrzał Emmie w oczy. – Do diabła, chcę, żeby to się skończyło. Ale oni na pewno po niego

wrócą. Przecież nie mogę tak po prostu dalej żyć i mieć nadzieję, że wszystko samo się naprawi.

– Rozumiem pana. – Emma nie wiedziała, jakie zaproponować wyjście z tej trudnej sytuacji, wyjście, które również jej pomogłoby wydostać się z tarapatów.

– Niech mi pan da ten telefon – powiedziała.

– Pani?

– Dzięki mężowi znam jedną policyjną sztuczkę, dzięki której można dowiedzieć się, czy telefon jest zarejestrowany, czy nie. Każdy producent ma ukrytą funkcję systemową.

Było to wierutne kłamstwo, ale nie chybiło celu.

– Zrobiłaby to pani dla mnie?

– Oczywiście.

*Zrobię niejedno, zanim odkryjesz, do kogo naprawdę należy ten telefon.*

Popatrzyła na okno, w które uderzały płatki śniegu, jakby było przednią szybą jadącego samochodu. Przez chwilę zastanawiała się, czy słusznie zrobiła, prosząc Palandta, żeby przyniósł jej telefon. Ale chyba lepiej było nie tracić czasu, zanim postanowi coś innego.

– A więc... – Emma nerwowo skubała swój przeпоcony i wilgotny szlafrok. – Muszę tylko szybko włożyć na siebie coś ciepłego, zanim pójdziemy.

## 33

**K**iedyś Arthur opowiedział Emmie o przełączniku pogody, który rodzice ukryli w piwnicy. Emma już od dawna nie bała się swojego wymyślanego towarzysza, również dlatego, że nie pokazał się drugi raz w swoim przerażającym hełmie. Rozmawiała z głosem w szafie, po kryjomu, żeby rodzice się nie dowiedzieli.

Od tamtej nocy, kiedy pierwszy raz zobaczyła Arthura, już nigdy nie przestąpiła progu sypialni rodziców. Nawet za dnia.

Mama też już nigdy nie przyszła, żeby opowiedzieć jej bajkę na dobranoc.

Skończyło się to w dniu, gdy straciła dziecko, o co Emma obwiniała się przez jakiś czas, chociaż nie wiedziała dlaczego. Arthur pocieszał ją i wyjaśniał, że nie mogła nic poradzić na to, że nie dostała małego braciszka. I przejął rolę opowiadacza bajek na dobranoc. W każdym razie dopóty, dopóki którejś nocy ojciec nie zauważył, jak Emma rozmawia z szafą i następnego dnia rano nie umówił wizyty u dziecięcego psychiatry.

Po ponad dwudziestu sesjach ojciec był zadowolony, że córka pozbyła się urojeń. Ale w rzeczywistości Emma czuła się tak, jakby straciła przyjaciela. Tęskniła za głosem, który opowiadał jej zabawne historie jak ta o przełączniku pogody, służącym do zmiany pór roku, żeby ojcowie, którzy nie mieli ochoty iść ze swoimi córkami na plac zabaw, mogli zamienić słońce na śnieg z deszczem.

A ponieważ teoria ta brzmiała mniej więcej tak samo przekonywająco jak historia o siwobrodym mężczyźnie, który potrafi jednej nocy rozdać miliony prezentów wszystkim dzieciom na świecie, któregoś dnia Emma zeszła do piwnicy, żeby poszukać legendarnego przełącznika.

Niestety, znalazła tylko zawór odcinający termę w kotłowni, dlatego przez jakiś czas w domu było zimno, bo skutecznie zakreśliła ogrzewanie.

Przełącznik pogody nie został znaleziony. Niestety. Również dzisiaj Emma chciałaby wyłączyć wcześniej zapadający zmrok oraz mróz, a przede wszystkim gryzący wiatr, który ostrymi zębami wpił się jej w twarz, gdy tylko zamknęła drzwi wejściowe i wyszła spod daszku nad ganikiem, który dawał jakąś ochronę.

– Ale pogoda – narzekał idący przodem Palandt. Postawiła kołnierz puchowej kurtki i z trudem nadążała za nim. Podziwiała sąsiada za jego sprężysty chód i opanowanie ciała. Rak nie rak, wydawało się, że dawna artystyczna działalność Palandta procentuje do dziś. W przeciwieństwie do niej nie człapał pochylony jak zbity pies, niepewnym krokiem, z trudem pokonując zaspę. Torbę z lekarstwami przełożył z jednej ręki do drugiej i spojrzał do tyłu przez ramię: – To bardzo miłe z pani strony. Ale nie musi pani tego dla mnie robić.

*Odbierać mojej komórki, zanim ją pan zidentyfikuje? Gdyby pan tylko wiedział, jak bardzo muszę to zrobić.*

Oczywiście, musi, ale na pewno nie chce. Złe było już samo to, że została narażona na horror zewnętrznego świata i nie miała na myśli pogody, lecz ulice, latarnie, obcych ludzi!

Działanie diazepamu osłabło, co oznaczało, że co prawda nie musiała już ustawicznie ziewać, ale za to znów zagnieździł się w niej strach.

W każdym parkującym samochodzie na tylnej kanapie czekał cień. Światło latarni oświetlało odcinki drogi, ale cały pełen niebezpieczeństw świat pozostawał pogrążony w mroku. Wiatr, który nawiewał śnieg, wiał tak głośno tylko po to, żeby zagłuszyć wszystkie odgłosy, które mogłyby ją ostrzegać przed groźącym nieszczęściem. Szalał tak gwałtownie wokół niezastłoniętych uszu (tym razem Emma w pośpiechu nie zawiązała na głowie chustki), że zagłuszał nawet zwykle odgłosy ruchu ulicznego na Heerstraße.

Minęli otwarty wjazd do narożnego domu, którego właściciel starannie rozsypywał grys, kiedy Palandt napędził Emmie strachu. Odwrócił się do niej i głośno zapytał:

– Czy była już pani kiedyś u mnie?

Emma popełniła błąd, podnosząc na niego wzrok, dlatego nie zauważyła zaśniewanej wyrwy w ziemi i potknęła się. Poczowała gwałtowny ból, który wystrzelił aż do kolana, zamachała rękami i straciła równowagę. Wtedy na jej nadgarstku zamknęła się obręcz jak żelazne kajdanki i brutalna siła pociągnęła ją do przodu, gdzie uderzyła o coś twardego, co również otoczyło ją jak kołnierz.

Palandt!

Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, czym uchronił ją przed upadkiem.

– Dziękuję! – powiedziała Emma, o wiele za cicho, biorąc pod uwagę wiatr, i bardzo speszona tym, że znajdowała się w ramionach kościstego sąsiada, którego siły najwyraźniej zupełnie nie doceniła. Pomacała się po kieszeni, szukając skalpela, i jęknęła, kiedy uświadomiła sobie, że przecież nie mogła go znaleźć w zimowej kurtce. Skalpel leżał teraz w koszu na pranie, stojącym na schodach do piwnicy, do którego włożyła bezmyślnie wilgotny szlafrok, zanim zmieniła go na puchową kurtkę.

*Jestem nieuzbrojona*, pomyślała.

I ta myśl spotęgowała jej strach.

„Myślę, że to jednak nie był dobry pomysł. Lepiej, jeśli teraz wrócę do domu”, to właśnie chciała mu powiedzieć, zanim się odwróci i pobiegnie.

– Myślę, że niewiele... – Były to jedyne słowa, które z siebie wydobyła.

Emma miała łzy w oczach z bólu, strachu i oczywiście z zimna. Mrugała, bojąc się, że woda mogłaby zamarznąć bezpośrednio na soczewce.

– Miałem na myśli, u mojej matki – poprawił się Palandt, kiedy znów znalazła środek ciężkości ciała. Puścił ją, ale ręce trzymał cały czas wyciągnięte jak ojciec, który stoi obok swojego dziecka i ubezpiecza je, gdy pierwszy raz puszcza kij przy rowerze. – Czy była pani kiedyś u mojej mamy, kiedy tu jeszcze mieszkała?

Emma pokręciła głową.

– Cała ona – mruknął Palandt i jeśli Emma się nie myliła, wydawało się, że cicho się zaśmiał, ale wiatr stłumił jego śmiech. – Zawsze była samotnicą.

Przez resztę krótkiej drogi szli obok siebie, milcząc, aż Emma po raz drugi tego dnia stanęła przed domem numer 16a. Po raz drugi zastanawiała się, czy wejść po schodach, żeby kilka chwil później po raz pierwszy zobaczyć wewnątrz domu przy świetle.

– Przykro mi, ale nie jest tu tak przytulnie jak u pani – usprawiedliwiał się Palandt. Emma chciała zdjąć puchową kurtkę, ale było na to stanowczo za zimno.

W korytarzu według starego rtęciowego termometru na ścianie temperatura ledwo przekraczała szesnaście stopni. W innych pokojach nie było lepiej, jak przyznał Palandt.

– Niestety, moje fundusze nie pozwalają mi bez przerwy ogrzewać wszystkich pokoi. Ale możemy usiąść w salonie przed kominkiem i zrobić herbatę.

Odmówiła, dziękując zdecydowanym tonem.

– Ma pan tę komórkę?

– Ależ oczywiście. Proszę poczekać.

Palandt położył torbę z lekarstwami na komodzie i zniknął za drzwiami, z lewej strony korytarza, gdzie, jak przypuszczała, była łazienka.

*Czyżby tam przechowywał moją komórkę?*

Emma wykorzystała tę jego krótką nieobecność, żeby raz jeszcze rozejrzeć się w korytarzu.

Poczta nie leżała już na podłodze przed drzwiami wejściowymi, wieszak na ubranie wciąż był pusty. Podobnie jak pozbawiona ust i oczu styropianowa głowa, prawdopodobnie przeznaczona na perukę Palandta, którą nosił po chemioterapii.

W migającym świetle starej żarówki, która wisiała naga pod sufitem, wieszak

rzucił cienie sprawiające wrażenie żywych istot. Emma podeszła bliżej i ujrzała coś jasnego i błyszczącego, małą poświatę na zazwyczaj matowej powierzchni.

Wyciągnęła rękę, przejechała nią po chropowatym styropianie, a potem przyjrzała się swoim palcom.

*Nie!* – krzyknęła w myślach. Uderzyła się w pierś, wytarła dłoń o udo, spróbowała jeszcze raz o kurtkę, ale włosy, długie, jasnoblonde Kobięce włosy, które zgarnęła ze styropianowej głowy na perukę, nie chciały odzepić się od jej palców.

– Wszystko w porządku? – usłyszała za sobą pytanie Palandta. Odwróciła się do niego, do zakrytych szklami oczu, do wymuszonego uśmiechu – i cienkich palców chirurga w lateksowych rękawiczkach, w których trzymał torebkę do zamrażania żywności.



## 34

Znalazłem je w szafce pod umywalką – powiedział Palandt. W jednej sekundzie był uśmiechnięty, a już w następnej oczy za okularami mu się zaszklily. – Przepraszam. – Pociągnął nosem. – Zawsze robię się sentymentalny, kiedy myślę o matce. Jest teraz tak daleko.

Uniósł dłonie i przez chwilę przebierał palcami w chirurgicznych rękawiczkach.

– Mama zawsze ich używała przy farbowaniu swoich peruk.

Emma najchętniej zaczęłaby krzyczeć, ale strach miał palce i właśnie położył je na jej szyi, i zatamował dopływ powietrza.

– W przeciwieństwie do mnie lubi nosić te wytwory z włosów.

Palandt podszedł dużymi krokami przez korytarz do komody z płyt wiórowych, na której położył reklamówkę. Jego płaszcz przeciwdeszczowy szeleścił przy każdym kroku.

Emma cofnęła się i w obronnym geście przycisnęła dłonie do piersi, w której waląc jak kopytami, galopowało jej serce. Palandt odciął jej teraz bezpośrednią drogę do wyjścia, dlatego szukała innej możliwości ucieczki. Albo broni, którą mogłaby obronić się przed spodziewanym atakiem. *Wieszak na ubranie?* Za ciężki, poza tym przykręcony do ściany. *Styropianowa głowa?* Bezużyteczna, za lekka. Drzwi, z przodu po lewej stronie? Przy odrobinie szczęścia i niesparalizowanych strachem nogach być może udałoby się jej dostać do kuchni, ale kto powiedział, że jest tam stojak na noże, do którego zdąży dotrzeć, zanim Palandt pociągnie ją do tyłu za włosy? Były już wystarczająco długie, żeby mogła za nie chwycić męska dłoń.

– Czy mogłaby pani potrzymać?

Emma wzdrygnęła się.

Poczuła w dłoni kawałek elastycznego plastiku, małą torebkę. Palandt wcisnął jej do ręki torebkę do zamrażania żywności i otworzył górną szufladę komody.

Po krótkiej chwili odwrócił się z uśmiechem zadowolenia na suchych ustach. I telefonem Emmy w rękę.

– Oto on, proszę.

Skinął zachęcająco. Najwidoczniej błędnie zrozumiał jej rozbiegany wzrok, bo powiedział:

– Tak, wiem. Prawdopodobnie rękawiczki są niepotrzebne, skoro miałem już telefon w ręku, ale przynajmniej nie dojdą nowe odciski. Czy mogę?

Emma przyglądała się palcom, w których trzymał torebkę.

Palandt poprosił, żeby przytrzymała ją tak, żeby mógł włożyć do niej komórkę.

– Tak się postępuje z dowodami, prawda? – zapytał i przerwał. – Kiedy zostanie zbadana?

Emma zamrużyła nerwowo i zagryzła dolną wargę, która zaczęła mimowolnie drżeć.

Panika była jak niewidzialny nocny potwór. Nawet jeśli człowiek wie, że nie ukrywa się w szafie ani pod łóżkiem, leży jeszcze przez chwilę z walącym jak młot sercem w ciemności i nie wierzy, że nic mu nie grozi.

– Zbadana? – zapytała, bo na chwilę zapomniała o kłamstwie, jakie wcisnęła Palandtowi. Jej twarz była mokra od potu, ale wydawało się, że Palandt nie widzi tego przez swoje mocne okulary albo wziął to za resztkę śniegu, która powoli topniała na czole Emmy.

– Specjalna funkcja – przypomniał jej. – Za pomocą której można stwierdzić, do kogo należy...

Zamilkł i wzdrygnął się, jakby go kopnął prąd. Ta mimowolna reakcja pasowała do elektrycznego bzyczenia i błysku w jego prawej dłoni.

Komórka.

Nagle zaświeciła jasno, aparat bzyczał w lateksowych palcach Palandta i musiało upłynąć trochę czasu, aż sąsiad Emmy zrozumiał, co właśnie zobaczył na wyświetlaczu: dwoje ludzi. Mężczyznę. I kobietę. Siedzących blisko siebie. Potajemnie sfotografowanych w jakiejś restauracji, jak razem grzebią w kawałku placka ziemniaczanego. Zdjęcie placka ziemniaczanego, które anonsowało telefon od Philippa!

## 35

Pomiędzy czwartym a piątym sygnałem telefonu Palandt zrozumiał, kto dzwoni.

– Co, do diabła? – zapytał cicho. Emma wyciągnęła do niego obie ręce, ale teraz to on się cofnął.

– Wyjaśnię to panu. – Próbowała wziąć telefon, ale szarpnął rękę.

– To pani? – Stuknął palcem wskazującym w wyświetlacz.

Wyłącznik znów się przełączył. Palandt w jednej chwili stracił panowanie nad sobą. Jego gwałtowna złość w salonie Emmy była skierowana przeciwko szantażystom. A teraz przeciw Emmie.

– To pani!

Emma przytaknęła.

– Zgadza się, ale to nie tak, jak pan myśli!

– Była tu pani?

– Tak...

– Włamała się pani do mnie?

– Nie...

– To pani głos słyszałem w sypialni!

– Tak, ale...

– Pani krzyk...

– Tak.

– Którym chciała mnie pani śmiertelnie przestraszyć!

– Nie.

Zasób słów Emmy skurczył się do słownika małego dziecka, które niechcący zrobiło zdjęcie dołączone do kontaktu w telefonie, co wymagało od niej pilnego wyjaśnienia.

Wyraz oczu Palandta bardzo się zmienił. W ogóle nie przypominał starego, naznaczonego ciężką chorobą, a mimo to troskliwego wujka. Był w najważniejszym znaczeniu tego słowa „nieobecny”.

– Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?! – wrzasnął.

Wy?

Emma próbowała ratować to, co było do uratowania, i przyjęła spokojny przyjazny ton, niemal jak dawniej w gabinecie, kiedy jej pacjenci stawali się wybuchowi.

– Proszę dać mi chwilę, żebym mogła to wyjaśnić.

Palandt nawet jej nie słuchał.

– Gdzie pani była?! – krzyknął. – Była pani również na zewnątrz?

Im bardziej się do niej zbliżał, tym mniej go rozumiała.

– Na zewnątrz?

– W ogrodzie. Czy pani to znalazła?

– Co znalazłam?

– Niech pani nie kłamie! – krzyknął i wymierzył Emmie pierwszy cios. Policzek, prosto w twarz. Przez chwilę sam wydawał się zaskoczony tym, co zrobił, i Emma miała nadzieję, że już się uspokoił, tymczasem było wręcz przeciwnie. Stał się jeszcze bardziej agresywny, jak pies, który jeśli coś chwyci zębami, to nie puści. Wydzierał się na nią coraz głośniej, machał zaciśniętymi pięściami nad jej głową.

– Na pewno pani znalazła. To dlatego otworzyła pani paczkę. Czy tak? Żeby mnie sprawdzić? Ale nic z tego. To się nie uda!

Emma chciała się cofnąć, ale już opierała się plecami o ścianę. Palandt chwycił ją za ramiona.

– Nie pójdę do więzienia. Nigdy!

Potrząsnął nią. Gdyby była niemowlęciem, na pewno doznałaby uszkodzenia mózgu, tak mocno nią szarpał. Potem, w kolejnym nagłym napadzie gniewu, odepchnął ją od ściany. Potknęła się, przytrzymała wieszaka na ubranie, który wprawdzie był przykręcony do ściany, ale niezbyt starannie, dlatego wyrwała go z zamocowania i upadła razem z nim na podłogę.

– Ty przekłeta bestio! – krzyknął Palandt. Teraz już całkiem oszalał. Zbliżył się do niej. Pochylił, złapał ją za włosy, które jednak mu się wyslizgnęły z ręki, bo były zbyt mokre (*a może zbyt krótkie?*), a Emma uderzyła mocno łokciem do tyłu. Trafiała boleśnie w jakąś kość, prawdopodobnie w brodę albo skroń. Nie wiedziała w co, bo nie patrzyła do tyłu, tylko do przodu, ale korytarz przed nią prowadził w złą stronę. W głąb domu.

Domu człowieka, który trzymał ją za kostkę (widocznie potknął się o wieszak) i wykrzykiwał szalone słowa.

– Musiałem to zrobić. Nie miałem wyboru. Przecież nie mam pieniędzy! Dlaczego nikt tego nie rozumie? Dlaczego nie możecie po prostu zostawić mnie w spokoju?

Emma kopnęła go i przycisnęła stopą jego twarz, tym razem spojrzała za siebie i zobaczyła krew, która leciała mu z nosa. A on klęczał nieruchomo.

Mimo to nie puścił. Ale przewracając się, wybiła mu kopniakiem ząb, i to wreszcie przyniosło upragniony skutek: puścił ją i skomlał, przycisnął dłonie do twarzy. Emma doczołgała się na czworakach do drzwi, znała je, kilka godzin temu już przed nimi stała.

Podciągnęła się na kłamce, słyszała swój krzyk, mieszaninę strachu i nienawiści, przez chwilę zastanawiała się, czy powinna pójść do kuchni i poszukać jakiejś broni, nie po to, żeby się bronić, lecz żeby doprowadzić rzecz do końca.

Ale potem wydało się jej, że za Palandtem, przy drzwiach wejściowych widzi cień. Poczowała powiew wiatru na mokrej od łez twarzy, zobaczyła, jak Palandt odzyskał równowagę i wycierał z ust czerwoną od krwi ślinę. Ze wzrokiem chorego na wściekliznę lisa krzyknął:

– Ty kurwo, niszczysz mi życie!

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i natychmiast je zamknęła, pobiegła do szklanych drzwi wychodzących na taras. Emma nie mogła tracić czasu na sprawdzanie, czy wciąż się zacinają, i już nie musiała uważać, żeby nie narobić hałasu. Złapała ohydny stojak na parasole, nie zważając na ból w kręgosłupie, kiedy podnosiła stojak, i rzuciła kiczowaty posąg labradora w szybę.

Brzęk tłuczonego szkła zabrzmiał w jej uszach jak krzyk, ale prawdopodobnie było to złudzenie, błędny sygnał maksymalnie przewrażliwionych zmysłów. Odwróciła się plecami do ogrodu, zasłoniła twarz rękami i przecisnęła się tyłem na zewnątrz domu. Rozerwała puchową kurtkę o resztki szkła w futrynie, kiedy przechodziła przez okno.

Pobiegła przez taras do ogrodu za domem, zapadając się w sięgającym do kostek śniegu, chciała biec w lewo, wokół domu, do ulicy, ale usłyszała dochodzący stamtąd męski głos. *Nie Palandta, ale być może któregoś z jego prześladowców?*

Pobiegła więc prosto, miała zamiar skrócić za ogrodzeniem w polną drogę, którą wytyczono pomiędzy działkami. Nieużywana ścieżka była wykorzystywana przez sąsiadów jako psia ubikacja, ale teraz mogła być dla niej ratunkiem. Wyglądało jednak na to, że się myliła.

Odwróciła się i zobaczyła Palandta o kilka kroków od siebie.

Ona zaznaczała swoją drogę odciskami stóp, Palandt ciągnął za sobą ślad krwi.

Przez chwilę dziwiła się, dlaczego tak dobrze widzi jego łysą głowę, z której strąciła perukę.

Potem zobaczyła źródło światła. Lampy ogrodowe pewnie włączały się, reagując na ruch, to efekt zapobiegliwości jego matki, utrzymującej dom i ogród w nienagannym stanie, zanim przekazała go synowi (*Fryzjerowi?*).

Słyszała Palandta za sobą, czuła jego wściekłość na karku i biegła w ślad za

światłami w porytej śniegiem ziemi. Prowadziły do szarej szopy na narzędzia, której drzwi były tylko przymknięte.

*Czy powinnam?*

Istniało tylko tak albo nie, dobrze albo źle. Ale nie było czasu na rozważanie za i przeciw. Być może bała się, że kiedy będzie się wspinała na płot, zabraknie jej sił i w połowie wysokości Palandt ściągnie ją na ziemię, i dlatego zdecydowała się na szopę. Albo w ogóle nie podejmowała decyzji, tylko poszła za głosem instynktu przetrwania, który w razie wątpliwości wołał zamykanie drzwi, a nie otwartą przestrzeń.

Oczywiście, jeżeli szopę da się zamknąć.

Emmę przywitała ostra mieszanka zapachów ciężkiego oleju, mokrej tektury i środków dezynfekujących. A potem doszło coś jeszcze. Mieszanka drzewek zapachowych i zjełczałej pasztetowej.

Zatrzasnęła cienkie aluminiowe drzwi szopy i szukała klucza. Albo tkwił w zamku, albo leżał na framudze, ale w półmroku ledwie widziała własną rękę, a przez małe brudne okienko w drzwiach wpadało do środka niewiele światła z zewnątrz.

Nawet gdyby Emma miała pod ręką reflektor o mocy osiemdziesięciu tysięcy watów, nie mogłaby przeszukać pomieszczenia. Z trudem znalazła czas, żeby odetchnąć.

Drzwi, które otwierały się do środka, drżały pod uderzeniami pięści Palandt. Mogła zamknąć je na cienki rygiel, ale uniemożliwiał on tylko otwieranie i zamykanie drzwi przez porywy wiatru. Na pewno nie oparłby się długo fizycznemu atakowi.

– Wyłaź! – wrzeszczał Palandt. – Natychmiast wyjdź!

Za chwilę wyłamie drzwi, napierając na nie całym ciężarem. Własnym ciałem Emma nie mogłaby obronić wejścia.

*Muszę je czymś zastawić.*

Omiotła wzrokiem pomieszczenie, stół warsztatowy, pusty metalowy wielofunkcyjny regał, plastikową skrzynię w kolorze khaki na poduszki na meble ogrodowe i pojemnik przeznaczony na odpady organiczne. Dwustuczierdziestolitrowy kosz na śmieci z logo, w którym I w słowie BIO zastąpione było marchewką. Na jego pokrywie stała skrzynka na narzędzia.

Emma zrzuciła skrzynkę na ziemię i chwyciła za pojemnik, który na szczęście był pełny. Nawet na kółkach z trudem dawał się ciągnąć, chociaż było to tylko kilka centymetrów. *Być może dopisze mi szczęście i kosz będzie miał odpowiednią wysokość, żeby zablokować klamkę...*

– Uff, udało się!

Jej myśl zamieniła się w krzyk, kiedy zrozumiała, że jest za późno. Że nie dość

szybko podstawiała kosz i zostawiła Palandtowi trochę cennego luzu.

Z całą siłą rzucił się na drzwi tak gwałtownie, że wyłamał zamek i wpadł do szopy, jednocześnie odpychając Emmę na bok.

Otrzymała cios łokciem w żołądek, nie mogła oddychać, zrobiło się jej czarno przed oczami i żeby uchronić się przed raczej nieuniknionym upadkiem, złapała za jakiś uchwyt. Kiedy poczuła zimny plastik, dotarło do niej, że kurczowo trzyma się pojemnika na odpadki, który razem z nią przewrócił się na bok.

Upadając, uderzyła głową w skrzynkę na narzędzia, ale nie straciła przytomności. Patrzyła w górę i chciała krzyknąć, gdy zobaczyła dzungłę drzewek zapachowych, które huśtały się pod dachem szopy. Potem naprawdę krzyknęła, kiedy Palandt stanął przed nią, trzymając w ręku coś, co wyglądało jak nóż introligatorski.

Jednocześnie pływała w smrodzie, który odbierał jej rozum, ale nie świadomość, przy czym słowo „pływać” należało rozumieć niemal dosłownie.

– Neeee! – usłyszała krzyk Palandt. Jego umysł i dusza znajdowały się już na ziemi niczyjej, dokąd Emma właśnie się wybierała.

*Boże, pomóż mi! Proszę, dobry Boże, spraw, żeby to się skończyło!*

Leżała w gęstej, śmierdzącej cieczy, która wylewała się z pojemnika na posadzkę. W słodkawej, zjełczałej, przyprawiającej o mdłości biodegradowalnej brei.

Emma chciała natychmiast zwymiotować. Ale się jej nie udało. Nawet wtedy, kiedy zobaczyła podudzie.

Ze stopą, ale bez kolana i z niewielką ilością skóry na łydce i piszczeli, ale za to rojącej się od larw. Oślizgłe robaki zagnieździły się w odciętych członkach, które wysypały się z pojemnika razem z rozkładającymi się fekaliami.

## 36

Z każdym oddechem smak śmierci torował sobie drogę do płuc Emmy i osiadał na najdalszych partiach oskrzeli, jak zaczepiony wąsami wędkarskich haczyków, i nie dało się go odczepić ani najgłośniejszym krzykiem, ani najsilniejszym kaszlem. Emma wiedziała, że nawet gdyby miała przeżyć (na co nie wyglądało), coś na zawsze w niej zostanie. Zasiew okrucieństwa, pożywka dla najbardziej przerażających koszmarów.

– Zostaw ją! – wrzasnął Palandt, zachłystując się własnym krzykiem. Emma nie wiedziała, czy miał na myśli nogę, czy płeć zwłok, ale w tej chwili uświadomionej bliskości śmierci nie miała wątpliwości, że koścista stopa i wiszące na niej do połowy zgniłe podudzie należały do kobiety. I że Palandt, który wymachiwał nożem w jej stronę, jest Fryzjerem.

Była zgubiona. Wciąż siedziała obok skrzynki na narzędzia na mokrej posadzce. Ale sama też się uzbroiła, w pośpiechu wyciągnęła ze skrzynki pierwszy z brzegu przedmiot, który był długi, dobrze leżał w dłoni, a nawet miał ostre zęby, tylko co miała począć z laubzegą?

Uderzyła nią Palandta w nogi, ale on ledwo to poczuł przez grube spodnie.

– Zapłacisz mi za to! – krzyknął i jednocześnie uderzył ją pięścią, w której trzymał nóż, prosto w twarz. Głowa odskoczyła jej do tyłu, wreszcie straciła przytomność, upuściła laubzegę i paradoksalnie ocknęła się od bólu, kiedy po raz drugi uderzyła głową o kant skrzynki na narzędzia.

Emma poczuła smak krwi. Miała uczucie, jakby coś rozcięło jej skórę na głowie. Poczuła pięść Palandta we włosach. Usłyszała trzeszczenie, otworzyła oczy i zobaczyła nóż introligatorski tuż przed swoimi źrenicami. Czubek ostrza oddalony był od soczewki zaledwie o grubość łyzy.

*On mnie oskalpuje*, pomyślała i przypomniała sobie: *Le Zen... Uciekaj. Zanim będzie za późno...* I w tej samej chwili była gotowa wyć, ponieważ koszmarny obraz w lustrze nie powinien być ostatnim wspomnieniem, z którym żegna się z tym światem.

Przecież było tyle piękniejszych, wartych ponownego przeżycia chwil. Na



przykład skóra Philippa o poranku, kiedy poduszka odcisnęła na jego policzkach morskie fale.

Malutkie buciki z jagnięcej skóry, rozmiar cztery, kiedy jeszcze przygotowywali się do narodzin dziecka, stały na jej toalecie, jasnobrązowe, ponieważ nie wiedzieli, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka. Nawet wgniecenie w służbowym samochodzie Philippa, które powstało, gdy po banalnej kłótni o program *Obóz w dżungli* (który on uważał za zabawny, a ona za upokarzający), wysiadając z samochodu, kopnęła w drzwi. Nawet ten śmieszny dowód na to, że czasem nie potrafiła powściągnąć temperamentu, był lepszym ostatnim obrazem niż lustro w *Le Zen*.

*Do diabła. Nie chcę umierać. Nie tak.*

Palandt jeszcze raz się zamachnął, a potem użył noża.

Emma pomyślała jeszcze, jakie to dziwne, że właśnie teraz pierwszy raz od tygodni nie czuła strachu, była całkiem spokojna prawdopodobnie dlatego, że wreszcie miała dowód na to, iż nie cierpiała na taką paranoję, jakiej się obawiała. Być może polegało to na tym, że się poddała. W następnej chwili zdziwiła się, że nie czuje bólu, który towarzyszy śmierci.

*A więc to tak*, pomyślała jeszcze, gdy ostrze rozcięło jej czoło i krew utworzyła przed jej oczami wodospad. Czerwoną zasłonę, za którą zniknął Palandt.

Zamknęła oczy, słyszała własny oddech, ale ten odgłos oddalał się od niej, mieszał się z głębokim gardłowym krzykiem.

Głos Palandta zmienił się, odkąd wykonał drugie cięcie. Zrobił się bardziej basowy, jakby przybrał na wadze.

– Emma! – zawołał z niewielkiej odległości i w tej samej chwili poczuła na sobie ciężar, który był prawie nie do zniesienia.

Jej głowa stoczyła się bezwładnie ze skrzynki na narzędzia, przez chwilę bała się, że została odcięta, potem w obliczu bliskiej śmierci zobaczyła, jak Palandt odpływa od niej.

Jej sąsiad, który ciągle (jak zwykle) na niej leżał i przez to wyciskał z jej piersi powietrze, wreszcie się od niej odsunął.

*A może ja od niego!*

Oczy Emmy ujrzały światło, nie tak dalekie, jakby się wydawało, lecz bliskie i lśniące, w czerwonej otoczce. Świeciło jej prosto w oczy.

Potem światło skierowało się w bok. Prawdopodobnie zaczęła się ta część agonii, kiedy widzi się jeszcze ludzi, którzy byli w życiu najważniejsi, przy czym Emma dziwiła się, dlaczego właśnie ten człowiek ukazał się jej jako pierwszy.

– Salim? – powiedziała do doręczyciela.

Który klęczał obok niej.

I pytał ją, czy go słyszy.

I powiedział, że musi ścisnąć jej dłoń.

I nie był ostatnią wizją.

Lecz pierwszą pomocą.

I świecił jej latarką w oczy, latarką, którą uderzył Palandta od tyłu tak mocno, że go znokautował. Teraz jej sąsiad leżał obok pojemnika na odpady ze zwłokami kobiety i sprawiał wrażenie tak martwego, jak Emma od dawna marzyła.

– Wszystko będzie dobrze – usłyszała głos Salima i wraz z tym kłamstwem straciła przytomność.

## 37

Czuła, jak przez siedzenie spodni przedostaje się śnieg i wsiąka w bieliznę, ale powietrze tu, na zewnątrz, było tak przejrzyste i ożywcze, że trzeba by było użyć dziesięciu koni, żeby podnieść ją z plastikowej ogrodowej ławki, do której doprowadził ją Salim.

Stąd miała wszystko na widoku: szopę, której drzwi doręczyciel zabezpieczył własnym paskiem, małe okno pod lampą nad drzwiami (tania lampa z marketu budowlanego), gdzie, jak się spodziewała, w każdej chwili mogła się pojawić twarz Palandta. Chociaż Salim zapewnił ją, że jej sąsiad tak szybko nie wstanie.

– Tak walnąłem tę świnię, że będzie długo nieprzytomny.

W tej chwili nawet Salim był niewidoczny. Drugi raz obszedł dookoła szopę, a jego buty głośno skrzypiały na śniegu.

– Nie ma drugiego wyjścia – powiedział zadowolony, kiedy znów wyszedł z za rogu. – Ten szalenciec nam nie ucieknie.

*A jeśli wykopał sobie tunel*, pomyślała Emma, choć płyta posadzki była z utwardzonego betonu, a ziemia pod nią na pewno zmrożona. Mimo to nie czuła się bezpiecznie. I nie chodziło tylko o silny ból, którym pulsowały rany.

Żeby zatamować krwawienie, przycisnęła do czoła niebieską szmatkę z mikrofibry, którą Salim prawdopodobnie czyścił szyby swojego samochodu, ponieważ pachniała płynem do szyb, ale zakażenie stanowiło w tej chwili jej najmniejszy problem.

– Co jest? – zapytała Salima. W niedużej odległości usłyszała stukot szyn szybkiej kolei miejskiej, o tej porze na pewno jechało nią mnóstwo osób żądnych rozrywki. Młodzież i dorośli w drodze do centrum, na imprezę w barze albo na prywatkę.

– Nie wiem, co się wydarzyło. Widziałem, jak idzie z nim pani do jego domu, pani Stein, i to mi się wydało jakieś dziwne. Kiedy się pani potknęła, nie wyglądała pani jak ktoś, kto idzie dobrowolnie.

Emma pokręciła głową i zadała sobie pytanie, jak długo to jeszcze potrwa, zanim wreszcie przyjedzie policja. Salim wezwał ją przez swoją komórkę.

– Dlaczego pan w ogóle wrócił? Przecież pańska zmiana już dawno się skończyła.

*Pańska ostatnia zmiana!*

– Co? A tak. – Salim zrobił minę, która wyrażała poczucie winy. – Z powodu Samsona – powiedział skruszony, a Emma pomyślała, że weterynarz dotąd nie zadzwonił, żeby ją powiadomić o wynikach badań.

*A może dzwonił?*

Wiadomość od doktora Planka znajdowała się pewnie w poczcie głosowej komórki, która leżała nadal w domu Palandta, gdzie po raz drugi wypadła jej z ręki podczas bójki.

– Obawiam się, że popełniłem potworny błąd – powiedział Salim i wypuścił z ust ciężką chmurę skondensowanego powietrza.

– To pan otruł Samsona!

Ku jej zdziwieniu nie zaprzeczył, lecz zapytał zatroskany:

– Nie jest z nim najlepiej?

Podrapał się po brodzie i wykrzywił twarz, jakby sam chciał sobie wymierzyć policzek.

– Niech pani posłucha. Jest mi strasznie przykro. Boję się, że przez nieuwagę dałem biedakowi batonik czekoladowy z prawej kieszeni spodni, a nie ciastko dla psa, które zawsze trzymam w lewej.

*Czekolada.*

Oczywiście!

Dla psa nawet najmniejsza ilość kakao może być śmiertelna.

Teraz, kiedy to wiedziała, Emma rozpoznała typowe oznaki zatrucia teobrominą: skurcze. Wymioty. Apatia. Biegunka.

Widocznie Samson wyjątkowo ostro reagował na czekoladę.

– Przyszło mi to do głowy dopiero, kiedy przebierałem się w domu.

Salim wskazał na siebie. Zamiast pocztowego munduru miał na sobie obcisły strój do jazdy motocyklem z obowiązkową kurtką Harleya, skórzanymi spodniami i sznurowanymi butami z czubami wzmocnionymi stalą do kompletu.

– Nie miałem pani numeru, nie ma pani również w książce telefonicznej, więc wolałem przyjechać.

Pokazał wytatuowanymi dłońmi na szopę.

– Ale nie spodziewałem się, że przeżyję tu coś takiego.

Próbował zmusić się do uśmiechu.

– Sądzę, że to jest sytuacja, kiedy mówi się o szczęściu w nieszczęściu, mam rację? – zapytał i ponownie podszedł do szopy, żeby sprawdzić swój pasek.

W tym momencie wieczorne niebo rozbłysło jasnoniebieskimi światłami sygnalizacyjnymi, które powodowały grę świateł na śniegu w ogrodzie za domem

jak reflektory na parkiecie dyskoteki.

Przyjechała policja.

Bez syren alarmowych, tylko z włączonymi kogutami i w sile bojowej połowy armii.

Trzy radiowozy, mikrobus, z którego wygramolili się kolejni czterej funkcjonariusze w czarnych kombinezonach antyterrorystów.

Pobiegli podjazdem w głąb ogrodu, w jej kierunku, prowadzeni przez policjanta w cywilu, bez broni i ubranego o wiele za cienko, w garnitur i skórzane buty. Nie miał nawet płaszcza.

– Co tu się stało? – zapytał, gdy podbiegł do Emmy, a do niej przez chwilę nie docierało, że to on.

– Dziękuję – powiedziała i wybuchnęła płaczem, wstała z ławki i rzuciła się na szyję Philippowi.

## 38

**W** wyobraźni Emmy mężczyźni w czarnych kominiarkach ustawili się jeden za drugim przed drzwiami szopy.

Czterech ludzi, wszyscy z wyciągniętą bronią.

Najniższy, krępy mężczyzna w typie kulturysty (na ile można było wyrokować pod kombinezonem) stał na samym przedzie i już przeciął nożem pasek zamykający drzwi. Jego dłoń spoczywała na klamce po to, żeby otworzyć je pozostałym trzem.

Z boku szopy, poza możliwym przez okienko w drzwiach polem widzenia, stanął Philipp. Co za szczęście, że wcześniej wrócił do Berlina. Martwił się, bo Jorgo powiedział mu, że po prostu się rozłączyła przy ostatniej rozmowie telefonicznej. Na dodatek nie można się było do niej dodzwonić. Kiedy Philipp zadzwonił na jej komórkę, którą Palandt właśnie trzymał w ręku, chciał ją powiadomić, że będzie w domu za dziesięć minut.

Teraz czekał, kiedy dowódca oddziału specjalnego wyda rozkaz interwencji w altanie.

Jak na filmie funkcjonariusze wpadną do szopy z głośnym krzykiem i odbezpieczoną bronią. A ich latarki, przymocowane do luf karabinów, z pewnością oświetlą każdy kąt.

*Wielki Boże.* Emma usłyszała, jak Philipp mówi w duchu, ponieważ zobaczył przewróconą beczkę ze zwłokami. Albo leżącego w kałuży krwi Palandta, któremu Salim prawdopodobnie roztrzaskał czaszkę. Ale były to tylko domysły.

Emma widziała i czuła to wszystko wyłącznie w swoim urojonym świecie. Siedziała oddalona o czterdzieści metrów od szopy, na leżance w ambulansie, który zaparkował przed domem Palandta.

– Chyba trzeba będzie to zszyć – powiedział młody sanitariusz, a może lekarz (Emma nie słuchała, kiedy się jej przedstawiał), bardzo podobny do młodego Günthera Jaucha: wysoki, szczupły, ostrzyżony na jeża i z lekko odstającymi uszami. Oczyszczył jej twarz z krwi, spryskał ranę dezynfekującym płynem i założył na głowę opatrunek w cielistym kolorze. Kiedy skończył, usłyszała dobiegające z

ogrodu odgłosy bezgłośnej walki.

– Co się tam dzieje? – zapytała wystarczająco głośno, żeby mógł usłyszeć ją Salim, który czekał przed wejściem do karetki.

– Zaczęło się – wyjaśnił, chociaż z pewnością był to również tylko domysł.

Policjantka ze służby patrolującej pilnowała, żeby nikt niepowołany nie wszedł na teren działki. Zresztą gapie i tak nie odważyli się wyjść ze swoich domów. Emma mogła to stwierdzić przez otwarte rozsuwane drzwi. Prawdopodobnie dlatego, że załogi radiowozów z migającymi światłami, które blokowały Teufelssee-Allee, wystraszyły sąsiadów. Albo dlatego, że zaczął padać jeszcze większy śnieg i prawie nic już nie było widać.

Przez blisko pięć minut siedziała w karetce sama z Salimem, ponieważ podobny do Jaucha medyk musiał napisać raport w szoferce. Potem znów pojawił się Philipp.

– Nic! – powiedział, wtykając głowę przez drzwi.

– Nic? – Podniosła się z leżanki.

– Tylko części zwłok, to się zgadza. Ale ani śladu sąsiada.

– Co ty mówisz?

To niemożliwe.

Philipp odwrócił się do Salima.

– Powalił pan Palandta na ziemię i związał go?

Doręczyciel pokręcił głową.

– Nie związałem. Ale był nieprzytomny.

– Pan Stein?

Za Philippem pojawiła się jakaś funkcjonariuszka i powiedziała, że dowódca oddziału specjalnego chce z nim pilnie rozmawiać.

– Zostań tu, gdzie jesteś – rzucił, ale oczywiście nie zatrzymało to Emmy na leżance.

Poszła za nim kilka kroków, aż policjantka zagroziła jej drogę i Emma musiała głośno krzyknąć:

– Niech mnie pani z łaski swojej przepuści!

*Muszę to zobaczyć. Pustą szopę.*

Tylko fakt, że Salim również go widział, sprawił, że nie całkiem zwątpiła w swój rozum.

– Chcę pójść do mojego męża. Jestem świadkiem.

Philipp odwrócił się. Właśnie chciał zawołać: „Emma!” – z intonacją, z jaką rodzice karzą swoje niegrzeczne dzieci, ale potem wzruszył ramionami i jakimś niewidocznym znakiem kazał policjantce przepuścić Emmę.

– Może naprawdę będziesz mogła nam pomóc – powiedział, przy czym drugą połowę zdania zagłuszył silny wiatr, który tworzył małe wiry śniegu.

Philipp wszedł do otwartej szopy, w której ktoś znalazł włącznik światła.

Oprócz niego w szopie znajdował się tylko jeden policjant, prawdopodobnie dowódca antyterrorystów. Podciągnął kominiarkę powyżej nosa i czekał na nowo przybyłych z wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Zostańcie tam, maminsynki. Stoję w środku rozkładających się zwłok, ale smród wcale mi nie przeszkadza”.

– Powinien pan to zobaczyć – zachęcił Philippa. – Jest tu jeszcze więcej części ciała.

Philipp odwrócił się do Emmy.

– Lepiej zostań na zewnątrz – poradził.

Jakby i tak nie zostawiła dość śladów w altanie, *ale co tam, zostaną na progu.*

Tu, na dworze, łatwiej było znieść zapach rozkładających się zwłok.

Emma przyglądała się mężowi, jak przeszedł nad odciętym podudziem, przy czym w miarę możliwości unikał wdepnięcia w kałużę zgnilizny obok przewróconego pojemnika na odpadki, gdzie znajdowała się reszta zwłok kobiety.

*Wciśniętych tam jak odpadki mięsa.*

Mimo odrazy Emma musiała obejrzeć ciało kobiety, którą spotkało to, co zostało oszczędzone jej.

*Mogłabym być na twoim miejscu,* pomyślała i było jej żal tej nieznannej istoty, której nazwisko wkrótce znajdzie się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Razem z nazwiskiem Emmy, bo prasa tym razem z pewnością się nią zainteresuje.

– Kurwa mać! – zaklął Philipp w prawym kącie szopy.

Rzucił okiem na pudło do przechowywania pokrowców na meble ogrodowe, którego wieko było tak ustawione, że zasłaniało Emmie widok zawartości. Skoro jej mąż pozieleniał na twarzy, widok, jaki zobaczył, musiał wzbudzać jeszcze większe obrzydzenie niż widok kobiecych zwłok tu, z przodu.

Philipp zapytał dowódcę antyterrorystów ochryłym głosem:

– Są tu jeszcze inne skrzynie?

– Miejsca składowania innych zwłok?

Policjant pokręcił głową.

– I nie wiadomo, gdzie ten szaleniec mógł się ukryć. Wszystko przeszukaliśmy.

Emmie trzęsły się nogi. Déjàvu było nieuniknione.

Pomieszczenie z tajemnicą.

– Nikogo tu nie ma.

*To niemożliwe.*

– Pracował w cyrku – usłyszała swój głos. Monotonny, prawie szepczący.

– Słucham?

Obaj mężczyźni odwrócili się do niej.

– Jego specjalnością był numer z kufrem.



Philipp patrzył na nią, jakby nagle zaczęła mówić w obcym języku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

*Że potrafi tak się skurczyć, że mieści się do ręcznego bagażu.*

– Czy są ubrane? – zapytała trwożnie, chociaż już знаła odpowiedź. Oczywiście. Nie było innego wyjaśnienia.

– Co masz na myśli?

– Zwłoki, do cholery. W skrzyni na pościel. – Prawie krzyknęła. – Czy są ubrane?

Ponieważ tylko to miało sens.

*Nie znaleźli nowych części ciała.*

Lecz Długonogiego Ojczulka.

*Palandt się skurczył i w każdej chwili może wyskoczyć ze skrzyni...*

– Do diabła, nie – odparł Philipp całkiem spokojnie i przekłuł słowami jak igłą pęcherz jej najgorszych obaw. – Są odcięte kończyny. Tors. Głowa, cała noga. Nagie. Jest na nich mnóstwo larw!

A potem powiedział coś, co wszystko zmieniło.

– Ale tu leżą ubrania, obok skrzyni.

Dowódca oddziału specjalnego schylił się i lufą podniósł kurtkę.

Czarny płaszcz przeciwdeszczowy z żółtymi guzikami.

*Więc Palandt się rozbrał! Po co?*

W tym momencie Emma nie rozwiązała jeszcze zagadki.

Ani wtedy, kiedy jej wzrok padł dziesiąty już raz na pojemnik na odpadki z logo BSR i na marchewkę, która zastępowała I w słowie BIO.

Dopiero gdy uklękła przy przewróconym pojemniku i jednocześnie smród osłabł, tryby rozumowania zaskoczyły. Zrobiła jedyną logiczną rzecz i skoncentrowała się tylko na oddechu.

Nie na swoim.

Tylko trupa.

Któremu uniosła się najpierw klatka piersiowa. A potem całe nagie ciało.

Tak szybko, jak tylko mógł, mężczyzna, którego dawniej nazywano Długonogim Ojczulkiem, mimo choroby wystrzelił ze swojej kryjówki w pojemniku jak piorun kulisty.

– On żyje! – zdążyła jeszcze krzyknąć Emma, a potem rozpętało się piekło.

## 39

### Trzy tygodnie później

Siedemnaście pchnięć.

Konrad opuścił na kolana protokół z obdukcji Wydziału Zabójstw. Żeby lepiej zrozumieć jej zeznania, przyniósł akta ze swojego biurka, ale najpierw podał Emmie szklankę wody.

– Trzy w oko. Większość w szyję i krtań, tylko dwa w czoło i jedno pchnięcie, ostatnie, w lewe ucho.

Emma wzruszyła ramionami.

– Obrona konieczna.

– Hm.

Konrad przeglądał akta jak restauracyjne menu, w którym nie może znaleźć niczego, co by mu smakowało.

– Obrona konieczna?

– Tak.

– Emma, on już po pierwszym ciosie był niezdolny do walki. Przecięłaś mu tętnicę szyjną.

– A mimo to...

– A mimo to ogarnął cię szal zabijania. Nożem tapicerskim...

Podniósł wzrok znad dokumentów i na chwilę zmarszczył brwi.

– Co ci strzeliło do głowy?

Do tej pory Emma patrzyła niewzruszenie w okno i przyglądała się ciemnym, nisko wiszącym chmurom, z których w tej chwili nie padał już śnieg i których szarość wydawała się odzwierciedlać jej nastrój. Ale teraz patrzyła Konradowi prosto w oczy. Rozmawiali już dobre trzy godziny, ale w przeciwieństwie do niej nie okazywał najmniejszych oznak zmęczenia. I widocznie miał pęcherz z betonu. Ona sama najchętniej poszłaby do łazienki, żeby się załatwić, ale nie miała na to siły.

W ostatnich tygodniach otrzymała gorzką lekcję, która uświadomiła jej, jak

muszą cierpieć osoby chore na depresję, których choroba często bywała zdiagnozowana jako intensywny smutek. W rzeczywistości człowiek tkwił tak głęboko w jednej z psychicznych dziur, że nawet nie był w stanie naciągnąć na głowę przysłowiowego koca. To powód dużej liczby samobójstw, gdy chorzy na depresję pierwszy raz biorą leki łagodzące objawy słabości. Nie przywracają one energii życiowej, ale dają siłę, żeby wreszcie to skończyć.

– Nóż introligatorski leżał na posadzce – odpowiedziała na pytanie Konrada. – Krótko przedtem próbował mnie nim zabić, pamiętasz?

– Tak. Ale wybacz, jeśli powiem, że z prawnego punktu widzenia ten atak już dawno się zakończył. To było kwadrans wcześniej. Nawet twoje rany zostały już opatrzone.

– A kiedy cały we krwi wyskoczył z pojemnika na zwłoki? Jak to ocenić „z prawnego punktu widzenia”? – Emma zaznaczyła palcami w powietrzu cudzysłów.

– Jako ucieczkę. – Konrad uniósł palce obu dłoni do ust i stukał nimi w wargi.

– Ucieczkę?

– Był nagi i nieuzbrojony. Z jego strony nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo. Przynajmniej tak widzi to prokurator, na dodatek obok ciebie stał uzbrojony policjant.

– Który nie strzelił!

– Bo nie mógł. Ty i Palandt utworzyliście na podłodze kłębek. Było za duże ryzyko, że trafi ciebie. Poza tym w tym momencie to ty stwarzałaś niebezpieczeństwo, a nie on...

– Co? – Emma parsknęła. – Przecież to absurd. Ten chory człowiek ćwiartuje kobietę i upycha ją w pojemniku na odpadki, rozbiera się, przenosi części zwłok do skrzyni na pościel, a potem sam udaje nagie zwłoki. W końcu ten łotr, który wcześniej mnie kopał, bił, prześladował i omal nie oskalpował, wyskakuje ze swojej kryjówki, a teraz ja siedzę na ławie oskarżonych?

Odpowiedź Konrada była lakoniczna i dlatego podwójnie bolesna.

– Siedemnaście ciosów – powiedział tylko. – Byłaś jak w amoku. Twój własny mąż i dowódca oddziału specjalnego z trudem odciągnęli cię od Palandta. Poraniłaś ich obu, tak wściekle wymachiwałaś nożem.

– Bo wyszłam z siebie ze strachu.

– Przekroczenie granic obrony koniecznej. Nie takie rzadkie, ale, niestety, nie może być usprawiedliwieniem. W najlepszym razie to okoliczność usprawiedliwiająca, co... – teraz Konrad zaznaczył cudzysłów – ..., „z prawnego punktu widzenia” jest, niestety, słabszym argumentem obrony niż realna trudna sytuacja.

Emma poczuła ucisk za oczami, za chwilę wybuchnie płaczem.

– Naprawdę jestem w sytuacji bez wyjścia?

Konrad nie wyświadczył jej przysługi i nie pokręcił przecząco głową.

– Ale skąd miałam wiedzieć, o co w tym wszystkim naprawdę chodziło?

Oczy bolały ją coraz bardziej. Wylała niewidoczne łzy z policzka. Jeszcze nie zaczęła płakać.

*Jeszcze.*

– Pomyliłaś się. To ludzka rzecz. Wielu z nas wyciągnęłoby fałszywe wnioski i uważałoby Palandta za przestępcę.

Konrad zamknął akta i pochylił się do przodu.

– A przy tym on nie chciał zrobić ci nic złego. Przynajmniej nie na początku. A to, niestety, sprawia, że tak trudno cię bronić.

Nie mogła się oprzeć jego przenikliwemu spojrzeniu. Ani patrzeć na płomienie w gazowym kominku, które znów wystrzelały wyżej i których ciepło paliło ją w twarz. Może był to wstyd spowodowany poznaniem prawdy.

– Co było dalej? – zapytał spokojnie Konrad. Najlepszy słuchacz na świecie znów przybrał twarz pokerzysty.

– Masz na myśli to, jak się dowiedziałam, że pomyliłam się co do Palandta? – Emma westchnęła, sięgnęła po szklanekę z wodą i zwilżyła usta. – Gdyby tego wieczoru tylko to było moim największym błędem. – Jeszcze raz spojrzała na jezioro i zamknęła oczy.

Opowiedzenie o swoich najczarniejszych godzinach przyszło jej łatwiej, kiedy wyłączyła światło i wszystko, co znajdowało się w jego blasku.

# 40

## Trzy tygodnie wcześniej

Emma wiedziała, że jest w domu, we własnym łóżku. Wiedziała też, że po walce w szopie Palandta, wycieńczona fizycznie i psychicznie świadomością, że zabiła człowieka, zapadła w rozgorączkowany sen.

Wiedziała więc, że śni, ale to nie polepszało sytuacji.

Siedziała w kucki w hotelowej łazience, patrzyła w górę na wiadomość napisaną na lustrze.

UCIEKAJ.

Zanim będzie za późno!

Rozległo się pukanie do drzwi, ale nie stała przed nimi Rosjanka, lecz ona sama. Wyglądała jak osoba cierpiąca na chorobę popromienną, z łysymi, pokrytymi strupami miejscami na głowie, z odrastającą garścią kosmyków włosów, które zostały na jej głowie jak zapomniane zielsko, gotowe do wyrwania.

Ale najgorsze nie było to, co było (zakrzepnięta krew na czole i policzku, źle zapięta bluzka, gile w nosie), lecz to, czego brakowało: wyrazu jej twarzy. Życia w oczach.

Zgasły w ciemności hotelowego pokoju. Zostało już tylko bzyczenie maszynki do golenia w uszach i ucisk w ramieniu. Tam, gdzie znajdowało się miejsce wkłucia, które teraz pulsowało jak ząb w chwilę po borowaniu.

Zatrzasnęła drzwi z numerem 1904. Pobiegła boso do wind. Ale kiedy dźwig się otworzył, nie mogła do niego wejść. Prawie całą kabinę zajmował pojemnik na odpadki biodegradowalne. Monstrum z brązową pokrywą i naklejką, na której napisano EMMA, z pęczkiem marchwi, które tworzyły drugie M.

Emma usłyszała, nie, poczuła!, dochodzący z głębi pojemnika hałas, tak jakby pojemnik znajdował się na głębokości kilkuset metrów. Studnia strachu, z której

dną torowało sobie drogę na zewnątrz coś, co – raz wypuszczone – nie da się już nigdy złapać.

– Ty przekłeta bestio! – ryknął Anton Palandt. – Musiałem to zrobić. Nie miałem wyboru. Przecież nie mam pieniędzy. Dlaczego nikt tego nie rozumie? Dlaczego nie możecie po prostu zostawić mnie w spokoju?

Emma podeszła bliżej. Zajrzała do pojemnika, który w rzeczywistości był szybem, gdzie siedział Palandt. Z nieruchomymi oczami, z których wypełzały robaki. Tylko jego usta się poruszały.

– Przecież nie mam pieniędzy! – krzyknął z głębi, a kiedy nagie, zakrwawione, śmierdzące rozkładem i zgnilizną zwłoki skoczyły Emmie do twarzy, obudziła się.

Serce jej waliło, jakby chciało pęknąć w piersi. Wszystko w niej pulsowało: prawa powieka, tętnica szyjna, rany pod odrastającymi włosami.

Dotknęła opatrunku, zadowolona, że tam był. Zakrywał dużą część jej głowy, a więc również włosy, których dotknięcie wywołało teraz nudności.

Chociaż dostała lekarstwo także na to.

Ibuprofen na ból, vomex na nudności, pantoprazol, żeby nie rozwalić żołądka od nadmiaru leków.

Cięcie można skleić. Jediną rzeczą, którą trzeba teraz pilnie zszyć, było jej życie. Rozleciało się na kilka części, odkąd zabiła Fryzjera.

*Fryzjer. Fryzjer. Fryzjer.*

Nieważne, jak często powtarzała to przezwisko, zawsze oznaczało ono człowieka. Człowieka. Człowieka.

*Zamordowałam człowieka.*

Popatrzyła na siebie i nie zdziwiłaby się, gdyby jej dłoń była przykuta kajdankami do stelażu łóżka.

Philipp załatwił, że po pierwszym raczej krótkim zeznaniu w salonie mogła pójść do swojego łóżka. Rano przesłuchanie nie skończy się tak szybko.

I prawdopodobnie będzie mniej przyjazne, jeśli zostanie już przygotowany raport lekarza sądowego.

Nie miała pojęcia, jak często uderzała nożem, wiedziała jednak, że za często. I że nie tylko się broniła, ale chciała doprowadzić sprawę do końca.

W tamtym momencie, w szopie, zabiłaby nie tylko Palandta, lecz każdego, kto chciałby jej w tym przeszkodzić, musiała raz na zawsze usunąć niebezpieczeństwo.

*Zemsta.*

Nie było nic bardziej przykrego niż czyjaś krzywda. I nic, co pozostawiłoby po sobie poczucie winy, kiedy człowiek tego doświadczył.

Emma szukała po omacku włącznika lampy i uderzyła ręką w filiżankę, którą Philipp troskliwie postawił przy łóżku. Zawartość była już zimna. Było krótko po wpół do jedenastej. Spała ponad godzinę.

– *Przecież nie mam pieniędzy* – wyszeptała, kręcąc głową, i podłożyła poduszkę pod plecy, żeby móc usiąść prosto na łóżku.

Dlaczego wyjęła z koszmaru to zdanie?

Emma nie wierzyła w analizę snów jako środek psychoterapeutyczny. Nie każda wizja, której człowiek doświadczał w nocy, sprawdza się w ciągu dnia. Okazało się, że to samo zdanie, rozpatrywane nawet przy świetle, miało niewiele sensu.

Dlaczego Palandt je wypowiedział?

Chociaż analiza profilu psychologicznego dokonana przez Philippa w kilku punktach nie zgadzała się z rzeczywistością, na przykład w kwestii dobrobytu, mimo to istniały uniwersalne, niepodważalne cechy, które definiowały przestępcę seksualnego. Ich napędem była bardziej siła niż żądza, silnik był sterowany impulsami, a pieniądze w przypadku seryjnego gwałciciela rzadko odgrywały jakąkolwiek rolę. To, co ją napędzało, było bardziej siłą niż żądzą, jej silnik był sterowany impulsami, a pieniądze w przypadku seryjnego gwałciciela, rzadko, albo wręcz nigdy, grały jakąkolwiek rolę.

A mimo to Palandt wypowiedział to zdanie w stanie najwyższego wzburzenia. W chwili, kiedy nie kierował się już rozsądkiem, lecz instynktem, jak zwierzę w pułapce, które rozpaczliwie walczy o życie.

*I w takiej chwili zajmował się swoimi finansowymi problemami?*

Ona sama, tak przerażona, ani przez sekundę nie pomyślałaby o swojej karcie kredytowej i o tym, że musi poprosić Philippa, żeby zasilił jej konto.

A poza tym było coś jeszcze, coś bardzo dziwnego: Palandt był niewątpliwie śmiertelnie chory i dręczony przez obcych, a tymczasem wykazał się zaskakującą siłą; wszystko to nie pasowało do siebie. Czyżby Fryzjer był w tak złej kondycji fizycznej, że nie dałby rady trzymać z dala od siebie szantażystów, ale gwałcić i zabijać kobiety mógł?

Emma odrzuciła kołdrę.

Ktoś ubrał ją w jedwabne spodnie od pidżamy, prawdopodobnie Philipp, zanim położył ją spać. Miała na stopach sportowe skarpety, co było praktyczne, ponieważ nie musiała szukać kapci, kiedy schodziła teraz na dół, żeby porozmawiać z Philippem o obawie, która zaprzętała jej głowę – a mianowicie o tym, że niebezpieczeństwo, które stwarzał Fryzjer, nadal nie było zażegnane.

Jeszcze raz sprawdziła, czy opatrunek znajduje się na swoim miejscu. Chuchnęła w dłoń, żeby przekonać się, czy jej oddech pachnie tak brzydko, jak wstrętny jest smak w jej ustach i zobaczyła czerwone światło.

Małą diodę tuż nad wyświetlaczem domowego telefonu obok bazy.

Wskazywała, że trzeba naładować aparat.

*Przecież nie mam pieniędzy. Nie pójdę do więzienia, nigdy,* przypomniała sobie krzyki Palandta. Pomyślała o zwłokach w pojemniku na odpadki, widząc w tym również jakąś niezgodność.

Inne ofiary Fryzjer pozostawiał na miejscu zbrodni.

Ta myśl podsunęła jej pomysł.

Sięgnęła po telefon leżący na nocnym stoliku, dezaktywowała funkcję wyświetlania numeru i miała nadzieję, że w ostatnim czasie Philipp nie zapisał nic innego w pamięci.



# 41

Lechtenbrinck, słucham?

Głos Hansa-Ulricha trudno było pomylić. Nosowy, schrypnięty i o wiele za wysoki jak na sześćdziesięcioletniego profesora.

Emma rozpoznała kierownika Oddziału Medycyny Sądowej Charité po tym jednym słowie.

Za to ona próbowała tak zmienić swój głos, żeby profesor Lechtenbrinck nie zorientował się, z kim rozmawia, chociaż właściwie to nieprawdopodobne, żeby ją sobie przypomniał. Rzadko ze sobą rozmawiali.

– Mówi komisarz Tanja Schmidt. – Emma przedstawiła się nazwiskiem funkcjonariuszki, która wcześniej przesłuchiwała ją w salonie. Wymieniła wydział, zajmujący się sprawą Stein/Palandt. – Dziś wieczorem na pana stół trafił Anton Palandt, ofiara aktu przemocy w Westendzie.

– Skąd pani zna ten numer? – zapytał zirytowany Lechtenbrinck.

– Jest w komputerze – skłamała Emma. W rzeczywistości był zapisany pod pozycją 19 w pamięci numerów szybkiego wybierania jej telefonu. Philipp i Lechtenbrinck współpracowali ze sobą przy sprawie, w której seryjny morderca miesiącami umieszczał w różnych publicznych miejscach Berlina części ciała swojej ofiary w plastikowych torbach. W ostatnim tygodniu, na krótko przed ujęciem sprawcy, telefonowali do siebie prawie codziennie i ściśle zawodowy związek przerodził się w luźną prywatną znajomość, dlatego prywatny numer Lechtenbrincka wciąż znajdował się w pamięci telefonu.

– To już jest bezczelność – zaklął lekarz sądowy. – Ten numer służy wyłącznie do nagłych przypadków i jest zarezerwowany dla wybranych osób. Żądam, żeby pani natychmiast go wykasowała.

– Zrobię to – obiecała Emma. – Ale teraz, kiedy już pana mam...

– Dzwoni pani w środku sekcji.

*Świetnie!*

– Proszę posłuchać, naprawdę nie chcę panu przeszkadzać. Chodzi mi tylko o to, że będziemy zaraz przesłuchiwać drugi raz sprawczynię, Emmę Stein, i byłoby

niezmiernie pomocne, gdybyśmy znali przyczynę śmierci ofiary znalezionej w pojemniku na odpadki.

– Och...

Już po oddechu zorientowała się, że go złamała. Lekarze sądowi nie cierpią tego, że w książkach i filmach przeważnie nazywa się ich dziwakami, którzy wkraczają do akcji, kiedy na wszystko inne jest już za późno. Wiedzą, że ich praca często nie jest doceniana. A przecież nie tylko kroili zwłoki, spełniali też kluczową funkcję właśnie przy przesłuchiwanie świadków i podejrzanych. Kiedyś Lechtenbrinck wskazał sprawcę tylko dzięki temu, że z sali sekcyjnej dołączył do śledczych w trakcie przesłuchania. Zawsze, kiedy morderca próbował stwarzać pozory, że śmierć ofiary nastąpiła wskutek tragicznego wypadku, Lechtenbrinck mógł na podstawie badania przedłożyć dowód przeciwny, jakby równoległe do przesłuchania.

Także dzisiaj renomowany ekspert pewnie nie chciał przepuścić okazji, żeby w decydujący sposób wpłynąć na śledztwo.

– No, przyczyna śmierci jest stosunkowo mało spektakularna. Co prawda raport nie zakończył się sukcesem, ale stawiam na niewydolność wielonarządową wskutek uwarunkowanej wiekiem ischemii.

– Chce pan... czy pan sobie ze mnie kpi? – omal nie krzyknęła Emma i przy następnym pytaniu ze zdenerwowania zapomniała zmienić głos. – Naturalna przyczyna zgonu? Tej kobiecie ucięto kilka członków.

– Post mortem. To wygląda na klasyczne wyłudzenie emerytury.

Emma zastanawiała się, czy Lechtenbrinck nie dostał udaru. A może ona, jego słowa nie miały sensu, tak jakby chciał ją nabrać.

– Klasyczne oszustwo, w którym oszust wchodzi bez podudzia do pojemnika na odpadki?

– To nie ona była oszustką. Był nim oczywiście Anton Palandt.

– Nie rozumiem.

Lechtenbrinck znów ciężko odetchnął, ale rola doświadczonego uczonego, który mógł czegoś nauczyć naiwną policjantkę, najwyraźniej sprawiała mu coraz większą frajdę.

– Proszę uważać, pani Schmidt. Nie widziałem miejsca zbrodni, ale stawiam dziesięć do jednego, że nasz sprawca żyje w ciężkich warunkach. Któregoś dnia przyjechał do domu matki i znalazł ją martwą w łóżku...

– Swoją matkę? – Emma przerwała Lechtenbrinckowi, który teraz dodał z wyraźną irytacją:

– Nie wspominałem o tym? Zwłoki w pojemniku z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością należą do matki Palandta, czekamy na ostateczną analizę uzębienia, ale w każdym razie kobieta miała ponad osiemdziesiąt lat. – Potem

dalej wyjaśniał swoją teorię, której Emma słuchała tak, jakby znajdowała się w kesonie; stłamszona, niemal głucha.

– W każdym razie po okresie żałoby syn powiedział sobie: „Do diabła, przecież mam dostęp do konta mamy. Kto mówi, że powinienem zadzwonić na policję tylko dlatego, że umarła?” Postanowił więc, że dla władz jego matka będzie wciąż żyła, żeby on mógł pobierać jej emeryturę.

*Przecież nie mam pieniędzy!*

– Sąsiadom opowiadał o dłuższym pobycie za granicą, kuracji czy czymś w tym rodzaju, ale szczerze mówiąc, w Berlinie nikogo nie dziwi, kiedy nagle przestaje się widywać starego człowieka. Dopiero po jakimś czasie stwierdza się smród, dlatego sprawca stara się o pojemnik na odpadki. Po prostu upycha resztki ciała w koszu na śmieci, co jest prawdziwym draństwem, ponieważ żeby zwłoki się w nim zmieściły, z reguły konieczna jest amputacja. Potem zostawia pojemnik w piwnicy albo w szopie, wypełnia go żwirkiem dla kota albo spryskuje odświeżaczem powietrza. Również klasyczne.

*Więc mój koszmarny sen naprowadził mnie na właściwy trop,* pomyślała Emma.

Palandt nie był Fryzjerem i nie zabiła seryjnego mordercy, lecz co najwyżej porywczego oszusta, który nie zrobił nic strasznego, tylko dla pieniędzy zakłócił wieczny spoczynek swojej matki.

*I dlatego jeszcze długo będzie wisiało nad nią niebezpieczeństwo.*

Nie wiedziała, jak jej się udało nie wykrzyczeć tej myśli do słuchawki. Pewnie podziękowała i szybko się pożegnała, ale nie pamiętała ani jednego słowa, jakie wówczas padło. Wyczerpana opadła na poduszkę.

*Zabiłam człowieka!*

Nie Fryzjera!

Palandt nie miał z nim nic wspólnego.

Jego peruka, lekarstwa, paczka... W swojej paranoi tak nagięła fakty, że kosztowało to życie niewinnego człowieka.

Emma zamknęła oczy i pomyślała o krwi, która płynęła z ciała Palandta, kiedy raz za razem dźgała je nożem.

To znów przypomniało jej kałużę, którą musiała dzisiaj wytrzeć w salonie.

*Samson!*

Od chwili przebudzenia nie pomyślała o nim ani razu. W trwożnej nadziei, że przynajmniej on czuje się lepiej, wybrała numer, za pomocą którego mogła sprawdzić swoją pocztę głosową. Jej komórkę policja skonfiskowała jako dowód rzeczowy.

– Masz trzy nowe wiadomości – zakomunikował komputerowy głos podobny do głosu robota. Pierwsza rzeczywiście pochodziła od doktora Planka, który

zapewnił Emmę, że Samson najgorsze ma już za sobą. *Dzięki Bogu.* Ale na ostateczne wyniki trzeba poczekać do poniedziałku, zanim będzie można zabrać go do domu i co z zapłatą?

Następny odezwał się Philipp, zatroskanym głosem zakomunikował, że będzie w domu za kilka minut.

I na koniec głos, który wydawał się tak zdenerwowany, że Emma w pierwszej chwili go nie poznała, między innymi dlatego, że Jorgo prawie szeptał.

– Emma? Przepraszam za to wcześniejsze. Mam na myśli, że cię okłamałem. Oczywiście, że dałem ci kartkę.

*Kartka!*

Kolejna rzecz, o której Emma ze zdenerwowania zapomniała. Aparat zapikał, bateria była słaba. Należało z powrotem położyć go na bazie, ale wtedy nie mogłaby telefonować, toteż zdecydowała, że zejdzie na dół, gdzie leżała druga, miejmy nadzieję naładowana, słuchawka.

Wstała z łóżka.

– Twój mąż ma na swojej komórce program szpiegujący – powiedział Jorgo. – Automatycznie nagrywa przychodzące rozmowy.

*Program szpiegujący. Co to, do diabła, znaczy?*

Zanim doszła do drzwi sypialni, znów zapikało trzy razy.

W każdym razie bateria wystarczyła na jeszcze jedno zdanie:

– Nie chciałem, żeby twój mąż dowiedział się o tej kartce, kiedy odsłucha naszą rozmowę. Dlatego zadzwoń, proszę, na moją komórkę. Bardzo proszę. To ważne. Ustaliliśmy coś. Philipp nie chce ci tego powiedzieć, ale myślę, że powinnaś wiedzieć. W hotelu, w tym Le Zen...

Pip.

Połączenie się urwało, a wyświetlacz był tak ciemny jak korytarz na parterze.

Emma szukała po omacku włącznika światła, ostatnie słowa Jorgo powoli dźwięczały jej w głowie.

*Ustaliliśmy coś.*

Poszła najpierw do kuchni, ale drugi telefon nie leżał na ładowarce.

*Philipp nie chce ci tego powiedzieć...*

W drodze do salonu głos Jorgo umilkł, za to wydawało się jej, że słyszy w głowie bzyczenie maszynki do golenia, tym razem nie było to długie ostre brzęczenie, lecz zacinający się interwałowy dźwięk.

*W tym hotelu, w tym Le Zen...*

Jak wiertarka.

Insekt.

Podeszła do biurka, na którym dzisiaj otworzyła paczkę Palandta. Również tu nie mogła znaleźć telefonu, za to odkryła brzęczące źródło hałasu, leżącą na

blacie komórkę Philippa.

Z każdym dzwonkiem obracała się w takt alarmu wibracyjnego. Imię dzwoniącego migało złowieszczo.

Odwróciła się, ale mgliste przeczucie, że jej mąż stanie nagle za nią, nie potwierdziło się.

Z wahaniem sięgnęła po telefon i nacisnęła zielony symbol słuchawki, żeby przyjąć rozmowę.

– Czego dowiedzieliście się w hotelu, Jorgo? – zapytała.

– Pomóż mi! – krzyknął głos na drugim końcu.

## 42

Od razu poznała ten głos, chociaż jeszcze nigdy nie brzmiał tak dziwnie.

Stłumiony, zduszony, z gardłowymi odgłosami w tle.

– Sylvia? – zapytała, a w odpowiedzi przyjaciółka zaczęła gwałtownie szlochać. – Co się stało? Jesteś ranna? Jak mogę ci pomóc?

*I dlaczego dzwonisz z komórki Jorgo?*

– Jaaa... jaaa umieram – wybełkotała Sylvia. W jej głosie pobrzmiwała panika i śmiertelny strach, zniknęła jednak siła pierwszego krzyku.

– To niemożliwe, słyszysz? Nie umrzesz. Sprowadzę pomoc i wszystko będzie dobrze.

– Nie. Już nigdy... nigdy... dobrze!

Emma dosłownie słyszała, jak Sylvia odpływa. Im mocniej przyciskała słuchawkę do ucha, tym połączenie stawało się cichsze.

Wewnętrzny okiem widziała, jak jej przyjaciółka z nożem introligatorskim wbitym w szyję siedzi w kałuży krwi, która wypływa strumieniem z rany przy każdym kasznięciu. Sylvia nic już nie mówiła, tylko kaszłała i charczała tak samo głośno, jak Emma zaklinała ją, żeby powiedziała, co jej, na miłość boską, się stało.

– Gdzie jesteś?!

Teraz Emma również krzyknęła, ponieważ pytanie było ważne dla obojga: Sylvii i Philippa, którego pomocy mogła teraz pilnie potrzebować.

Przebiegła przez salon ze słuchawką przy uchu. Zobaczyła leżące na komodzie klucze Philippa. Jego kurtka wisiała w garderobie, na pewno nie wyszedł z domu. Nie było go na górze, poza tym zostawił w salonie komórkę, bez której nigdy nie wychodził, *robi to tylko wtedy, kiedy...*

– Sylvia, jesteś tam jeszcze? – powiedziała do telefonu, z którego dochodziło tylko chłupotanie lodowatej ciszy.

*...kiedy idzie do swojego laboratorium...*

Emma spojrzała na stare drzwi do piwnicy. Przez dużą szparę między podłogą a drzwiami prowadzącymi do przedpokoju wpadało światło ze schodów do

piwnicy.

*...gdzie jego komórka nie ma zasięgu!*

– Sylvio, zostań na linii. Posłuchaj, nie mogę cię zabrać do piwnicy. Bo połączenie się urwie, ale za moment wrócę, słyszysz? Nie rozłączaj się!

Żadnej reakcji.

Emma namyślała się przez chwilę, czy nie byłoby mądrzej rozłączyć się i wybrać 112, ale jeśli przyjaciółka była poza domem? Wtedy prawdopodobnie połączenie było jedyną możliwością zlokalizowania jej miejsca pobytu.

Położyła telefon na komodzie, gwałtownie otworzyła drzwi do piwnicy i schodząc po betonowych schodach, krzyczała:

– Philipp! Szybko! Musisz mi pomóc! Philipp?!

Piwnica była tak niska, że sprzedający zgodził się obniżyć cenę, kiedy zobaczył, że nawet Emma musiała pochylić głowę, gdy oglądała to pomieszczenie.

Po wprowadzeniu się wyłożyli sufit nad schodami drewnem, dlatego teraz było tam jeszcze ciasniej. Emma zbiegła pochyłona do laboratorium. Schody, po ciasnym zakręcie w prawo, prowadziły już prosto.

W pomieszczeniu, pierwotnie pomyślanym jako schowek gospodarczy na miotły, odkurzacz i mopa, Philipp zastąpił starą lnianą zasłonę harmonijkowymi drzwiami. Powstał za nimi mały pokój do pracy. Stało tam małe biurko z podłączonym do Internetu laptopem, dwa metalowe regały, beznadziejnie przeładowane fachową literaturą i mnóstwem dających się ustawiać jedno na drugim pudełek z twardego plastiku, w których znajdowały się lupy, pincety oraz inne przybory. Za pomocą tych przedmiotów Philipp badał fotografie, analizował podpisy albo inne dowody rzeczowe, niezbędne do sporządzania profili przestępców.

Tu, na dole, w swoim „piekle” odcięty od reszty świata, mógł się najlepiej skoncentrować. Podczas pracy słuchał przeważnie przez słuchawki muzyki, która po kilku sekundach powodowała u Emmy przejściową utratę słuchu, ale jego uspokajała: Rammstein, Oomph!, Eisbrecher.

Dlatego nie zdziwiła się, że nie reagował na jej wołanie. I śmiertelnie się przestraszył, gdy Emma gwałtownie rozsunęła drzwi i zerwała mu słuchawki z głowy.

– Co, do diabła...

– Philipp... ja...

Emma gapiła się na jego dłonie, na których miał mysioszare lateksowe rękawiczki.

W małym pomieszczeniu ze słuchawek dudniły głucho basowe uderzenia perkusji i towarzyszyły jej urywanemu oddechowi.

Emma łapała powietrze, co nie było spowodowane krótkim sprintem na dół, nie wynikało również z troski o Sylwię. Powodem był fakt, że nie udało się jej znaleźć niewinnego wytłumaczenia na to, co leżało przed Philippem.

Nóż tapicerski.

Rękawiczki.

PACZKA!

Zastanawiała się już, gdzie podziały się jej kapcie, które można włożyć do kuchenki mikrofalowej. Pudełko wielkości kartonu na buty z zamówieniem ze sklepu internetowego. Jedzenie Philipp schował do lodówki, a soczewki kontaktowe leżały w łazience.

Ale lekka paczka zawinięta w tradycyjny papier do pakowania? Leżała tu, na dole. Na małym biurku bezpośrednio pod lampą do czytania obok laptopa Philippa.

Papier był rozcięty.

Klapki wieczka otwarte.

Część zawartości rozłożona pod stojakiem na szkło powiększające, część wciąż pozostawała w watowanym pudełku.

Nie było tam pantofli, które można włożyć do mikrofalówki.

Najwidoczniej Emma się pomyliła, nie przyjrzała się uważniej danym adresowym.

Ponieważ gruby pęk włosów, ciemnych, długich i wyglądających jak prawdziwe, które przysłano w tej paczce, z pewnością nie był przeznaczony dla niej.

Lecz dla Philippa.



## 43

Co to jest? – zapytała Emma.

Jej umysł szukał logicznego, ale przede wszystkim niewinnego wyjaśnienia.

– Masz je od Fryzjera?

*Na pewno. Sprawca się z nim skontaktował. On tylko wykonuje tu swoją pracę i bada trofea.*

– Co masz na myśli? – zapytał Philipp, wstając z krzesła.

– No, włosy – powiedziała Emma i wokół jej serca zamknęła się żelazna obręcz, kiedy zobaczyła, jak Philipp otworzył szufladę biurka i schował w niej ciemny pęk.

– Jakie włosy? – zapytał. – Nie wiem, o czym mówisz, kochanie.

Jednocześnie odwrócił otwarty laptop tak, żeby mogła widzieć ekran.

– Co... jak... gdzie...? – Słyszała, jak się jąka. Jej jednosylabowe pytania zmieniały się w takt zdjęć, które pojawiały się na monitorze niczym pokaz slajdów.

Fotografie kobiet.

Pięknych kobiet.

Dziewcząt do towarzystwa. Sfotografowanych po kryjomu przed różnymi drzwiami. Drzwiami do pokoi hotelowych, które otwierał im mężczyzna, zawsze ten sam mężczyzna, choć prostytutki się zmieniały.

– Ty? – zapytała Emma, wciąż starając się negować rzecz całkowicie oczywistą. – Spotykałeś się z tymi kobietami?

*Z kobietami do towarzystwa? Z ofiarami?*

– A potem ty je zabijałeś?

– Emma, czy ty się dobrze czujesz? – zapytał Philipp z miną, która podziałała na nią tak, jakby tylko udawał zaskoczenie, kiedy nacisnął klawisz spacji na klawiaturze. Wywołał tym następne zdjęcie, które znów pokazywało ofiarę.

Emma krzyknęła, bo rozpoznała na nim siebie.

Z walizką na kółkach w ręku, tuż przed ciemnymi drzwiami, które właśnie się otworzyły. Zdjęcie, jak wszystkie pozostałe, było niedoświetlone, ale numer

pokoju na orzechowym fornirze widać było dobrze: 1904.

– To byłeś ty! – krzyknęła Philippowi w twarz. – To ty jesteś Fryzjerem!

*Jak mogłam się tak pomylić?*

*Dać się tak oszukać?*

Wyprowadzona z równowagi przez paczkę dla nieznanego sąsiada, nie zwróciła uwagi na drugą.

A przez to na wroga we własnym domu.

Zabłądziła w labiryncie swoich paranoicznych myśli i doprowadziła do śmierci niewinnego człowieka.

– Ty świnió!

Jej mąż uśmiechnął się i przemówił głęboko zatroskanym głosem, który nie pasował do tego diabolicznego uśmiechu.

– Emma, proszę, uspokój się. Pomieszało ci się w głowie. – Jednocześnie znów nacisnął klawisz w notebooku i ekran zrobił się czarny.

– Co zamierzasz?! – zawołała Emma. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Zakłopotanie i przerażenie sparaliżowały ją na chwilę. – Chcesz doprowadzić mnie do obłądu?

– Co ty mówisz? Kochanie, obawiam się, że znów widzisz rzeczy, których nie ma.

*Tak. To jest to. Nie wiem dlaczego, ale on ciągle podsyca moją chorobę.*

Rozejrzała się dookoła, instynktownie szukała przedmiotu, którym mogłaby się bronić, gdyby Philipp chciał ją zaatakować. Wtedy zauważyła małą kamerę na suficie piwnicy, która była tak ustawiona, że Emma cały czas znajdowała się w jej kadrze, ale męża nie było widać na nagraniu.

– Filmujesz mnie? – zapytała wstrząśnięta.

– Ależ skarbie, przecież sama mnie prosiłaś, żeby zabezpieczyć piwnicę – odparł obłudnie. – Ze strachu przed włamywaczami.

– Nigdy nie mówiłam o kamerach! – wrzasnęła. I chociaż długo jeszcze nie było dla niej jasne, o co chodziło Philippowi, miała już inny budzący grozę pomysł.

*Sylvia.*

*Nie dzwoniła z komórki Jorgo!*

Lecz z własnego telefonu.

Przynajmniej w tym punkcie było dla niej jasne, w co przez cały czas grał z nią Philipp.

*Zrobił tak, jak wtedy ze swoją eks!*

Po prostu zapisał numer Sylvii pod innym imieniem.

A jaki mężczyzna robi coś takiego?

*Taki, który ma coś do ukrycia.*

Romans.

Żeby nie rzucało się w oczy, kiedy ukochana dzwoni kilka razy dziennie, wysyła esemesy, żeby nie zostawały ślady po nieodebranych połączeniach.

Emmę ścisnęło w żołądku.

*Oczywiście, jakie to sprytne.*

Jorgo był partnerem Philippa, logiczne więc, że często do niego dzwonił, przynajmniej łatwo byłoby się wytłumaczyć, gdyby naiwna kura domowa zaczynała wypytywać.

*Jakie sprytne i perfidne.*

U niego Sylvia nazywała się Jorgo, a Sylvia nazywała go Peter.

*I ona ma takie piękne długie włosy. Jak ja.*

I jak wszystkie pozostałe ofiary Fryzjera.

– Ale dlaczego musiałeś je zabić? – wychrypiała Emma. Przeświadczenie o tym ścisnęło jej gardło. – prostytutki, twoje kochanki. Nawet Sylvię? Dlaczego musiały umrzeć?

Wspomnienie kobiety, którą uważała kiedyś za swoją najlepszą przyjaciółkę, podziałało jak hasło, które zgasiło diaboliczny uśmiech na twarzy Philippa. Pierwszy raz okazał swoje szczere zatroskanie.

– Co jest z Sylvią? – zapytał, jakby naprawdę nie wiedział, że w swojej walce na śmierć i życie próbowała do niego zadzwonić.

Wydawało się jej, że widzi w jego oczach krótki moment słabości. Albo sytuację, kiedy nazwał swoją ostatnią kochankę pieszczotliwym imieniem, co wyzwoliło w Emmie niepohamowaną wściekłość.

Ale prawdopodobnie była to tylko odwaga desperata, która wyrwała ją z paraliżu.

## 44

Emma, dość! – zawołał Philipp, ale ona nie zamierzała się poddać.

Odrzuciła jego rękę, którą chciał ją dotknąć, szybko się obróciła i pobiegła, jak najszybciej mogła, schodami na górę. Ale jednak nie dość szybko.

Philipp nie miał problemu, żeby złapać ją za stopę i przytrzymać. Był od niej wyższy, silniejszy i szybszy. I nie miał rany na głowie, która pulsowała pod opatrunkiem jak żywy robak i przy każdym ruchu promieniowała falą bólu.

Emma potknęła się i twardo uderzyła zaciśniętymi dłońmi o betonowy kant schodka.

Przekręciła się na plecy i kopnęła Philippa, tak jak kilka godzin wcześniej Palandta. Ale teraz miała na stopach tylko skarpety, a bez ciężkiego buta nie mogła zadać Philippowi większego bólu, nie mówiąc już o tym, żeby mu się wyrwać.

– Emma! – krzyknął jej mąż i przytrzymał za obie kostki. Kanty schodów wbijały się jej w plecy, mimo to dalej wierzgała nogami jak opętana.

– Przestań! – Philipp poderwał się do przodu i uderzył.

Mocno. Mocniej niż przed południem, kiedy wymierzył jej policzek, żeby się opamiętała.

Głowa odskoczyła do tyłu, uderzyła o beton schodów i Emma zobaczyła kolorowe światła. Kiedy znów otworzyła oczy, było tak, jakby przyglądała się Philippowi przez rozbity kalejdoskop.

Zobaczyła, że krwawi mu warga, prawdopodobnie więc trafiła go stopą.

*Niedobrze.*

Jak w przypadku śmiertelnie ранego zwierzęcia mała rana tylko rozwścieczyła Philippa i raczej dodała mu sił, niż je odebrała.

Ona natomiast nie mogła już się przed nim bronić. Już sam ucisk jego palców na nadgarstku był prawie nie do wytrzymania.

Chciała, żeby przestał.

Żeby to się wreszcie skończyło.

Ból. Przemoc.

Kłamstwa.

Jej nagły bezruch dodał Philippowi skrzydeł.

Wdrapał się nieco wyżej, położył na niej całym ciężarem ciała, jak zakochany do szaleństwa mąż na spragnionej czułości żonie, którą chce osiąść na schodach do piwnicy, ale on wcale nie chciał się z nią kochać.

– Pomocy! – zawołała Emma, ale nie wiedziała, do kogo. W myślach krzyczała głośniejsz niż w źle oświetlonej rzeczywistości schodów do piwnicy.

Zamknęła oczy i nagle zniknęła drewniana boazeria na ścianach, ozdobne plastikowe doniczki pod poręczą, skrzynka z bezpiecznikami przy wejściu, którą widziała tylko wtedy, kiedy odchyliła głowę do tyłu, i drzwi do laboratorium Philippa u dołu.

I oczywiście zniknął Philipp. Niestety, tylko jego widok. Bo jego słowa nie chciały odejść.

– Wszystko będzie dobrze – usłyszała jego głos. Okrutnie przyjazny. Pachniał jego oddechem, poczuła, jak wsunął dłoń (prawdopodobnie prawą) pod jej głowę, czuła, jak (prawdopodobnie wierzchem lewej) głaskał ją po czole – a byłoby lepiej, gdyby tego nie robił.

Dotyk lateksu na twarzy, zapach kauczuku i talku, kłuł ją jak nóż w serce, przy każdym kolejnym dotknięciu przekręcał się, i przekręcał, i przekręcał.

Uniosła powieki, zobaczyła uśmiechającego się Philippa, tak jak prawdopodobnie uśmiechał się w ciemnym pokoju hotelowym. Nachylił się ku niej i Emma zastanawiała się, czy nie uderzyć go głową w twarz. Ale nie wystarczyłoby jej sił, żeby wyrzucić mu krzywdę, co by go tylko bardziej rozwścieczyło.

Zaczęła płakać, słyszała, jak syczy uspokajająco, co sprawiło, że pomyślała o wężu. W następnej chwili walnęła go kolanem między nogi.

Philipp jęknął, rozluźnił chwyt, a wtedy uderzyła go kantem dłoni w dolną szczękę.

Krzyknął, przekręcił się na bok, przycisnął dłoń do ust i wypłuk trochę krwi. Uderzyła go tak mocno, że chyba poluzował mu się ząb. Albo ugryzł się w język tak, że zaczął krwawić.

Puścił ją, nie czuła już ucisku ani na ciele, ani na nadgarstku czy kostce.

Wstała i chciała pobiec na górę, ale zbyt wolno. Philipp znów ją złapał, tym razem za stopę i chciał ją ściągnąć na dół. Do siebie.

*W otchłań.*

Emma szukała po omacku poręczy, żeby się przytrzymać, ręka się jej ześlizgnęła i uderzyła w coś twardego, co odruchowo objęła dłonią.

Ale twardego kant nie był mocno przytwierdzony do ściany, choć w dotyku przypominał uchwyt, mimo że uchwyt na schodach do piwnicy nie miał większego

sensu, chyba że...

...był częścią gaśnicy.

Przewracając się, Emma zobaczyła swoją szansę. Gdy jej ciało szukało środka ciężkości, podniosła gaśnicę, odwróciła się, zachwiała i próbowała upaść do przodu, na Philippa. Ale grawitacja chciała inaczej, dlatego znów uderzyła o schody plecami.

Kiedy padała, nie mogła rzucić gaśnicą w Philippa, który był już nad nią.

Zobaczyła tylko, jak uniósł dłoń, a potem wszystko zrobiło się białe. Piwnica, ściany, schody, Philipp, ona sama. W jednej chwili wszystko pokrył tuman podobny do burzy piaskowej.

Emma usłyszała syczenie i jeszcze mocniej zacisnęła prawą dłoń, która kontrolowała biały kurz i odgłos syczenia, i na ułamek sekundy we mgle otworzyła się dziura.

W dziurze stał Philipp.

Pokryty zawartością gaśnicy, którą trysnęła w jego stronę. Z pianą, którą próbował wytrzeć z oczu, wyglądał jak duch z ociekającymi krwią ustami.

– Eeeeeemmaaaaa! – usłyszała jego krzyk. Potknął się, ale zaraz złapał się poręczy. Teraz znów się poruszył. Powoli i ostrożnie. Krok po kroku zbliżał się do niej.

A Emma bardzo powoli czołgała się na brzuchu po schodach w górę.

Dotarła już prawie do ostatniego stopnia, kiedy Philipp złapał ją za nogę. I ciągnął z powrotem.

Emma szukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, przewróciła kosz na bieliznę, zawartość wypadła na nią.

Pomyślała o wodnistej mazi rozkładających się zwłok w szopie Palandta, poczuła zapach rozkładu, który przylgnał do brudnego ubrania. Dżinsy, bluzki, bielizna. Wszystko, co Philipp z niej ściągnął i musiał włożyć do kosza. Nic, co mogło jej teraz pomóc, *bo jak mam się bronić szlafrokiem?*

Szlafrok!

Ta myśl przeleciała jej przez głowę wraz z bólem, kiedy została ściągnięta stopień niżej i uderzyła szczęką o drewniany schodek.

Philipp złościł się, wciąż coś wrzeszczał, co brzmiało jak jej imię, ale również jak ból, udręczenie i śmierć.

Ale Emma nie puszczała. Leżąc na brzuchu, kurczowo trzymała szlafrok.

Przeszukiwała prawą kieszeń.

*Cholera.*

Lewą.

I wreszcie to miała.

W chwili, gdy Philipp chwycił ją za biodra, żeby odwrócić do siebie, jej palce

zaczisnęły się wokół plastikowego trzonka.

Uchyliła się przed siłą męża, wykorzystała rozmach i gwałtownie poderwała dłoń.

Tę z zakrwawionym ostrzem.

Z paczki Palandta.

I z energią przejechała skalpelem w poprzek gardła Philippa.

# 45

## Trzy tygodnie później

**D**ziwne, że nie płakała.

W czasie godzin spędzanych samotnie na oddziale psychiatrii wystarczała sama myśl o Philippie, żeby jej oczy zachodziły łzami, a teraz, gdy ujęła w słowa swoje okropne czyny i pierwszy raz powiedziała dosłownie wszystko, wydawało się, że jej rezerwuar łez się wyczerpał. Co prawda czuła tępy ból głowy, który powodował ucisk za oczami, ale policzki były suche.

– To już koniec – powiedziała i oboje wiedzieli, że nie dotyczyło to jej opowieści.

Dwaj mężczyźni zginęli z jej ręki tego samego dnia.

Tylko z powodu paczki dla sąsiada.

Gdyby jej nie przyjęła, nie zgubiłaby komórki w domu Palandta. A gdyby nie otworzyła paczki, nie miałaby skalpela.

– Nie zauważyłaś tego?

Konrad stał przed regałem z dziełami Schopenhauera i patrzył w jej stronę. Trzymał w dłoni cienki kartonowy segregator, Emma nie potrafiłaby powiedzieć, jak się tam znalazł. Nawet nie zauważyła, jak wstał i przeszedł przez pokój. Odkąd wypowiedziała ostatnie słowo, minęły z pewnością dwie minuty, w czasie których tępo patrzyła w dół na płamę z herbaty na okrągłym dywanie i porównywała jej kształt z mapą Nowej Zelandii. Czuła mrowienie w dłoni, język w ustach wydawał się zdrętwiały, typowe syndromy odstawienia. Musi szybko wziąć proszki, ale nie miała odwagi znowu poprosić Konrada o szklankę wody, w dodatku nacisk na pęcherz był już prawie nie do wytrzymania.

– Czego nie zauważyłam? – zapytała po krótkiej chwili. Była zmęczona i szybkość jej reakcji była porównywalna z szybkością reakcji nietrzeźwej kobiety.

– Że zgwałcił cię twój własny mąż. Naprawdę sądzisz, że tego nie zauważyłaś?

Oprócz faktu, że Konrad zwrócił się do niej po imieniu, w jego słowach nie było już za grosz zażyłości. Zaledwie połową zdania znów udało mu się zmienić



jej miejsce pobytu. Nie siedziała już na sofie, lecz na ławie oskarżonych.

*Która mi się należy.*

– Brałam lek paralizujący i wypaczający zmysły. – Emma próbowała odpowiedzieć na pytanie, które tyle razy zadawała sama sobie. Konrad nie wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

– Twój własny mąż zmaterializował się z niczego w twoim pokoju hotelowym, jak David Copperfield, tylko po to, żeby zrobić coś, co bez wysiłku dostałby od ciebie dzień później w zaciszu własnych czterech ścian? I to dobrowolnie!

– Dobrze wiesz, że gwałcicielowi nie chodzi o seks, lecz o władzę.

– A mimo to tysiące razy dotykałaś go i czułaś, a tym razem nie miałaś nawet cienia podejrzenia?

– Wiem, co sobie myślisz. Już wcześniej powiedziałeś mi to otwarcie. Kto raz skłamie, temu przestaje się wierzyć, mam rację?

Konrad posłał jej smutne spojrzenie, ale nie odpowiedział.

– Ale się mylisz. Tak, skłamałam, kiedy bez sensu twierdziłam, że to ja jestem tą kobietą z eksperymentów Rosenhana, którą słuchacze oglądali na wideo. Ale tutaj sprawa wygląda całkiem inaczej.

– Jak to?

– W końcu w laboratorium Philippa znaleziono włosy wszystkich ofiar. Wszystkich!

– Tylko nie twoje!

Konrad otworzył skoroszyt i wyjął z niego cztery duże czarno-białe fotografie.

– Co mówią ci te twarze? – Rozłożył zdjęcia na szklanym blacie stołu.

Emma odwróciła wzrok. Nie musiała widzieć ich dużych oczu, wydatnych kości policzkowych ani tym bardziej gęstych grubych włosów. Na zdjęciach śmiały się, układały usta jak do pocałunku albo zuchwale i rozpustnie patrzyły w obiektyw. W życiu nie miały już na to szansy.

– Ofiary – odparła.

– No właśnie, to są panie do towarzystwa, które zamordował Fryzjer. – Konrad mierzył ją wiele znaczącym wzrokiem. – Te kobiety mają z tobą bardzo dużo wspólnego. Okrutnie je potraktowano. Mają piękne włosy, są nawet trochę do ciebie podobne. Rzeczywiście laicy mówią o jednoznacznym schemacie ofiary, kiedy mężczyzna preferuje taki typ kobiet. Ale nawet gdybyś w istotnych sprawach powiedziała mi prawdę, to przecież jest także ogromna różnica pomiędzy tobą a tymi biednymi stworzeniami i nie mam tu na myśli faktu, że one już nie żyją.

*...nawet gdybyś w istotnych sprawach powiedziała mi prawdę...*

Emma czuła się jeszcze bardziej wyczerpana niż wtedy, kiedy wzięła diazepam.

– O czym mówisz?

– Tym kobietom ogolono głowy i zostały zamordowane, ale... – Konrad stukał palcem po kolei w każde zdjęcie i po każdym słowie stawiał wykrzyknik: – Ale! Te! Kobiety! Nie! Zostały! Zgwałcone!

Cisza. Nie całkowita, gabinet wypełniał jednostajny szum wyciągu gazowego kominka, ale mimo to cisza, jaka zapadła po wybuchu Konrada, była przytłaczająca.

Emma chciała coś powiedzieć. Czuła, że głęboko w niej są schowane słowa, z których musiała teraz ułożyć sensowne logiczne zdanie, ale zdobyła się tylko na:

– Kłamiesz.

– Ja kłamię? – zapytał Konrad. – Obdukcje przeprowadzone przez patologów nie wykazały śladów penetracji, które świadczyłyby o gwałcie. U żadnej z ofiar.

– Ale w wiadomościach...

Konrad wszedł jej w słowo.

– Zapomnij o wiadomościach. Pierwsza gazeta, która przedrukowała fałszywą informację dużymi na dwadzieścia centymetrów literami na dwustronicowej rozkładówce, skłamała, żeby zwiększyć nakład. A wszystkie pozostałe pośpiesznie redagowały napisy na paskach informacyjnych, tweety, posty i wiadomości internetowe, których nikt już nie sprawdzał i którym ludzie wierzyli tym bardziej, im głośniej trąbiły nieprawdę, i to one rozpowszechniały dalej kłamstwo. Później ich śladem poszły poważne magazyny, tygodniki i audycje telewizyjne. Również one kłamały, tylko że teraz na prośbę prowadzących śledztwo funkcjonariuszy.

– Ale... ale po co?

– Dlaczego trzymano informacje w tajemnicy przed opinią publiczną? Przecież nie muszę ci wyjaśniać, jakie problemy ma policja z osobami, które przypisują sobie spektakularne przestępstwa popełnione przez innych.

*Z patologicznymi kłamcami.*

– Dlatego nie rozgłasza się w mediach szczegółowej wiedzy o sprawcach. W ten sposób można sprawdzić prawdziwość przyznania się do winy.

Konrad zrobił przerwę, żeby jego słowa nabrały większej wagi.

– Zwykle tą metodą selekcjonujemy osoby, które przyznają się do przestępstw, jakich nie popełniły. Rzadziej ich ofiary.

Wstał i chodził po biurze jak po sali sądowej, z rękami z tyłu.

– Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak wiele kobiet, które same obcięły sobie włosy, zadzwoniło na gorącą linię, gdzie można było przekazać istotne dla sprawy informacje? Kobiet, które mówiły, że zostały zgwałcone, ale udało im się uciec?

– Ja nie jestem taka – powiedziała Emma i popełniła błąd, przejechała ręką po włosach, jak to robiła zawsze, kiedy była zdenerwowana.

– Rozmawiałem z prokuratorem. Wiesz, co myśli? Że chciałaś zatrzymać przy sobie Philippa ze względu na swoje problemy finansowe. Philipp chciał cię zostawić, dlatego skłamałaś, że jesteś w ciąży. Ale tego kłamstwa nie da się ciągnąć w nieskończoność, dlatego wymyśliłaś gwałt, żeby wytłumaczyć poronienie. Jednocześnie chciałaś wywołać współczucie z powodu urazu psychicznego. Ale gdy zorientowałaś się, że to nie pomaga, zabiłaś go, co uczyniło cię jego jedyną spadkobierczynią.

– Konrad, ty... jak... jak możesz w ogóle brać to pod uwagę, żeby... mnie. Dobrze wiem, co się dzieje. Przecież nie jestem szalona.

– Nie?

*Nie?*

*Naprawdę o to zapytał?*

Konrad zrobił kilka kroków w jej stronę i znów stał teraz tak blisko, że mogłaby tylko unieść rękę, żeby pogłaskać jego wypielęgnowaną brodę.

– Zostaw mnie – powiedziała, kiedy poczuła, że i on chce ją dotknąć. – Odejdź! – zaprotestowała, ale nie energicznie, raczej pro forma. I nie odtrąciła jego dłoni, gdy ją położył na jej dłoni.

– Zostałaś zgwałcona psychicznie – wyszeptał łagodnie. – Ale nie fizycznie!

– Ależ tak, zostałam... – Zamknęła oczy. – Zostałam zgwałcona, a teraz proszę, skończ już z tym odgrywaniem adwokata diabła, bo...

– EMMO!

Konrad wrzasnął tak głośno, że aż się wzdrygnęła.

– Otwórz oczy i posłuchaj mnie. Tu nie chodzi o przygotowanie taktyki na rozprawę. Nie mówię jako adwokat, lecz jako przyjaciel. – Nabrał głęboko powietrza. – Twój mąż cię zgwałcił. Ale tylko psychicznie. Nie zgwałcił także innych kobiet.

Emma jęknęła.

*Nie, nie, to niemożliwe.*

– Philipp to nie był Fryzjer?

– Nie.

Oczy Konrada nie wyrażały niczego oprócz smutnej pewności. Emma odwróciła się. Nie mogła znieść wzroku, który najwidoczniej miał ją przekonać, że zabijając Palandta i swojego męża, zamordowała dwóch niewinnych ludzi.

## 46

**W** takim razie kto nim był?

Emma czuła swędzenie na całym ciele. Najchętniej drapałaby się w ręce, nogi i brzuch. Jeszcze chętniej zdarłaby z siebie całą skórę, w której nie chciała dłużej tkwić.

– Kto zamordował te kobiety, skoro nie Philipp? – powtórzyła pytanie.

– Zastanów się. – Konrad wstał i zebrał ze stołu fotografie zamordowanych kobiet. Trzymał je w dłoniach jak wachlarz. – Te ofiary, przyjrzyj się, a zobaczysz związek między nimi.

Niechętnie skierowała wzrok na zdjęcia.

*Tak, są do mnie podobne. Mają włosy, jakie ja kiedyś miałam.*

– Pasują do schematu ofiar Philippa.

– No właśnie, Emmo – zgodził się z nią Konrad. – Ale od ciebie różni je to, że są prostytutkami. Zwykłymi kurwami. Twój mąż cię zdradzał. Z każdą z nich.

Potrząsnął wachlarzem zdjęć.

– I to ta niewierność jest motywem. To ona wskazuje nam drogę do mordercy.

Emmie powietrze utkwilo w gardle. Uwolniła je wymuszonym kaszlem.

– O czym teraz mówisz?

– Zastanów się, Emmo. Z kim Philipp był tak blisko, żeby ta osoba mogła wiedzieć o jego miłosnych przygodach? Kto byłby jednocześnie tak zraniony i tak inteligentny, żeby uknuć plan, który miał na celu odebranie kobietom Philippa tego, co rozbudzało jego żądze?

*Ich włosów.*

– Zwariowałaś – zaprotestowała Emma. – Chyba kompletnie straciłaś rozum. Naprawdę sądzisz, że te wszystkie kobiety...

– ...twoje rywalki!

*...zostały przeze mnie zamordowane?* Nie była w stanie powiedzieć tego na głos.

– Wczuj się w jego położenie. Philipp wie, że Fryzjer wziął się na kobiety, z którymi utrzymywał kontakty seksualne, sprawca szydził z niego, dlatego wysłał

mu do domu paczkę ze swoimi trofeami, jakby chciał mu powiedzieć: „Popatrz, co zrobiłem z kobietami, z którymi sypiasz”. Gdyby twój mąż przyznał się i zaniósł dowody rzeczowe na policję, wyszłoby na jaw, że cię zdradza. Musiał więc wziąć sprawy w swoje ręce. Badał dowody w laboratorium, prowadził własne dochodzenie, nie wiedząc, że Fryzjer znajduje się w jego najbliższym otoczeniu. Chociaż wiedział, że nie było gwałtu, popełnił błąd i szukał tego człowieka. A każde dziecko wie, czyją bronią jest trucizna, którą zamordowano prostytutki.

*To broń słabej płci. Kobiet.*

Emma założyła ręce za głowę. Blizna po ranie, którą zawdzięczała Palandtowi, pulsowała i swędziała, ale oparła się potrzebie podrapania.

– W takim razie dlaczego pokazał mi w piwnicy fotografie? I zrobił tak, jakby w ogóle nie było włosów? Chciał, żebym oszalała?

Konrad przytaknął.

– Muszę przyznać, że to mnie najbardziej dręczyło, kiedy przygotowywałem się do naszej rozmowy. I nie będzie łatwo przekonać sądu, że Philipp wykorzystał twój wyjątkowy stan psychiczny do własnych celów.

– Jakich?

– Sądzę, że chciał ustanowić nad tobą kuratelę.

– Ubezwłasnowolnić mnie? – zapytała Emma.

– Tak to się mówi potocznie.

– Ale to przecież nie ma sensu – zaprotestowała. – To Philipp miał pieniądze, nie ja.

– Właśnie dlatego – odparł Konrad. – Twój mąż miał majątek, a ponieważ nie zawarliście intercyzy, w przypadku rozwodu straciłby połowę. Wymyślił, że jako twój prawny opiekun będzie miał pełny dostęp do twojej części, kiedy zdobędzie sądowy nakaz umieszczenia cię w szpitalu dla psychicznie chorych.

*Motyw. Wyciągnięta na światło dzienne niewierność.*

*A mimo to...*

– No dobrze, powiedziałaś, że to nie Philipp zamordował te kobiety. Nigdy ich nie zgwałcił, tylko z nimi sypiał. Że to ktoś inny, Fryzjer, golił im głowy i wysłał swoje trofea Philippowi, żeby mu pokazać, że wie o jego niewierności wobec mnie. I twierdzisz, że Philipp wykorzystał ten psychiczny szantaż, żeby mnie złamać.

Konrad skinął głową.

– Mniej więcej.

– I myślisz, że Fryzjer...

Słowa Emmy zawisły w powietrzu i Konrad je podchwycił.

– Myślę, że tylko skrajnie zazdrosna osoba jest zdolna do takiego czynu. Ktoś,

kto chciał mieć Philippa tylko dla siebie i nie mógł znieść myśli, że miałby się nim dzielić z kimś innym. Ktoś, kogo Philipp chciał mieć tylko dla siebie i nie mógł znieść myśli, że mógłby się nią z kimś dzielić.

– Nic nie wiedziałam o krętownicach Philippa. Nie znałam tych prostytutek. Nie zabiłam ich.

– Ty? – zapytał Konrad ze zdumieniem. Łagodnym, głosem, w którym słycać było poczucie winy, dodał: – Przepraszam cię. Cały czas sądziłaś, że mówię o tobie?

## 47

Wszystko wokół Emmy zaczęło wirować.

*Konrad nie uważa, że to ja jestem sprawczynią? Wcale nie mówił o mnie? Ale... ale w takim razie o kim?*

Zastanawiała się nad pytaniami, które dopiero co zadał jej stary przyjaciel.

*Kto był blisko z Philippem? Kto był wystarczająco inteligentny, żeby wymyślić plan kobiecej zemsty? I kto, jeśli nie jego żona, najczęściej cierpiał z powodu seksu z dziewczynami do towarzystwa?*

– Jego kochanka! – wyrzuciła z siebie i w chwili, kiedy sobie to uświadomiła, klasnęła w dłonie przed twarzą.

– Zgadza się – potwierdził Konrad, odzyskując pewność siebie.

– Nie dziwka, ale kobieta, która była dla niego ważna. I bliska, ponieważ często ją widywał.

Włoski na przedramionach Emmy najeżyły się.

– Sylvia? – wyszeptała.

Konrad skinął głową.

Emma zaśmiała się histerycznie, puknęła się w czoło, a potem znów klasnęła w dłonie.

– Neeeeee! – krzyknęła. – Przecież to absurd. Niemożliwe. Ona umarła, kiedy...

– ...kiedy ty byłaś u Philippa w piwnicy. Zgadza się. Ona go kochała. Tak bardzo, że nie wybaczyła mu eskapad i skoków w bok. Przecież sama wiesz, że nie było żadnego Petera. Mężczyzna, z którym chciała mieć dziecko, nazywał się Philipp.

Zaczęło jej dzwonić w uchu, zanosilo się na to, że to dzwonienie zagłuszy wszystkie dźwięki w pokoju, a przede wszystkim głos Konrada.

– Kochała Philippa i nienawidziła kobiet, z którymi się zadawał. Nic niewartych dziwek, które zasłużyły na śmierć.

– Ale mnie nie zabiła.

Przecież to nie miało sensu.

– Nie musiała cię zabić, kochanie. Z tobą mógł się rozwieść. Bardzo

prawdopodobne, że obiecał to Sylvii. Chciał mieć z nią dzieci. Od tamtej nocy już nigdy nie dotknęłaś Philippa, przykro mi, ale obawiam się, że w jej oczach nie byłaś już konkurencją. W przeciwieństwie do prostytutek. Sylvia chciała uniemożliwić Philippowi wszelkie kontakty seksualne z innymi kobietami. Również dlatego wysłała mu swoje trofea. Żeby mu pokazać: *Wiem, z kim się zadajesz. Każda, z którą sypiasz, umrze.*

Emma czuła się, jakby padała, nie osuwając się na podłogę.

Dlatego Philipp tak dziwnie zareagował, kiedy w piwnicy wymieniła imię Sylvii. Zapytała go, dlaczego musiał zabić również ją, podczas gdy on nie miał pojęcia o jej walce ze śmiercią.

Konrad znów podszedł do kanapy i przysiadł się do Emmy.

Delikatnie dotknął jej policzka.

– Moralista powiedziała by, że twój mąż ma te wszystkie kobiety na sumieniu, ale on ich nie zamordował. Tak samo jak nic nie zrobił Sylvii. Kiedy próbowała złapać Philippa przez komórkę, a ty odebrałaś telefon, połknęła już całą garść proszków nasennych.

– Czy ten telefon to było wołanie o pomoc? – zapytała Emma.

Cofnęła dłoń, której Konrad chciał dotknąć, i popatrzyła na kominek. Migotały w nim fioletowe i niebieskie płomienie, przypominały o krwiakach od ran, które nigdy się nie zagoją.

– Ale po co przyszła do mnie tego dnia? Dlaczego nakrzyczała na mnie, że wcisnęłam jej pigułki wczesnoporonne?

Konrad westchnął.

– Była obłąkana. Nie możesz mierzyć zwykłą miarą zachowania seryjnego mordercy. Ale twoje pytanie zawiera odpowiedź, której szukasz.

– Nie rozumiem.

– Właściwie sama się nasuwa: to nie ty, lecz Philipp zamienił hormony ułatwiające zajście w ciążę na pigułki dzień po.

*Łup!*

Kolejna prawda uderzyła ją z impetem gilotyny.

– Ponieważ nie chciał, żeby zaszła w ciążę – wyszeptała przerażona.

– Dokładnie to po wizycie u ciebie w którymś momencie uświadomiła sobie Sylvia. I tym samym dowiedziała się, że wbrew obietnicom on nigdy cię nie zostawi, za czym przemawia również fakt, że dla ciebie przerwał seminarium.

Świat przed oczami Emmy rozpląnął się za ścianą łez.

– To wszystko może być prawdą. – Wybuchnęła szlochem. – Ale ta historia zawiera bardzo duży błąd. Być może mam paranoję i w przypadku Philippa zareagowałam zbyt emocjonalnie. Ale przyczyną było to, co zrobił mi Fryzjer w pokoju hotelowym. I to nie była Sylvia.



– Jak to?

Teraz to ona wykrzykiwała każde słowo.

– Ponieważ! Zostałam! Zgwałcona! – Cała się trzęsła. – Czułam to. Kobieta czuje coś takiego.

Konrad znów sprawiał wrażenie, jakby wrósł w podłogę biura. Zupełnie spokojnie, nie robiąc min, zapytał:

– Jesteś tego całkowicie pewna?

– Tak. Na sto procent. – Odwróciła się do okna i roześmiała się sztucznie. – Może mam wybujałą wyobraźnię. Tak, czasem opowiadam różne historie. Ale tego jestem pewna! To był mężczyzna. We mnie. Dlatego straciłam dziecko. Jeszcze dziś czuję go, jak...

Zaparło jej dech. Zaczęło jej migać przed oczami i wzrok przesłoniła zasłona, jakby za długo patrzyła w słońce, a nie przez okno za biurkiem Konrada na zimowy krajobraz Zehlendorf.

– Co widzisz? – zapytał Konrad. Jego głos był mniej zatroskany niż zainteresowany.

– Światło – powiedziała Emma i wskazała na Wannsee.

*Czy nie powinno być o wiele bardziej ciemno?*

– Jak długo już tu jestem, u ciebie w... w...

Znów nie udało się jej skończyć zdania, tym razem przez mężczyznę na nadbrzeżnej promenadzie. I dużego doga na smyczy. Który otwierał pysk, jakby chciał łapać językiem płatki śniegu.

– ...jestem w twojej kancelarii? – wymamrotała Emma, ogarnięta nierzeczywistym, całkowicie irracjonalnym uczuciem, że wpadła w pętlę czasu.

Przyglądała się nie tylko podobnej, lecz dokładnie takiej samej scenerii jak na początku sesji. Wstała, z trudem, ale tym razem znalazła siłę, żeby utrzymać się na nogach.

– Co tu się dzieje? – zapytała i podeszła do okna.

Za jej plecami Konrad zaczął z kimś rozmawiać, chociaż nikogo więcej nie było w pokoju.

– Jeśli to będzie teraz możliwe – powiedział surowo. – Powtarzam, jeśli to będzie teraz możliwe.

W korytarzu na zewnątrz usłyszała kroki. Jednocześnie znów poczuła zapach świeżej farby, kiedy podeszła bliżej do szyby. I w tym momencie, gdy za jej plecami otworzyły się drzwi i właśnie zamierzała dotknąć końcami palców szkła, jezioro przed jej oczami zniknęło. A razem z nim spacerowicz, śnieg, dog, nadbrzeżna promenada, po prostu wszystko. Nawet okno.

Została tylko czarna dziura w ścianie.

– Pani doktor Stein? – usłyszała męski głos, który nie należał do Konrada i

który zignorowała.

– Przecież wiem, kim jestem – powiedziała i zaczęła płakać. Usłyszała elektrostatyczne trzaski telewizora UHD, do którego przycisnęła czoło.

– Niech pani się nie boi, pani Stein – powiedział mężczyzna, ale gdy się do niego odwróciła i zobaczyła stojącego obok Konrada psychiatrę, który ją leczył, i dwie pielęgniarki, poczuła strach. Tkwił w każdej komórce jej ciała, jakby miał zagnieździć się w niej na stałe.

Emmie zakręciło się w głowie, ugięły się pod nią kolana i zrobiło się jej czarno przed oczami. Szukała oparcia, ale go nie znalazła.

## Klinika Parkowa

**Wspaniale.** Zrobił pan to naprawdę wspaniale.

Doktor Martin Roth wskazał na stojący na stoliku na kółkach monitor i ściszył głos. Było na nim widać Emmę i dwie pielęgniarki, które się nią zajmowały. Po krótkiej utracie przytomności doszła do siebie i leżała teraz na sofie z lekko ugiętymi nogami. Gdyby Konrad nie był tego pewien, myślałby, że widzi na ekranie swój gabinet w kancelarii nad Wannsee. Niewiarygodne, jak doskonałą replikę jego biura stworzyli stolarze i sztukatorzy.

*Nie mówiąc o technikach!*

Aż do ostatniej minuty w to wątpił, ale na koniec zachowali się, jak trzeba: teraz obraz na telewizorze UHD naprawdę nie różnił się od rzeczywistości.

Podczas eksperymentu ciągle łapał się na tym, że zamyślony wygląda przez „okno”, znów póki nie uświadamiał sobie, że „widok” z jego biura był tylko filmem nagrany w formacie ultra HD, który dzięki nowej technice był tak odtwarzany, że kąt widzenia zmieniał się w zależności od pozycji obserwatora.

– Oczywiście, nigdy nie można być pewnym, ale szanse wyglądają obiecująco, dzisiaj osiągnęliśmy sukces w sprawie Emmy Stein.

Na poparcie swoich słów doktor Roth uraczył Konrada szerokim uśmiechem. Pochwała psychiatry spłynęła po adwokacie bez żadnego wrażenia.

Prawie cztery godziny wypytywał Emmę, a jednocześnie starał się trzymać wskazówek lekarza. Być może nie było tego po nim widać – nie pozwalał sobie na publiczne okazywanie słabości – ale faktycznie po tej przypominającej maraton sesji huczało mu w czaszce i nie miał za grosz ochoty na rozmowę z wyglądającym o wiele za młodo ordynatorem, który mimo to cieszył się znakomitą reputacją w fachowych kręgach. Już dziesięć lat temu doktorowi Rothowi udawało się rzekomo skutecznie leczyć pacjentów chorych na schizofrenię za pomocą urojeń i to stało się kamieniem węgielnym jego dobrej sławy. Dla dobra pacjentów stosował również nietypowe metody terapii.

Tak jak dzisiaj.

Żeby w przypadku Emmy osiągnąć oczekiwany przełom, doktor Roth odtworzył biuro w kancelarii Konrada w skali jeden do jednego, w sali gimnastycznej szpitala, gdzie fizykoterapeuci przeprowadzali ćwiczenia rehabilitacyjne.

Ten wydatek był konieczny, ponieważ nie uzyskali sądowego zezwolenia na przesłuchanie poza murami szpitala, a Emma odmawiała wszelkich kontaktów w zakładzie.

– Teraz muszę napić się piwa – powiedział Konrad i przysunął do siebie składane krzesło. Tutaj, tuż za fałszywymi ścianami, które oglądane od strony Emmy do złudzenia przypominały ściany jego kancelarii w Zehlendorf, wewnątrz wyglądało jak plac budowy.

Płyty wiórowe zostały przymocowane do solidnych filarów, żeby się nie przewróciły. Wiązki kabli ukrytych mikrofonów i miniaturowych kamer (prawie wszystkie umieszczone w regale) ciągnęły się po linoleum sali gimnastycznej jak nitki pajęczyny.

W ogóle wiele rzeczy przypominało plan filmowy. Na kempingowym stoliku stały soki, precle i zapakowane kanapki. Catering dla *Konrad & Emma Show*, który pewnie sprawiał, że doktor Roth czuł się swobodnie, gdy obserwował swoją pacjentkę.

– Zimne piwo i cygaro – uzupełnił Konrad.

– Zasłużył pan na jedno i drugie – potwierdził Roth i wyjął krótkofalówkę z pokrowca przy pasku białych dżinsów. – Co prawda tu, w Klinice Parkowej, obowiązuje bezwzględny zakaz palenia i spożywania alkoholu, ale myślę, że jako kierownikowi wolno mi zrobić wyjątek.

Nacisnął klawisz i złożył upragnione zamówienie, prawdopodobnie u swojej asystentki, która miała krzywe nogi i z którą Konrad w ostatnich dniach często kontaktował się przez telefon, żeby dopiąć szczegóły umowy. Kobieta była uosobieniem nudy i powolności. Jeśli organizowała piwo i cygaro z szybkością, z jaką zlecała przeprowadzkę czy transport mebli z jego kancelarii do kliniki, pierwszy raz zaciągnie się najwcześniej jutro rano, a pierwszy łyk wypije w przyszłym tygodniu.

– Tak, zamówienie przyniosą za pięć minut.

*Aha. Bo uwierzę.*

Roth zrobił kilka pośpiesznych notatek na podkładce do pisania, również przysunął sobie składane krzesło i usiadł plecami do monitora naprzeciwko Konrada.

– Już myślałem, że wszystko na nic, kiedy Emma przewróciła filiżankę i chciała wytrzeć plamę – powiedział, uśmiechając się.

Konrad zgodził się z nim.

– Tak. O mały włos poszłaby do nieistniejącej łazienki.

Ten szczegół repliki biura nie był możliwy do odtworzenia z powodów sanitarno-technicznych. Imitacja toalety jak najbardziej, ale działające WC ze spłuczką i bieżącą wodą? Taka instalacja była niewykonalna w tym pomieszczeniu. Gdyby Emma szarpnęła fałszywymi drzwiami, które prowadziły do nieistniejącej łazienki, odkryłaby, że kancelaria to potiomkinowska wioska. Rzeczywiście był nawet plan, żeby otworzyć Emmie oczy, ale nie tak wcześnie, miał to być dramatyczny punkt kulminacyjny i, o ile to możliwe, dopiero pod koniec sesji.

– Jak się pan teraz czuje? – zapytał doktor Roth z akcentem na teraz, ponieważ na początku Konrad gwałtownie zaprotestował przeciwko ekscentrycznym metodom leczenia, jakie stosował psychiatra.

– Nadal nie czuję się dobrze wobec faktu, że musiałem okłamać Emmę i trzymać ją w tym wymyślonym świecie. Ale muszę przyznać, że pański nietypowy pomysł osiągnął zamierzony cel.

Roth skinął głową.

Fakt, że Emma nie pozwalała się nikomu odwiedzać na oddziale, stawiła osoby, które chciały jej pomóc, przed prawie nierozwiązywalnym problemem. Nie było ani jednej jej wypowiedzi, niczego, na czym można było zbudować dobrą linię obrony. Prokuratura natomiast była w posiadaniu wideo, które pokazywało Emmę, jak w piwnicy swojego domu podcina gardło własnemu mężowi, a przedtem obrzuca go stekiem całkowicie idiotycznych, po części wyjąkanych oskarżeń.

Również Roth nie osiągnął nic więcej swoją terapią, aż wpadł na pomysł, jak można upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i nakłonić Emmę, żeby zgodziła się na jednoczesne zeznanie i sesję terapeutyczną. Według jego oceny Emma była osobą, która otwierała się tylko przed bardzo wąskim gronem ludzi, a szczególnie przed przyjacielem, którego traktowała jak ojca.

Ale to nie wystarczało. Do zgodnego z prawdą zeznania potrzebowała dobrze znanego otoczenia.

Skoro pacjent nie może przyjść do góry, trzeba przenieść górę, dlatego dziesięć dni temu w dżdżyste piątkowe popołudnie oznajmił to Konradowi, kiedy Emma już dwa tygodnie nie była u niego na terapii. Konrad pamiętał, że w pierwszej chwili chciał zasugerować doktorowi Rothowi przebadanie swojego stanu umysłu, kiedy ten zdradził mu swój plan:

– Zakładamy, że pani Stein się panu zwierzy. Przy czym będzie jej bardzo trudno okłamać osobę, którą darzy największym zaufaniem. Tym bardziej w otoczeniu, gdzie zawsze czuła się bezpiecznie. Dzisiaj nie potrafimy wyjaśnić wielu rzeczy: czy pani Stein naprawdę została napadnięta w hotelowym pokoju,

czy też sama zraniła się gdzieś indziej. Albo jak dokładnie doszło do zabójstw. Czy były zamierzone, czy przypadkowe? Profesorze Luft, jeśli będziemy mogli przypatrywać się pańskiej rozmowie, da to nam bezcenną sposobność przeanalizowania zeznań Emmy Stein z psychiatrycznego punktu widzenia.

Konrad roześmiał się i rozejrzał dookoła, szukając ukrytych kamer, które obserwowały jego i Emmę przez ostatnie godziny.

– Chce pan odtworzyć całe biuro? Chyba pan żartuje!

– Nie, a gdyby interesował się pan moją pracą, wiedziałby pan, że czasem wybieram niekonwencjonalne drogi, żeby...

– Chwileczkę, stop! – przerwał mu wtedy Konrad, wstał, oparł się rękami o biurko i popatrzył z góry na Rotha.

– Na serio proponuje mi pan, żebym okłamał swoją klientkę? I naruszył tajemnicę adwokacką?

Roth energicznie pokręcił głową.

– Tworzymy wspólnotę, jesteśmy ze sobą związani. Pana klientka jest moją pacjentką. To oznacza, że pańska tajemnica adwokacka pokrywa się z moim lekarskim obowiązkiem zachowania dyskrecji. Emma Stein jest obwiniana o nieumyślne zabójstwo Antona Palandta i swojego męża Philippa. Jednocześnie wydaje się, że cierpi na silną paranoję, a być może nawet na pseudologię.

– I z moją pomocą...

– Możemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Dowiemy się, co naprawdę się stało, i być może znajdziemy nie tylko sposób obrony, lecz również terapii. Ale oba sposoby zadziałają tylko z pana pomocą. Jest ona „warunkiem, bez którego nie byłoby to możliwe”. Jest chyba na to jakiś fachowy termin prawniczy, prawda?

– *Conditio sine qua non* – potwierdził Konrad.

– Pańska oficjalna rozmowa obrońcy z klientką byłaby jednocześnie analizą psychoterapeutyczną. Posłuży ona jednocześnie do ustalenia prawdy i leczenia. Ani jedno słowo z tej rozmowy nie dotrze do osób trzecich i nie będzie mogło obciążyć Emmy. Wszystkie nagrania byłyby dostępne wyłącznie dla nas obu. Nie będzie tam żadnych kamerzystów. Tylko zamontowane na stałe obiektywy.

Ta przemowa ostatecznie przekonała Konrada, choć poprosił, żeby jeszcze przez weekend dać mu czas do namysłu. Ale było dla niego jasne, że się zgodzi, już w chwili, kiedy na krótko przed pożegnaniem się zapytał doktora Rotha:

– Chce pan przenieść całe moje biuro?

– Tylko meble – odparł psychiatra spokojnie, jakby chodziło o zupełnie zwykłe świadczenie, które bierze na siebie kasa chorych. – Resztę kancelarii zrekonstruujemy.

I tak Emma z obietnicą, że znów ujrzy człowieka, którego darzyła największym

zaufaniem, któremu może się udać uchronić ją przed więzieniem, została uśpiona w swoim pokoju, a kiedy się obudziła, uroiła sobie, że przetransportowano ją do kancelarii.

*Tylko czy te wszystkie starania naprawdę się opłaciły?* – pomyślał Konrad.

Słyszał głucho pukanie, co go dziwiło, ponieważ drzwi do sali gimnastycznej, przy których usiedli, były ze szkła. Poza tym nikt nie stał za szybą.

– Co to było? – zapytał Konrad, gdy odgłosy się powtórzyły, choć teraz przypominały raczej tupanie. Odwrócił się do monitora.

Emma.

Nie leżała na szpitalnym łóżku ani na kanapie, lecz stała na środku pokoju i tupiała prawą nogą. Trochę nieporadna pielęgniarka próbowała chwycić ją za ramię, ale Emma z łatwością ją odtrąciła.

– Głos! – polecił Konrad sprawdzonym na sali sądowej rozkazującym tonem i ordynator sięgnął po piloty leżące na stole, gdzie stał monitor. Głos Emmy stał się głośniejszy.

– Cześć, Konrad! – zawołała kilka razy, kręcąc się w kółko. Oczywiście wiedziała, że jest filmowana i podsłuchiwana, ale do tej pory nie miała pojęcia, gdzie znajdują się mikrofony i kamery. – Konrad, słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedział, chociaż dziś rano Roth wyjaśnił mu, że izolacja akustyczna za kulisami działa tak dobrze, że można było zrzucić talerz na podłogę, a w pokoju nie usłyszałoby się trzasku.

– Konrad? – zapytała Emma i grube łyzy torowały sobie drogę po jej policzkach. Jej głos drżał w małych głośnikach. – Konrad, wróć, proszę. Muszę ci coś wyznać!

## 49

Z sali chorych, gdzie leżała Emma, roztaczał się piękny widok. Nie tak światowy jak z jego kancelarii, ale przynajmniej nie pochodził z taśmy.

Gdyby Emma stanęła obok niego, mogłaby zobaczyć, jak mała rodzina zajęcy kica w parku po zasypnym śniegiem trawniku i odskakuje w ciemność o dwa metry z kręgu światła, które rzuca pękata latarnia, żeby zaraz potem znów zostawić widoczne ślady na puszystej bieli.

Mogłaby również zobaczyć jego starego saaba, którym dawniej czasem podwoził ją na uniwersytet, ale musiałyby wstać, a w tej chwili była na to za słaba. Kabriolet stał, pokryty grubą warstwą śniegu, na małym parkingu, w zasadzie zarezerwowanym dla ordynatorów. Roth użył mu swojego miejsca.

– Wszystko sprawdziłeś? – usłyszał pytanie. Emma leżała na szpitalnym łóżku. Było szersze i wygodniejsze od tego, na którym przed kilkoma godzinami wjechała do fałszywego gabinetu.

– Tak – potwierdził Konrad.

Na jej prośbę przeczesał cały pokój, szukając ukrytych kamer i mikrofonów. Działał bardzo dokładnie, chociaż Roth zapewnił go, że tu, na górze, na oddziale, nic nie było okablowane. Nie odważyłby się na taką ingerencję w prywatność pacjentki.

– Przykro mi – powiedział Konrad ze skruchą i była to prawda. Później, w podręcznikach, zapewne napiszą na temat doktora Rotha, że leczył domniemaną kłamczynię za pomocą kłamstwa. Ale to nie zmieniało faktu, że Konrad oszukał swoją najlepszą przyjaciółkę i podopieczną.

– Nie, to mnie jest przykro – zaprzeczyła słabo Emma. Po głosie można było poznać, że jest zamyślona. Skóra wokół jej oczu była zapadnięta i pomarszczona, jakby przez długi czas nic nie piła.

– Chyba będzie lepiej, jeśli porozmawiamy jutro. Wyglądasz na zmęczoną, kochanie.

– Nie.

Klepnęła dłonią w kołdrę obok siebie.



– Usiądź. Tu, obok mnie.

Odszedł od okna i po dwóch krokach był przy niej. Zbyt chętnie szukał jej bliskości. Teraz, kiedy nie musiał już zachowywać udawanego zawodowego dystansu, Emma nie była jego klientką, lecz znów jego małą, kochaną protegowaną.

Odsunął nocny stolik, żeby móc usiąść obok niej na materacu.

– Chciałam porozmawiać z tobą tu, na górze. W mojej celi – szepnęła.

– Masz na myśli, w sali szpitalnej.

Uśmiechnęła się, jakby opowiedział dowcip.

Roth od razu dał się przekonać, żeby znów przenieść Emmę do jej pokoju. Fałszywa kancelaria spełniła swoje zadanie. Kiedy Emma zorientowała się, że telewizor UHD był atrapą okna, odkryła, że człowiek może stracić zdolność odróżniania fikcji od rzeczywistości. Konrad nie potrafił ocenić psychiatrycznych korzyści płynących z tej wiedzy, ale zgadzał się z ordynatorem w jednym, że będzie lepiej, jeśli Emma znajdzie się w swoim szpitalnym łóżku.

– Nie chciałam ci tego mówić tam, na dole. Przed tymi kamerami. I mikrofonami.

Konrad przytaknął.

Wziął ją za rękę. Była sucha i lekka jak kartka papieru.

– Nikt nie powinien nas usłyszeć – powiedziała i zabrzmiało to, jakby trzymała w ustach gorący ziemniak. Miała sztywny język. Roth dał jej jeszcze środek uspokajający, który zaczynał powoli działać, a potem pożegnał się i oznajmił, że poczeka na korytarzu.

– Odpoczywaj. – Konrad czule ścisnął jej dłoń.

– To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone wyłącznie dla ciebie – odparła.

Konrada zakłuło w sercu, jak zawsze, kiedy czuł, że bliskiej mu osobie dzieje się coś złego, a on nie wie, jak mógłby jej pomóc. Na polu bitwy paragrafów zawsze miał pod ręką właściwą broń. Kiedy chodziło o prywatne problemy, często był bezradny. Zwłaszcza w przypadku Emmy.

– Co ci leży na sercu? – zapytał.

– Wiesz, powoli tracę pewność, czy rzeczywiście byłam w tym hotelu.

Posłał jej swój najłagodniejszy uśmiech.

– To dobrze. Dobrze, że to mówisz. I uwierz mi, nikt nie czyni ci wyrzutów. Teraz zrobimy wszystko, żeby cię wyleczyć.

– W psychoterapii nie ma wyleczenia – zaprotestowała.

– Ale jest pomoc.

– Nie chcę pomocy.

– Nie? To czego chcesz?

– Chcę umrzeć!

## 50

**K**onrad zareagował bardzo gwałtownie.

Jego dłoń kurczowo wpiła się w dłoń Emmy, a ona zobaczyła, jak drży mu dolna warga, kiedy starał się opanować.

– Żartujesz.

– Nie, mówię poważnie.

– Ale dlaczego?

– Z wielu powodów. Przez moją chorobę zabiłam Palandta i Philippa. I uniemożliwiłam uratowanie Sylvii.

– Wszystko nieumyślnie – zaprotestował energicznie Konrad.

– Wszyscy byli niewinni.

Emma pokręciła głową, miała czerwone, ale suche oczy. Już nie płakała.

– Philipp... – powiedziała. – Bez Philippa moje życie nie ma sensu. Kochałam go. Nieważne, że okazał się taką świnią. Bez niego jestem nikim.

– Bez tego oszusta jesteś warta dużo więcej – powiedział Konrad zaskakująco głośno. – Jeśli jest ktoś, kto ponosi winę za twoją tragedię, to twój samolubny niewierny małżonek. Wystarczy, że cię zdradzał i zanieczyścił za życia, a teraz jeszcze po śmierci doprowadza cię do rozpacz. – Konrad z wyraźnym trudem złagodził głos. – Nie jesteś niczemu winna. To była obrona konieczna.

Westchnęła.

– Nawet jeśli potrafisz przekonać sędziego, to mimo wszystko nie chcę dłużej żyć. Nie chcę. Musisz to zrozumieć, Konrad. Jestem psychiatrą. Znam najciemniejsze psychiczne czeluście. Z trudem mogę w nie zagłębiać. A teraz sama siedzę w najgłębszym punkcie.

– Emma...

– Ciii... posłuchaj mnie, proszę. Nie wiem już, co mam myśleć. Byłam taka pewna, że zostałam zgwałcona. A teraz? Co to za życie, jeśli człowiek nie potrafi odróżnić halucynacji od rzeczywistości. Muszę to zakończyć. Ale to mi się nie uda bez twojej pomocy. Przecież na pewno znasz kogoś, kto pomoże mi załatwić środek, na który dam ci receptę.

- Przecież jesteś...
- Obłąkana. Otóż to.
- Nie. Nie to chciałem powiedzieć.

Konrad pokręcił głową. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby był taki smutny i bezradny.

- No dobrze. Mam fioła...
- Tylko żywą fantazję, kochanie. I jesteś w stresie. Ogromnym stresie.
- Inni też są, a mimo to nie dręczą ich halucynacje o gwałtach i wymyślonych pokojach hotelowych.

– Nie mają również twojej wyobraźni. Popatrz. Tamtego wieczoru miałaś ciężki wykład, zostałaś wrogo potraktowana przez kolegów, musiałaś się bronić. To zrozumiałe, że w tak wyjątkowej sytuacji psychicznej straciłaś kontrolę nad sobą. Przypuszczam, że widziałaś w telewizji program o Fryzjerze i dałaś się ponieść fantazji, że jesteś jego ofiarą. Potrzeba na to dużo czasu, ale wspólnie z doktorem Rothem na pewno to potwierdzimy.

- Nie chcę.

Konrad znów ścisnął jej dłoń, jakby była pompką, którą można wtłoczyć nową chęć do życia.

- Przemyśl to jeszcze. Już raz otrzymałaś pomoc. Wtedy, w dzieciństwie, kiedy twoja fantazja również płatała ci figle.

*Arthur.*

Ogarnięta niespodziewaną melancholią Emma pomyślała o urojonym przyjacielu z dzieciństwa, którego na początku tak się bała. Wiele wspomnień już się zatarło. Tylko kask motocyklowy i strzykawka w ręku Arthura prześladowały ją jeszcze wiele lat po zakończeniu terapii – jak się teraz najwidoczniej okazało – chyba nie do końca skutecznej.

Emma zamknęła oczy i nie walczyła już ze zmęczeniem, które wzięło strzępy jej wspomnień za zwiastuny snów.

Słowa ojca:

- *Zjeżdżaj stąd. Albo to ja zrobię ci krzywdę.*

Głos w szafie:

- *Tak powiedział?*

Krzyki matki, kiedy poroniła w czwartym miesiącu ciąży.

Pigułki dzień po.

Swój, jak krzyczy na Sylwię:

- *Zostałam ogolona i zgwałcona. W moim pokoju był mężczyzna...*
- *No. Tak samo jak Arthur w twojej szafie...*

Emma raptownie otworzyła oczy. Przedarła się z mgły oszołomienia z powrotem na powierzchnię.

– Co się stało? – zapytał Konrad, który wciąż trzymał ją za rękę.  
– Skąd znała jego imię? – Jej język ważył kilka kilogramów. Ledwo mogła nim ruszać.

– Słucham?

– Arthur. Skąd Sylvia znała jego imię?

– Czy mówisz teraz o duchu?

– Widzisz, nigdy nie zdradziłam ci jego imienia. Pierwszy raz usłyszałeś je dzisiaj, kiedy opowiedziałam ci o mojej kłótni z Sylwią. Jak przyszła do mnie do domu i zarzuciła mi, że zazdroścę jej dziecka, wtedy wspomniała coś o tym, że kłamałam już jako dziecko, kiedy wymyśliłam sobie Arthura. A przecież poznałam Sylwię już po zakończeniu terapii. Nigdy jej o tym nie mówiłam.

Konrad wzruszył ramionami.

– Miała romans z Philippem – burknął. – Prawdopodobnie wiedziała to od niego.

Emma zamrugowała nerwowo.

– Posłuchaj. Philipp też o tym nie wiedział. Zachowałam to imię dla siebie. Po zakończeniu sesji terapeutycznych, kiedy byłam mała, nigdy nie wypowiedziałam go już na głos, to przesąd. Myślałam, że jeśli nie będę go wymawiać, Arthur już nigdy nie wróci, rozumiesz?

*Wtedy powiedziałam to imię tylko rodzicom i mojemu psychiatrze. Więc skąd znała je Sylvia?*

Emma zadrżała. Przez ułamek sekundy znała odpowiedź. I ta odpowiedź była drogowskazem, prowadzącym do tak strasznej prawdy, że najchętniej wybiegłaby z krzykiem ze szpitalnej sali.

Ale odpowiedź zniknęła razem z jej zdolnością do dalszej walki, by nie stracić przytomności.

I kiedy zapadała w głęboki sen, towarzyszył jej jedynie strach jeszcze większy niż w dniu, gdy przyjęła paczkę.

# 51

Doktor Roth cieszył się. Eksperyment, który w dużej części finansował z własnej kieszeni, był wielkim sukcesem.

Już prawie żałował, że nie może go kontynuować, ale wyłączona przez niego z użytku sala do rehabilitacji stała się pilnie potrzebna, a i tak nie dało się osiągnąć kolejnych rezultatów przez to udawanie.

– No i co teraz? – zapytał Konrad, który krytycznym okiem przyglądał się dwóm pakowaczom mebli, jak wynosili z pomieszczenia jego kanapę. Po rozmowie z Emmą adwokat najpierw chciał głęboko odetchnąć i jakiś czas spacerował po parku. Teraz wyglądał na wypoczętego.

– Zagadka się rozwiązała?

Obrońca musiał mówić trochę głośniejsze, przekrzykując wkrętarki akumulatorowe, które wykręcały ze ścian śruby. Powietrze było przesycone aromatem świeżych wiórów. Zapachem, który Roth uwielbiał od dzieciństwa. Uczęszczał do szkoły o artystycznym profilu. Prace stolarskie wchodziły w skład przedmiotów obowiązkowych, prawdopodobnie tłumaczyło to jakoś jego skłonność do kreatywnych metod.

– Tak, myślę, że tak – powiedział Roth. – Chyba że pani Stein jeszcze zwierzy się panu z czegoś, co mogłoby być istotne w mojej pracy.

– Tajemnica adwokacka – odpowiedział Konrad z uśmiechem, ale potem machnął ręką. – Mówiąc poważnie, była roztrzęsiona. Zdradzała myśli samobójcze, musi pan bezwarunkowo mieć ją na oku.

– Bez obaw, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. – Roth podrapał się w jedno ze swoich zakoli. – Taka reakcja była niestety do przewidzenia.

– Dlaczego?

– Głęboko wstrząsnęliśmy światem pani Stein.

Roth wskazał na regał ze zbiorowym wydaniem dzieł Schopenhauera. Jedna z kamer była wciąż ukryta w grzbiecie książki *Świat jako wola i przedstawienie*.

– I chwilowo nie widzi możliwości, żeby znów uporządkować swoje życie.

– Ej, ej. Ostrożnie, proszę! – Konrad przeprosił na chwilę i podszedł do

pakowacza, który próbował wyszarpnąć spod kanapy okrągły dywan. – Trzeba oddać go do prania, a nie wyrzucać.

– Czy to *enso*? – zapytał Roth, który podszedł do nich.

Konrad popatrzył na niego z uznaniem.

– Zna pan symbolikę zen?

– Trochę. – Roth uśmiechnął się i pokazał na czarną obwódkę białego dywanu.

– *Enso*, czyli krąg, jest zaznaczany w malarstwie zen jednym płynnym pociągnięciem pędzla. Tylko człowiek wewnętrznie skupiony i zrównoważony, jak twierdzą artyści zen, potrafi namalować harmonijny *enso*. Dlatego na podstawie analizy takiego kręgu można dobrze odczytać stan świadomości malującego.

– No, no – zaśmiał się Konrad. Tymczasem robotnik znikł ze stolikiem do kawy pod pachą. Pozostali pakowacze również wynosili przedmioty, Konrad i Roth zostali na chwilę sami. – Nie wiedziałem, że mógłby pan być także filozofem.

Roth skinął głową, pozornie nieobecny duchem. Raz jeszcze dotknął *enso* na dywanie, potem wstał. Ostatni raz omiół wzrokiem fałszywy pokój, po czym, jakby mimochodem, zapytał Konrada:

– Nie potrafiłyby się pan z nią rozstać, prawda?

– Słucham?

– Musi pan zawsze mieć ją obok siebie. Być blisko niej.

– O czym, na Boga, pan mówi? – zapytał lekko zirytowany Konrad.

Zamiast odpowiedzieć, Roth przyglądał się włosom w swojej dłoni, które właśnie podniósł z dywanu. Były ciemnobrązowe i jak na dywan wyglądały na nietypowo cienkie. Prawie jak ludzkie.

– W laboratorium Philippa znajdowały się trofea wszystkich ofiar. Tylko nie Emmy. – Psychiatra spojrział Konradowi prosto w oczy.

Adwokat zbladł i wydawało się, że w jednej sekundzie postarzał się o lata. Źródło jego pewności siebie, podłoże, na którym stał tak twardo cały czas, zmieniło się nagle w zapadnię.

– Co, do diabła, chce pan przez to powiedzieć?

Roth odpowiedział pytaniem:

– Nie zdziwiły pana te wszystkie wydatki, profesorze Luft? – Psychiatra rozpostarł ramiona, zachowywał się tak, jakby pierwszy raz zobaczył wszystko, co znajdowało się dookoła niego. – Kompletnie zainstalowane fałszywe biuro, telewizor z rozdzielczością UHD, ukryte kamery i mikrofony. I wszystko to, żeby uwolnić chorą na paranoję pacjentkę od jej urojeń?

– Co tu jest grane? – zapytał Konrad bezdźwięcznie. Jego wzrok wędrował bezradnie po kulisach, w poszukiwaniu wyjścia.

I zanim je znalazł, Roth spuścił na niego gilotynę prawdy.

– Nie obserwowaliśmy Emmy, lecz pana!



## 52

Emma płynęła przy dnie czarnego jak smoła jeziora i czuła, że dostaje choroby morskiej. Fale, które zakłócały poczucie równowagi, przynosiły dziwną melodię.

Głos, na pół szepczący, na pół śmiejący się.

Głos szaleńca.

Głos Konrada.

– Kocham cię, Emmo.

Pochwycona przez falę nudności Emma otworzyła oczy i zwymiotowała tuż obok szpitalnego łóżka.

Wciąż była zamroczona, widziała świat jak przez mleczną szybę, ale wiedziała, kim była (zgwałconą kobietą), gdzie była (w Klinice Parkowej) i z czego zwierzyła się Konradowi.

– Nie martw się, zajmę się tobą – powiedział i trzymał ją za rękę, jakby uroił sobie, że Emma znajduje się w stanie pełnej nieświadomości, a przecież ona tkwiła tuż pod powierzchnią snu.

– Ochronię cię, tak jak zawsze to robiłem.

Znów odpłynęła. I znów przywołał ją jego głos.

Teraz, kiedy zwymiotowała lekarstwa, zanim całkowicie rozeszły się po jej ciele, Konrada dawno już nie było w szpitalnej sali.

Ale jego głos wciąż brzmiał w jej głowie. Okropny, szepczący, monotony śpiew wspomnienia.

– Jestem twoim aniołem stróżem. W ostatnich miesiącach uważałem na ciebie, tak jak robiłem to całą wieczność. Rozumiesz? Zabiłem dla ciebie te dziwki. Przywróciłem ci honor.

Obłąd jego słów dopiero teraz nabrał dla Emmy pełnego sensu. Była jeszcze bardzo zmęczona. Ale wir leków psychotropowych nie wciągał jej już tak mocno w obszar otępienia.

– Pożądałem cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Byłaś jeszcze o wiele za młoda, miałaś trzy lata, gdy przyszedł ze swoim ojcem do mojej kancelarii. Była urządzona prawie dokładnie tak samo jak dzisiaj. Zawsze lubiłaś

się bawić na okrągłym dywanie, ale pewnie tego nie pamiętasz, byłaś taka mała.

*To dlatego od początku czułam się tam jak w domu.*

Już w tej chwili Emma próbowała otworzyć oczy, ale się jej nie udało.

– Od razu zauważyłem, że twój ojciec nie ma na ciebie dobrego wpływu. Szukałaś jego bliskości, a on zawsze był szorstki i zimny. A mnie nie było wolno okazać uczucia. Musiałem się ukrywać, żeby cię zobaczyć.

*W mojej szafie!*

– Obserwowałem cię, troszczyłem się o ciebie, pilnowałem i chroniłem. Byłem ojcem, którego nigdy nie miałaś.

*Konrad jest nie tylko Fryzjerem.*

Był również Arthurem!

*To dlatego Sylvia знаła jego imię. Nie dowiedziała się tego od Philippa, lecz od mężczyzny, który sam je sobie nadał,* Emma przypomniała sobie własne powstrzymywane myśli, wciąż przerywane szeptem Konrada.

Kontaktowali się ze sobą, oczywiście. Pewnie Konrad odwiedzał Sylvię, kiedy z Emmą było źle. Żeby porozmawiać z nią o tym, jak można jej pomóc. Najlepszy przyjaciel i najlepsza przyjaciółka.

– Przez całe twoje życie pilnowałem cię, ukochana. Tak jak wtedy, kiedy naprzykrzał ci się twój były chłopak, pamiętasz? Tak często otwierałem nad tobą ochronny parasol, a ty wcale tego nie zauważałaś. Później, kiedy byłaś wystarczająco duża, pokazałem ci się. Ale bałem się, że się domyślisz, co naprawdę do ciebie czuję, i że zerwiesz kontakt z mężczyzną, od którego dzieli cię taka różnica wieku.

*Ale przecież jesteś gejem?*

– Tylko tak mówiłem. To kłamstwo, które pozwoliło mi być blisko ciebie, ale, niestety, również nas dzieliło. Och, jak bardzo cię pragnąłem. Przez te wszystkie lata.

*Do tamtej nocy w hotelu!*

– Chciałem, żebyś opuściła Le Zen i wróciła do domu, kochanie. Z powrotem do swojego męża, który właśnie był w łóżku z jakąś dziwką. Żebyś przyłapała go in flagranti. Ale ty zostałaś. Chociaż nastraszyłem cię, pozostawiłem napis na lustrze, ale ty nie chciałaś wyjść. Obciałem ci włosy, żeby Philipp już więcej cię nie pożył. Żeby już więcej z tobą nie sypiał, jak to robi zawsze, kiedy wracasz do domu.

I Emmie wydało się, że przypomina sobie, jak Konrad zrobił to tamtej nocy w hotelu.

– Nie zgwałciłem cię. Ale kiedy leżałaś tak przede mną taka spokojna...

Emma musiała znów zwymiotować. Odrzuciła kołdrę i przewróciła się obok łóżka.

– Nie! – krzyknęła głosem prawdy, która utkwiała jej w głowie.

– To był błąd, wiem – usłyszała Konrada. – Ale nie mogłem już dłużej czekać. Zdajesz sobie sprawę, że po latach seksualnej abstynencji było to zupełnie naturalne. I piękne. Cudowne. To było takie delikatne. Akt miłości.

Emma poczuła rwący ból w podbrzuszu. Uklęka i ponownie zwymiotowała.

Kiedy już nic nie chciało wyjść z jej żołądka, zniknęły również głosy w głowie, tak jakby z ostatnią kroplą żółci wypłuła Konrada ze swojego ciała.

Rzęząc, podciągnęła się na parapecie i wyjrzała przez okno.

Prawie spodziewała się, że zobaczy Konrada stojącego w parku, jak macha do niej z uśmiechem, ale był tam tylko zaśnieżony zimowy krajobraz. Ślady zajęcy na śniegu. Latarnia, która rzucała łagodne światło.

I samochód.

Stary, zaśnieżony saab stał na szpitalnym parkingu, tam, gdzie właściwie tylko ordynatorzy mogli zostawiać swoje samochody.

Emma spojrzała na drzwi, rękawem szpitalnej koszuli wytarła odrobinę śliny z górnej wargi i podjęła decyzję.

## 53

Niegdyś. Tak energiczny niegdyś obrońca przeszedł, potykając się, przez replikę własnej kancelarii. Wciąż nie odzywał się do doktora Rotha. I nie udało mu się spojrzeć psychiatrze w oczy.

Zatrzymał się, drżąc na całym ciele. Twarzą do ściany z telewizorem, z której już dawno wymontowano telewizor i gdzie teraz już tylko zagłębienie w wiórowej płycie przypominało o instalacji.

Konrad odwrócił się, chciał się oprzeć o kant biurka, ale ręka mu się osunęła i opadł na fotel.

– Wplótł pan włosy Emmy w dywan *enso* – powiedział Roth. Bez wyrzutu. Bez cienia głodu sensacji w głosie. Jako psychiatra spotykał się już z o wiele bardziej denerwującymi anomaliami ludzkiego zachowania.

– To... to jest... – Konrad odzyskał głos. – Mogę to wyjaśnić.

– Jestem tego pewien – odparł Roth. – Wszystko się wyjaśni. Również kwestia numeru pokoju. To był 1903 czy 1905?

– Słucham?

– W którym z obu przechodnich pokoi w Le Zen podmienił pan tabliczkę z numerem na numer 1904?

Roth zauważył krople potu na czole Konrada. Adwokat zrobił się biały jak kreda. Jego skóra połyskiwała jak wosk.

– Wiem, że nikt nie lubi, kiedy przejrzy się jego sztuczki – powiedział Roth. – Chociaż to był świetny pomysł, żeby przez zagraniczny portal hotelowy zarezerwować oba pokoje dla czteroosobowej rodziny. Ponieważ w Le Zen podobnie jak w większości berlińskich hoteli przy rejestracji trzeba tylko okazać kartę kredytową, potrzebował pan kogoś, kto odbierze za pana klucz. – Roth zmarszczył czoło. – Nie wiemy jeszcze, jak pan to załatwił. Stawiamy na to, że ta matka i jej troje dzieci naprawdę istnieją. Być może to była klientka, która przyjechała do Niemiec na pana zaproszenie. Ale wyprowadziła się trochę wcześniej, dokładnie według planu. I w dniu, kiedy wprowadziła się Emma, mógł pan się bez przeszkód przygotować. Spokojnie zawiesić portret Ai Weiweia, i to

dokładnie nad pozbawionymi framugami przechodnimi drzwiami, żeby Emma nie zauważyła przejścia do sąsiedniego pokoju. Tam czekał pan, aż położy się spać. Nawet nie musiał pan, tak jak dawniej, ukrywać się w szafie. – Roth uśmiechnął się mętnie. – Zresztą podoba mi się imię Arthur. Ja też jestem fanem Schopenhauera.

Konrad wzdrygnął się, kiedy z głośnym skrzypieniem otworzyły się prowizoryczne drzwi do biura. Do środka wszedł energiczny czarnowłosy funkcjonariusz policji o greckich rysach twarzy.

– Profesorze Konradzie Luft, jest pan aresztowany – powiedział policjant. Jorgo Kapsalos zatrzymał się dwa metry przed biurkiem, z dłonią na rękojeści służbowej broni, którą nosił przy biodrze. – Chyba nie muszę informować pana o przysługującym panu prawie do odmowy składania zeznań.

Konrad uniósł wzrok i patrzył na Jorgo, wysokiego barczystego policjanta, jak na kosmitę.

– Pod jakim zarzutem? – wychrypiał.

Rothowi, który został blisko kanapy, wydało się, że widzi uśmiech na ustach Jorgo, ale prawdopodobnie to tylko nikłe światło stojącej na biurku lampy wywołało takie wrażenie.

Były partner męża Emmy nie miał w sobie nic z sadysty. Co prawda Jorgo wziął sobie do serca śmierć Philippa Steina, bo obarczał się winą, że wcześniej niczego nie zauważył. Ale Roth nie wierzył, żeby istotną pobudką Jorgo była zemsta. Było jednak zrozumiałe, że odczuwał teraz satysfakcję, że mógł aresztować Fryzjera.

– Jak pan wpadł na mój trop?

Jorgo pokręcił głową i jego ręka powędrowała do kajdanek.

– Będziemy mieli dość czasu, żeby porozmawiać o wszystkim w komisariacie, kiedy będziemy nagrywać pańskie przyznanie się do winy.

Konrad skinął głową. Dał się zakuć w kajdanki.

– Niewiarygodne – powiedział i zdziwiony omiół wzrokiem replikę swojego biura. Myślał, że pomaga Emmie, a cały czas sam był obiektem obserwacji. – Wyprowadziliście mnie w pole – mruknął. Spojrzał na wyjście. Ani jeden z pakowaczy nie wrócił. Trzymali się poleceń, które wydał im Jorgo.

– To nie Emma miała się pewnie czuć, lecz ja, tu, w dobrze mi znanym otoczeniu.

Nawet w chwili największej porażki umysł Konrada działał bez zarzutu.

– I nigdy nie dostalibyście nakazu rewizji mojego biura. Perfekcyjnie to obmyśliliście. Moje wyrazy szacunku.

Oparł się bezsilnie o biurko i już wtedy Roth powinien się zorientować. A cóż dopiero w chwili, kiedy Konrad odetchnął ciężko, a jego ręce bezwładnie opadły

pod stół.

Został trafiony. W czułe miejsce. Być może tak mocno, że nigdy już nie dojdzie do siebie po tym ciosie. Ale jego przemiana zaszła za szybko jak na kogoś, kto przez całe życie ćwiczył panowanie nad swoim ciałem i zmysłami.

*Popełniliśmy błąd*, pomyślał Roth i usłyszał echo własnych myśli, tylko lekko przesunięte w czasie. To Konrad powiedział:

– Ale popełniliście błąd.

W mgnieniu oka pistolet, który wyjął z ukrytej szuflady pod biurkiem, był gotowy do strzału. Konrad wycelował doktorowi Rothowi dokładnie między oczy.

## 54

Moje biurko. Moja ukryta szuflada. Moje ubezpieczenie na życie – powiedział Konrad. – W zasadzie przewidziane dla wściekłych klientów, których procesy przegrałem. A to nawet pasuje.

Adwokat uśmiechnął się smutno i ścisnął mocniej rękojeść pistoletu.

– Będę strzelał – zagroził i Roth wiedział, że nie żartuje. – Jeśli strzelę, nie będziemy już tu potrzebowali pakowaczy, tylko czyszciciela miejsc zbrodni, który wyspecjalizował się w plamach z mózgu.

– Dobrze, dobrze. – Roth podszedł bliżej z uniesionymi rękami. To była jego specjalność. Psychicznie zranieni ludzie w wyjątkowych sytuacjach emocjonalnych. – Czego pan chce? – zapytał.

– Odpowiedzi – odparł Konrad zadziwiająco spokojnie i skierował broń w pierś Jorgo. Tylko pulsująca tętnica szyjna zdradzała jego zdenerwowanie. – Dlaczego mnie pan podejrzewał?

Krótki kontakt wzrokowy z Rothem upewnił Jorgo, że powinien odpowiedzieć poważnie.

– Nie mieliśmy DNA, żadnych dowodów, dosłownie niczego. W sprawie Fryzjera dreptaliśmy w całkowitej ciemności. Z profilu osobowościowego, który sporządził sam Philipp, wiedzieliśmy, że musiał to być „starszy, raczej konserwatywnie nastawiony mężczyzna z wyższym wykształceniem i wyrobionym zamiłowaniem do porządku”.

Konrad przytaknął i wolną ręką zachęcił Jorgo, żeby kontynuował.

– Znam Emmę od lat. Nie mogłem sobie wyobrazić, że jest zaburzoną psychicznie osobą, która przypisuje sobie przestępstwa innych ludzi tylko po to, żeby wzbudzić zainteresowanie własnego męża. A jeszcze mniej prawdopodobne, żeby bez powodu stała się brutalna.

– Chyba nie – zgodził się z nim Konrad. – Już prędzej Philipp.

Jorgo skinął głową.

– Ale mój partner też nie był kimś, kto byłby zdolny do przemocy fizycznej wobec kobiet.

– Ale psychicznej – zauważył Konrad i Jorgo na chwilę się zawahał i ponownie upewnił, czy powinien mówić dalej. Albo wskazał na to wzrok Rotha, albo jako policjant wiedział, że ludziom, którzy zamierzali dopuścić się przemocy, należy mówić prawdę.

– Philipp zachowywał się podejrzanie, coraz częściej w mojej obecności podawał w wątpliwość stan psychiczny swojej żony. A kiedy wspólnie przeszukiwaliśmy Le Zen, odniosłem wrażenie, jakby szukał raczej dowodów jej paranoi niż potwierdzenia, że mówiła prawdę. I za żadne skarby nie chciał, żeby Emma dowiedziała się o istnieniu drzwi przejściowych, chociaż byłyby one balsamem dla jej udręczonej duszy. Zataił również fakt, że znaleźliśmy na ścianie resztki kleju, które prawdopodobnie pochodziły z obrazu, jakim zasłonił pan drzwi.

Jorgo wzruszył ramionami.

– Dlatego było logiczne, że chcieliśmy przeświecić krąg znajomych Emmy. I jak widać, profil pasował, jakby Philipp miał pana przed oczami, kiedy go sporządzał.

Konrad dotknął swojej szyi. Znów wymierzył w Rotha wylot lufy swojego pistoletu.

– A pan? To chyba pan jest mózgiem, który za tym stał, prawda?

– No cóż, powiedziałbym raczej, że pomógł mi przypadek. Ja też byłem uczestnikiem kongresu, na którym pani Stein przedstawiła referat o eksperymencie Rosenhana. Pewnie pan tego nie zauważył, ale wpadliśmy na siebie przy szatni. Później, kiedy policja mnie pytała, przypomniałem sobie o naszym spotkaniu. Zakładam, że nie znalazł się pan tam z powodu zainteresowania medycyną, lecz żeby zamienić klucz do pokoju w materiałach kongresowych Emmy?

Konrad przytaknął, a potem zapytał:

– Ale nie tak brzmiało moje pytanie. Chciałbym wiedzieć, czy strategia z tą pułapką idzie na pana konto?

Roth zawahał się. Z jednej strony Konrad pewnie zorientowałby się, gdyby go okłamał. Z drugiej nie mógł być szczery, nie obrażając adwokata.

Kiedy jako renomowany ekspert został oficjalnie poproszony przez policję o pomoc, przez ostatnie tygodnie gruntownie zajmował się psychiką adwokata. Przystudiował wszystkie nagrane na wideo seminaria oraz publiczne wystąpienia Konrada, które znalazł w sieci. Przeanalizował jego pedantyczny wygląd, zawsze kontrolowane, nastawione na maksymalny sukces wystąpienia, i szybko się domyślił, że największą słabością Konrada, i jednocześnie największą szansą policyjnych śledczych, była jego próżność.

– Żeby udowodnić panu przestępstwa, musieliśmy doprowadzić do sytuacji, w której poczułby się pan osobą wpływową i potężną – powiedział. – Żeby myślał



pan, że trzyma w ręku wszystkie sznurki i jest odtwórcą głównej roli w przedstawieniu, jakie zwykle pan odgrywa na sali sądowej. Byłem więcej niż pewny, że zgodzi się pan na mój pomysł repliki biura, skoro zadał pan sobie tyle trudu z hotelowym pokojem, żeby policja nie potraktowała poważnie pani doktor Stein.

– I naprawdę wcale nie chodziło o Emmę? – Konrad zamrugał. Miał wilgotne oczy, ale nie sprawiał wrażenia, że użala się nad sobą. Tak naprawdę również w takiej chwili o wiele bardziej troszczył się o Emmę.

– Ależ oczywiście, że chodzi mi i o panią doktor Stein – wyjaśnił Roth. – Dzięki replice pańskiego biura mogliśmy upiec przysłowiowe dwie pieczenie na jednym ogniu. Po strasznych wydarzeniach Emma odmawiała jakiegokolwiek formy komunikowania się. Inscenizacja doprowadziła do tego, że wreszcie się otworzyła. Oraz umożliwiła udowodnienie, że to pan jest mordercą.

Wzrok Konrada stwardniał. Przez chwilę znów wyglądał jak adwokat, który bierze świadków strony przeciwnej w krzyżowy ogień pytań.

– Skąd pan to wiedział? Skąd pan wiedział, że wezmę ze sobą dywan?

Roth pokręcił łagodnie głową.

– Nie wiedziałem. Do chwili, w której chciał pan zapobiec, żeby Emma wyczyściła plamę, szczerze mówiąc, w ogóle nie miałem pojęcia, że mogło tu chodzić o dowód. Ale wtedy zobaczyłem na zbliżeniu, jak powiększyły się panu źrenice. Sekundę później zerwał się pan na równe nogi, niemal instynktownie. Za żadne skarby nie chciał pan, żeby Emma dotknęła dywanu. Pan Kapsalos i ja zadaliśmy sobie pytanie: dlaczego? Toteż przyjrzelśmy się mu dokładniej i znaleźliśmy włosy, które prawdopodobnie Emma wyrywała sobie przy myciu.

Konrad z uznaniem poklepał wolną dłońią w stół, tak jak to robią studenci, kiedy biją brawo profesorowi.

Jorgo opuścił dłoń do kabury, co nie uszło uwagi Konrada.

– To nie jest dobry pomysł – powiedział lakonicznie, a knykcie jego palców zbieleły, kiedy jeszcze mocniej chwycił rękojeść pistoletu. Celował teraz prosto w serce policjanta.

I nagle za plecami Rotha coś zaskrzypiało. Również Jorgo odwrócił się do drzwi „kancelarii”, przez które jednak nie można było wyjść na korytarz, tylko do przebieralni. Drzwi się otworzyły.

Tak powoli, jakby ten, kto pchał je od zewnątrz, musiał zmagać się z potężnym przeciwnym wiatrem.

Albo nie miał siły.

– Emma! – krzyknął Konrad tak głośno, jakby chciał ją ostrzec, ale było za późno.

Stała już na progu, z krótkimi włosami, gołymi stopami w białych kapciach, w

szpitalnej koszuli zawiązanej na plecach.

– Czego... „tu szukasz?” – chciał prawdopodobnie zapytać, ale jego głos utonął w tłumie, jaki zapanował po tym, gdy rozległ się strzał.

Konrad patrzył zdziwiony na pistolet w swojej dłoni. Opuścił rękę i w tej samej chwili został przewrócony przez Jorgo. Policjant z wyciągniętą bronią rzucił się szczupakiem przez stół.

Rotha nie interesowała ta nierówna walka, w której adwokat, nie stawiając oporu, dał się przycisnąć do podłogi i odwrócić na plecy.

Patrzył tylko na Emmę.

Jak zatoczyła się w jego stronę.

Krew kapłała na świeżo położony parkiet. Cały strumień jak czerwony, lepki wodospad lał się na podłogę. Na skórzany fotel, na miejsce, gdzie stał stolik do kawy, a teraz leżał tylko dywan *enso*, na który w końcu upadła.

### Cztery tygodnie później

Numer trzy – powiedziała kobieta z zapadniętymi policzkami i męską fryzurą, przyjmująca odwiedzających przy bramce bezpieczeństwa. Była wysoka, korpulentna, miała pożółkłe od nikotyny zęby i dłonie, którymi mogłaby objąć piłkę do koszykówki. Ale była uprzejma, co graniczyło z cudem, skoro dzień w dzień musiała pracować w skrzydle o zaostrozonym rygorze więzienia dla psychicznie chorych.

– Ma pani pięć minut. – Funkcjonariuszka wskazała na miejsce z numerem nad szybą, która oddzielała wolny świat od aresztowanych. Konrad już tam siedział.

Błady jak ściana, wychudły. Ogolono mu brodę, ale to go jeszcze bardziej postarzyło. Na jego widok można było pomyśleć o śmierci i o tym, jak niektórych ludzi śmierć naznacza już za życia.

Niemal poczuła lekki zapach rozkładu, ale oczywiście było to tylko złudzenie, zaburzenie węchowe, bo przecież pierś Konrada unosiła się i opadała, drżały mu nozdrza, prawie tak samo silnie jak pokryta starczymi plamami dłoń, w której trzymał słuchawkę telefonu. Z dużo mniejszą siłą niż wtedy pistolet. Nic dziwnego, że pielęgniarze nazywali czasem osadzonych zombi.

Żywe trupy. Faszzerowane lekami uspokajającymi, odseparowane do końca życia.

Nawet tutaj, w skrzydle dla odwiedzających, gdzie krewnych od szczególnie niebezpiecznych przypadków oddzielała szklana ściana, normalny człowiek bał się tak samo, jak na myśl o tym, że po twarzy chodzi mu jadowity pająk.

Emma wzięła do ręki słuchawkę i usiadła.

– Dziękuję ci – powiedział mężczyzna, który ogolił cztery kobiety, trzy z nich zamordował, a jej zgotował najgorszą noc w życiu. – Twoje odwiedziny bardzo dużo dla mnie znaczą.

– To wyjątkowa sytuacja – odparła Emma bezbarwnym tonem. – Przychodzę tu tylko ten jeden raz, to się już nigdy nie powtórzy.

Konrad skinął głową, jakby się tego spodziewał.

– Niech zgadnę. Przysłał cię doktor Roth. Uważa, że takie definitywne zamknięcie pewnego etapu może pomóc ci w terapii?

Emma nie mogła nie czuć podziwu dla tego człowieka, którego dawniej darzyła największym zaufaniem. Więzienny szpital w krótkim czasie odebrał Konradowi zdrowie, dostojność i młodzieńczy wdzięk, ale nie inteligencję.

– Czeka na zewnątrz – powiedziała zgodnie z prawdą. Z Samsonem, który znowu nie odstępował jej ani na krok. I Jorgo, od którego Emma chyba już nigdy się nie uwolni.

Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha i podrapała się w lewy łokieć. Dopiero niedawno zdjęto jej opatrunek i brzegi pooperacyjnych blizn były jeszcze wyraźnie widoczne.

Izolátky na oddziale dla niebezpiecznych pacjentów w Klinice Parkowej zamykano tylko na noc, mogła wówczas opuszczać swój pokój. Jednak w jej stanie przejście kilku metrów do sali gimnastycznej zajmowało ponad dziesięć minut.

Postrzał, który niechcący otrzymała z broni Konrada, kiedy nagle pojawiła się w repli biura, do końca życia będzie jej go przypominał, kiedy tylko zegnie rękę. Ale i tak by go nie zapomniała, nawet gdyby nie roztrzaskał jej stawu.

– Przepraszam. Nie chciałem cię zranić – powiedział głosem, który ostatni raz słyszała w półśnie. W Klinice Parkowej. Wspomnienie, jakie wywołał ton jego głosu, było tak gwałtowne, że Emma znów poczuła w ustach smak kwasu żołądkowego i wymiocin, jak wtedy, kiedy musiała zwymiotować w szpitalnej sali. Doktor Roth sądził, że to lekarstwa, ale Emma wiedziała lepiej. To głos Konrada przeszkadzał jej całkowicie stracić przytomność. I to właśnie treść jego przyznania się do winy najpierw wyrzuciła jej żołądek do góry nogami, a potem pozwoliła jej się ostatecznie ocknąć. – O co tak naprawdę chodzi? – usłyszała pytanie Konrada i zmarszczyła czoło.

– Słucham?

– Co naprawdę cię tu sprowadza? Jesteś uparta, zawsze to w tobie podziwiałem. Twoją siłę, jeszcze kiedy byłaś dzieckiem. Nie dałabyś się zmusić do przyścia tutaj, gdyby tobie samej coś nie leżało na sercu.

Emma odetchnęła głęboko i znów poczuła podziw. Nigdy nie stracił daru czytania w niej jak w otwartej książce.

– Właściwie to nieważne, po tym wszystkim, co się stało. Ale nie daje mi spokoju... jedno pytanie.

Konrad uniósł brwi.

– Jakie pytanie?

– Philipp! Dlaczego go nie zabiłeś?

Nerwowo skubała kciuk. Jej paznokcie znów były pomalowane przezroczystym lakierem i starannie przycięte. Spryskała się perfumami i ogoliła nogi. Zewnętrzne oznaki zdrowia psychicznego. W środku jednak czuła się tak, jakby właśnie dopadło ją silne przeziębienie. Miała uczucie, jakby napięły się jej mięśnie twarzy i rozbolewały uszy, być może dlatego, że nie chciała słyszeć odpowiedzi Konrada.

– No bo nie całkiem rozumiem: zabiłeś te wszystkie kobiety, ale nie faceta, którego najbardziej nienawidziłeś. Przecież mnie zdradzał. Czy nie byłoby dużo prościej usunąć z drogi jego?

Konrad smutno pokręcił głową.

– Skarbie, czy to naprawdę do ciebie nie dociera? Chciałem oszczędzić ci bólu, a nie go zadać. Musisz mi uwierzyć, że zawsze cię kochałem. Ale nigdy nie postępowałem egoistycznie, nawet wtedy, kiedy zadbałem o to, żebyś pozostała jedynaczką.

Nagle Konrad znów miał na głowie kask motocyklowy i nie trzymał już w dłoni słuchawki, lecz strzykawkę z długą igłą, która srebrzyście błyszczała w świetle księżyca.

– *Kładź się już do łóżka, Emmo* – usłyszała głos Arthura. – *Zaraz wracam.*

Emma zamrugnęła i wywołana wspomnieniami wizja zniknęła.

– Co było w strzykawce? – zapytała Konrada za szybą.

– Środek wczesnoporonny – przyznał szczerze. – Wstrzyknąłem go do butelki z wodą, którą twoja matka postawiła obok łóżka. Proszę, nie gardź mną. Jak mógłbym pozwolić, żeby urodziła drugie dziecko? Prawdopodobnie musiałyby znieść podobne psychiczne ciosy, jakie twój ojciec zadawał tobie? Co to za człowiek, który chce sprawić ból własnej córce tylko dlatego, że ona się boi?

– Jesteś chory – stwierdziła Emma, a potem dodała: – To byłeś ty! To ty zamieniłeś Sylvii tabletki.

– Żeby Philipp jeszcze bardziej nie zranił cię tym, że zrobił jej dziecko.

Palce Emmy zacisnęły się na słuchawce.

– Opowiedziałeś jej o Arthurze, żeby tym bardziej podważyć moją wiarygodność. A później powiedziałeś jej, że to Philipp, tylko po to, żeby coś sobie zrobiła.

– Chciałem tylko, żeby się od niego odczepiła. Naprawdę nie mogłem się spodziewać, że popełni samobójstwo.

– A mimo to masz ją na sumieniu. Wiesz, że jesteś chory umysłowo?

– Tak – przyznał Konrad. – Ale nigdy nie byłem samolubny, słyszysz? Chodziło mi tylko o twoje dobro. Nawet jeśli to oznaczało, że musisz być razem z Philippem. Prostakiem, nic niewartym nierobem.

Przez krótką chwilę wyglądał tak, jakby zaraz miał napluć na dzielącą ich

szybę.

– Ten drań zostawił cię samą, kiedy popadłaś w tarapaty. Musiałem wtedy zakraść się do domu. Pilnowałem cię. Nawet zabrałem przesyłkę z twojego biurka i na kilka godzin ukryłem się z nią w szopie w ogrodzie, żeby Philipp myślał, że wszystko ci się pomieszało. Żeby nie zostawił cię samej przez weekend w takim stanie! A mimo to ta świnka pojechała. Bez serca, bez skrupów.

– Ukrywałaś się w moim domu? – zapytała Emma.

*Jak często obserwowałaś mnie potajemnie przez te wszystkie lata?*

Wiedziała, że to kolejna przerażająca myśl, jak ta o jej włosach, które Konrad wplótł w dywan *enso*. Myśl, która przy dużej dozie szczęścia kiedyś pewnie zblednie, ale nigdy nie straci do końca swojej potworności.

– W szopie. W piwnicy. Podczas waszej rozmowy stałem w spiżarni, oddzielony od was tylko cienkimi drzwiami – potwierdził Konrad.

– Tak jak wtedy, za przechodnimi drzwiami w Le Zen – wykrztusiła Emma.

Oczy Konrada zwilgotniały.

– Małeńka, naturalnie, że musisz teraz mną pogardzać. – Drżała mu dolna warga. Z ust zwisała nitka śliny i nie robił nic, żeby ją wytrzeć. – Chciałem, żeby przestał cię ranić. Przecież posłałem mu włosy tylko po to, żeby wiedział, jakie to będzie miało konsekwencje, jeśli cię zdradzi. A ta świnka wykorzystwała je do tego, żeby cię jeszcze bardziej dręczyć. Przepraszam.

– Za co mnie przepraszasz? – zapytała Emma. Twardo postanowiła, że będzie na niego wściekła. Jadąc tu, odbyła w myślach całą tę rozmowę i opracowała jej koniec. W myślach widziała nawet, jak zrywa się z miejsca i wali słuchawką w szybę, raz za razem, tak długo i mocno, aż szyba pęka, a ona rzuca się na Konrada i kawałkiem szkła przecina mu gardło.

Ale teraz, kiedy tak siedział przed nią jak mały chłopiec, któremu odebrano ulubioną zabawkę, czuła w sobie tylko wielką, naznaczoną współczuciem pustkę.

– Nie żałujesz, że zabiłeś te kobiety? – zapytała i zobaczyła, jak po jego policzku spływa łza. – Ani tego, że prześladowałeś mnie przez całe moje życie?

Pokręcił głową.

– I nie żałujesz, że mnie ogłuszyłeś, zgwałciłeś i wywlokłeś z hotelu? I w ten sposób zrobiłeś ze mnie wrak człowieka, człowieka który był zdolny rzucić się z nożem na niewinne osoby?

– Nie – wyszłochał. – Żałuję tylko, że nie wyznałem ci miłości o wiele wcześniej. Być może wtedy mielibyśmy szansę.

Emma zamknęła oczy, przesunęła po nich wierzchem dłoni i odwiesiła słuchawkę.

*Oczywiście, pomyślała. Jest chory. Kto mógłby wiedzieć to lepiej ode mnie?*

Otworzyła oczy i spojrzała na niego ostatni raz.

I chociaż nigdy się tego nie uczyła, nigdy w życiu nie próbowała, wyczytała z ruchu warg Konrada to, co powiedział do niej zza szyby:

– Z miłości, Emmo. Robiłem to wszystko tylko z miłości.

*Największe przestępstwa popełniane są z miłości.*  
Viktor Larenz



## **Od Autora**

### **Dziesięć lat z Fitzkiem**

*Kiedy miałem dziesięć lat, chodziłem do klasy 5b berlińskiej Waldschule i byłem tak lubiany, jak tylko może być lubiany ktoś, kto musi donaszać ciuchy swojego o siedem lat starszego brata, a jeśli idzie o fryzurę (made by mama), wlecze się w ogonie, zapóźniony o całe dziesięciolecie.*

*Wyobraźcie sobie chłopaka z kluchowatym nosem, z włosami ostrzyżonymi jak spod donicy, w skórzanych spodniach i z aluminiową aktówką, który wolny czas spędza najchętniej w szkolnej bibliotece. Naprawdę zgadliście: byłem klasowym mołem książkowym, którego podczas gry w dwa ognie nie chciano mieć w drużynie, chyba że jako mięso armatnie.*

*No tak, a potem przyszedł Ender.*

*Drugoroczniak, turecki Niemiec, największy gbur w szkole. Kiedy wszedł do klasy, myślałem, że to jakiś ojciec przyszedł zwolnić z lekcji swoje dziecko. Potem ten cool gość został posadzony obok mnie.*

*Nauczycielka pomyślała pewnie, że kujon (czyli ja) może będzie miał dobry wpływ na ten trudny przypadek (czyli Endera). Ale oczywiście stało się całkiem odwrotnie. Ender odmienił moje życie, przede wszystkim dlatego, że mnie polubił, co niewątpliwie brało się też stąd, że pomagałem mu w odrabianiu lekcji. I wiercie mi, robiłem to bez przymusu i wcale nie musiałem mu za to oddać trampek. Wprost przeciwnie – to od niego dostałem pierwsze adidas do pomalowania, które przyniósł mi ze sklepu sportowego swojego ojca, żeby mnie uwolnić od moich wstrętnych trepów.*

*A ponieważ on, taki popularny, został moim przyjacielem, miało to wpływ na tych uczniów, którzy do tej pory nawet mnie nie zauważali.*

*Ender nauczył mnie wielu pożytecznych rzeczy, niezbędnych w życiu codziennym uczniowi szkoły podstawowej: na przykład, jak się pali papierosy (nie było dobrym pomysłem próbowanie tego pod halą gimnastyczną, gdzie nauczyciel gimnastyki akurat uprawiał jogging). Wynosił też z domu kasety wideo ojca, przeznaczone dla dorosłych (Rollerball, Klasa 1984, Świat żywych trupów i – oczywiście – Ucieczka z Nowego Jorku z Kurtem Russellem). Być*

może teraz rozumiecie, skąd się wzięło moje zamiłowanie do thrillerów. Mówiąc krótko: Enderowi zawdzięczam wiele i chcę, żebyś wiedział, stary, że wspaniale jest przyjaźnić się z Tobą przez te wszystkie lata. Oczywiście w najbliższą niedzielę znów Cię odwiedzę w areszcie śledczym (żart!).

A teraz przyszedł czas na świętowanie innego dziesięciolecia. I mam pełne prawo twierdzić, że ostatnie lata zaliczają się chyba do najbardziej intensywnych, a także do najszcześniejszych.

Często słyszę pytanie, co się zmieniło w moim życiu, odkąd jestem pisarzem. Moja standardowa odpowiedź brzmi: niewiele. Wciąż jeszcze jeżdżę ferrari i nadal mieszkam w dwudziestopokojowej willi w dzielnicy Grünewald. (Na Facebooku musiałbym teraz wstawić roześmianą emotikonkę, żeby było jasne, że to też jest żart. Kurczę, a tak swoją drogą, ciekawe, kiedy po raz ostatni tak się śmiałem, jak ta nadużywana przez wszystkich emotikonka ze śmiejącą się do łez twarzą, ale odbiegam od tematu).

Tak naprawdę moje życie w ciągu ostatniej dekady zmieniło się ogromnie, głównie dlatego, że poznałem mnóstwo wspaniałych ludzi, których nigdy nie dane byłoby mi spotkać, gdyby nie moja działalność pisarska. A przede wszystkim Was, moi Czytelnicy!

Przyznaję: kiedy w roku 2006 w debiutanckiej powieści *Die Therapie* podałem swój adres mejlowy, byłem bardzo naiwny. Miałem nadzieję, że dostanę parę mejli, no, może kilkanaście, w których Czytelniczki i Czytelnicy wytkną mi błędy ortograficzne, wypowiedzą się krytycznie na temat treści albo wyrażą słowa pochwały. Ale byłem w błędzie.

Okazało się bowiem, że przyszły mejle takie jak ten, które pokazały mi, dlaczego pisarstwo jest najpiękniejszym zawodem świata:

Witam Pana!

Kiedy przed blisko dwoma laty czytałam *Die Therapie*, kończyłam akurat szkołę średnią. Nie miałam pojęcia, co dalej robić z moją przyszłością, i bujałam w obłokach. Było to straszne uczucie, ponieważ każdy snuł jakieś plany życiowe, a ja zwyczajnie nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Kiedy przeczytałam *Die Therapie* do końca, coś we mnie zaiskrzyło [...] Dzisiaj jestem właśnie w trakcie nadrabiania matury i prawdopodobnie za rok rozpocznę studia na psychologii. A zawdzięczam to wyłącznie Panu i Pańskiej *Die Therapie*. Pasjonująca książka, sięgająca głęboko w ludzką psychikę, uświadomiła mi, co naprawdę chcę w życiu robić. Pańskie książki odmieniły moje życie w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa i za to chciałabym Panu

podziękować!

Serdecznie pozdrawiam  
Simone B.

*Mała uwaga: proszę mnie źle nie zrozumieć. Młoda czytelniczka się myli. Swój pozytywny zwrot zawdzięcza ona nie mnie, tylko wyłącznie sobie. Ja miałem jedynie szczęście, że mogłem trochę potowarzyszyć jej na tej drodze. Tak jak Britcie S.:*

Drogi Sebastianie,

w roku 2013 mój dwuletni wówczas syn dosłownie wyrwał się śmierci spod łopaty. Godzinami siedziałam w szpitalu przy jego łóżku i zostawiałam go samego tylko wtedy, gdy pielęgniarki mnie wyrzucały. Podczas jednej z takich przymusowych „przerw” włóczyłam się po mieście i w księgarni przypadkiem natknęłam się na jedną z Twoich książek. Kiedy wróciłam do szpitala, dzięki *Odpryskowi* udawało mi się rzeczywiście lepiej znieść własną nerwowość i ciężką atmosferę na oddziale intensywnej terapii i mogłam pomyśleć o czymś innym.

*Do dnia dzisiejszego otrzymałem ponad czterdzieści tysięcy mejli. Nie wszystkie są takie poruszające, ale i tak wiele z nich zawiera bardzo osobiste historie. I po „dziecięcium latach z Fitzkiem” (dla niektórych krytyków jest to synonim „największego wymiaru kary”) pragnę podzielić się z Wami niektórymi z nich.*

*Żeby pasowało to do mojego dziesięciolecia, wybrałem dziesięć listów, dziesięcioro Czytelniczek i Czytelników, którzy – niejako w imieniu wszystkich pozostałych – udzielą mi bardzo osobistej odpowiedzi na pytanie, na jakich drogach ich życia dane mi było im towarzyszyć.*

*Wiele mejli otrzymałem, kiedy w kwietniu 2016 roku na portalach społecznościowych poinformowałem, w jaki sposób chcę uczcić swój pisarski jubileusz. I nic w ostatnich czasach nie przyszło mi z takim trudem, jak dokonanie wyboru spośród tych wszystkich godnych zacytowania listów. Tu i ówdzie trochę skracałem oraz – częściowo na życzenie autorów, a częściowo też wówczas, kiedy odnosiłem wrażenie, że tak należy – rezygnowałem z podawania prawdziwych nazwisk i miejsc zamieszkania.*

*Jeszcze jedna mała, ale ważna informacja: wszystkie zacytowane listy zostały*

*zaadresowane bezpośrednio do mnie. Ale analizując ich treść, doszedłem do wniosku, że są one skierowane nie tylko do mnie. To są listy, jakie się pisze do każdego ulubionego autora.*

*Jestem pewien, że wiele moich koleżanek i kolegów otrzymuje podobne mejle. Albo otrzymaliby, gdyby szukali kontaktu z Czytelniczkami i Czytelnikami. Dlatego wszystkim, którzy publikują książki, radzę, żeby podawali adres kontaktowy. I żeby odpowiadali na mejle!*

*Bo jeśli tego nie zrobicie... sami poczytajcie, co was omija:*

Drogi Panie,

chciałabym Panu serdecznie podziękować. Przed blisko ośmioma tygodniami przeczytałam Pański najnowszy thriller w ciągu trzech dni i to uchroniło mnie przed jednym czy drugim atakiem nerwowym, a także stłumiło nieodpartą chęć skoczenia komuś do gardła. Ponieważ dokładnie osiem tygodni temu leżałam na porodówce i oczekiwałam narodzin córki. To, co brzmi tutaj tak miło i prosto, objawiło się jako potwornie nieprzyjemne i denerwujące. Nie chcę wnikać w szczegóły, bo jak mi mówi moje doświadczenie, niewielu mężczyzn ma ochotę czegoś takiego wysłuchiwać. Krótko mówiąc: człowiek cierpi bóle, musi godzinami leżeć bez ruchu, a w tak zwanym międzyczasie spacerować (co dla wieloryba na słoniowych nogach również nie jest szczególnie ekscytujące). Trzy dni bez wartych wspomnienia wydarzeń. Kobieta w trakcie bólów porodowych może się wydawać agresywna. Niech mi Pan wierzy: kobieta rodząca bywa niebezpieczna. Ale, dzięki Bogu, miałam przy sobie Pańską książkę, którą oboje z mężem czytaliśmy na zmianę. Podobnie jak wszystkie Pana wcześniejsze książki, ta również ma w sobie takie napięcie, że czyta się ją lekko, jak po maśle, i człowiek po prostu traci poczucie czasu. Nasza córka natomiast w ogóle nie chciała wyjść, nie mówiąc już o tym, żeby to szło jak po maśle, a więc wylądowałyśmy na sali operacyjnej. Ale to już całkiem inna historia. Najważniejsze, że przeczytaliśmy wspaniałą książkę i urodziła się nam najwspanialsza na świecie córka. Położne uważały wprawdzie za trochę dziwaczne, żeby na sali porodowej czytać opowieść o uprowadzeniu dziecka, a niektóre wręcz twierdziły, że nasze dziecko właśnie dlatego nie ma ochoty przyjść na świat. A więc w najbliższym czasie zgłosi się do Pana przedstawiciel władzy i w przyszłości będzie Pan musiał dołączać do swoich książek ostrzeżenie: To my jesteśmy winne!

Serdeczne pozdrowienia, Andrea S.

PS Z następną książką może się Pan na razie nie śpieszyć. Bo w ciągu najbliższych czterech do sześciu miesięcy niestety nie będę miała czasu na czytanie.

Drogi Panie,

na początek śpieszę powiadomić, że pochłaniam książki od sześćdziesięciu lat. Z Heinrichem Böllem spędziłem swego czasu mnóstwo godzin. Wśród wielu ton książek, jest on jednym z nielicznych wybrańców, których powieści się nie pozbyłem.

Chociaż zachorowałem śmiertelnie na raka i mój organizm powoli odmawia posłuszeństwa, nadal czytam. Stosy książek na nocnym stoliku znikają. Żeby sprawić przyjemność żonie, kupiłem sobie tablet. Kiedy poziom morfiny na to pozwala, mam teraz nawet czas pooglądać telewizję. Co za ogłupiające zajęcie! Zaprogramowałem sobie tylko te kanały, na których można zobaczyć coś wartościowego (Arte, 3Sat i dobre filmy dokumentalne na innych kanałach), na przykład odpowiadające moim nastrojom u schyłku życia programy satyryczne czy kabarety, a także dobry niemiecki teatr [...].

Któregoś razu zobaczyłem Pana w telewizji i natychmiast wszystko o panu wygooglowałem. Kupiłem Pana książki, ściągnąłem na tablet i właśnie dwie godziny temu skończyłem czytać *Noah*.

To, co Pan napisał, wprost niemal zaparło mi dech w piersi, a teraz unieruchomiło klawiaturę mojego iPada. Żadna książka dotychczas nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia. Pańskie pomysły uporczywie krążą mi po głowie. Cieszę się, że dane mi było jeszcze coś takiego przeczytać, i za to Panu dziękuję!

Niestety, teraz jestem jeszcze smutniejszy, kiedy rozmawiam z moją nastoletnią wnuczką. Wydaje nam się, że jesteśmy ludźmi na wskroś „ekologicznymi” i świadomymi roli naturalnego środowiska, świata. Nasz ślad ekologiczny zostawiamy między Zurychem a Hamburgiem.

Pańską „słuszną” w wymowie książkę *Noah* posłałem mojemu przyjacielowi z lat szkolnych. Był on dawniej jednym z szefów firmy McKinsey Schweiz i głosił potrzebę postępu! Niech mu się teraz odbije czkawką.

Pomyślności dla Pana i Pańskiej rodziny!  
F.E., Zurych

Cześć, Sebastianie,

mam na imię Janine, dwadzieścia osiem lat i pracuję w kwiaciarni jako florystka. Mój syn, który ma prawie dziesięć miesięcy, najchętniej usuwa Fitzka z nocnego stolika mamy.

Nie mam żadnych złych doświadczeń, po których musiałabym szukać pocieszenia w Fitzku, nie przeżyłam żadnych strasznych rzeczy, które bym teraz odnajdowała w Twoich książkach, po prostu dzięki Tobie odkryłam w sobie miłość do czytania.

*(UWAGA, niebezpieczeństwo spojlera!*

*Pomińcie następny mejl, jeśli jeszcze nie znacie powieści Seelenbrecher i chcielibyście ją jeszcze kiedyś przeczytać.)*

Drogi Sebastianie!

Jesienią 2010 roku zdecydowałam się poddać leczeniu na oddziale psychiatrycznym pewnego dużego szpitala, ponieważ cierpiałam na zaburzenia lękowe, z którymi sama nie umiałam sobie poradzić. Potem okazało się, że była to najlepsza możliwa decyzja – znów jestem zdrowa i mam wolną głowę. Pokonałam problem, nie stosując żadnych leków, a tylko dzięki rozmowom i ćwiczeniom mentalnym.

Pewnego wieczoru nie mogłam zasnąć i przeszukiwałam regał z książkami w sali wypoczynkowej. Wtedy znalazłam *Seelenbrecher* niejakiego Sebastiana Fitzka, który do tej pory był mi zupełnie nieznan. Pochłonęłam książkę w ciągu dwóch nocy i pomyślałam: tutejszy personel musi mieć naprawdę duże poczucie humoru, żeby grupie neurotyków, schizofreników i pacjentów z zespołem wypalenia zawodowego podsuwać akurat thriller, którego akcja rozgrywa się w psychiatryku. A ta powieściowa terapeutka to dopiero prawdziwa wariatka!

W każdym razie poleciłam gorąco książkę wszystkim współpacjentom i wielu z nich polubiło ją tak samo jak ja. Tylko że potem już nie dowierzaliśmy trochę naszym terapeutom.

Wreszcie sześć tygodni terapii dobiegło końca i dostałam szczególne „zadanie domowe”. Miałam napisać, jakie są moje konkretne cele na najbliższe lata. U mnie były to: urodzić dziecko i samej napisać kryminał. Pomyślałam: skoro Fitzek potrafi, to i ja potrafię – w końcu znam sprawy od środka... :-)

Tymczasem – pięć i pół roku później – urodziłam trójkę dzieci i opublikowałam dwa kryminały w niewielkim wydawnictwie. Pierwszy rozgrywa się oczywiście w wariatkowie, drugi po części również.

Pozdrawiam serdecznie,  
Elisabeth B.

Witam Pana,  
chciałbym Panu o czymś opowiedzieć.

Stacjonowałem przez trzy miesiące w Kabulu. Spotkałem tam angielskiego żołnierza, i niech Pan zgadnie, jaką książkę czytał? Oczywiście Pańską. Uznałem to za zabawne, czy może raczej fascynujące, że czytał akurat *Amokspiel*. No bo skoro walczyliśmy tam czysto teoretycznie, to równie dobrze mógłby czytać *Harry'ego Pottera* albo „Playboya”.

Zagadnąłem go na ten temat i okazało się, że ma ze sobą wszystkie książki, jakie Pan napisał. Naprawdę wszystkie.

Powiedział, że Pańskie książki mają w sobie coś magicznego. Muszę powiedzieć, że nie jestem człowiekiem, który szczególnie dużo czyta, a także nie wierzę w magię. Mimo to ten kolega namówił mnie, żebym przeczytał Pańskie książki.

Chciałem Panu podziękować. Za to, że o drugiej w nocy piszę mejla do całkiem obcej osoby, i za to, że przyniósł Pan temu angielskiemu żołnierzowi ulgę w jego wyjątkowej psychicznej sytuacji.

W nadziei, że Pan w nocy śpi,  
z serdecznymi pozdrowieniami,  
Z.V.

Drogi Panie,

nigdy dużo nie czytałam. Oczywiście, od czasu do czasu zabłąkała się w mojej torbie jakaś książka, najczęściej podczas urlopu, często z powodu szkoły. Pewnego jesiennego deszczowego dnia wpadła mi w ręce *Seelenbrecher*. Zaczęłam czytać rankiem, a wieczorem z wypiekami na twarzy pochłaniałam ostatnie linijki. W ciągu jednego dnia przeczytałam całą książkę! Być może dla wielu miłośników czytania to oczywiste, dla mnie jednak była to premiera.

Od tamtej pory czytam jedną książkę po drugiej, zainteresowałam się literaturą, zaczęłam sama pisać krótkie opowiadanka, w końcu zaczęłam

studiować germanistykę. Nie, nie na kierunku nauczycielskim. Choć nawet moi ówcześni opiekunowie na uniwersytecie próbowali mi wmówić, że z tymi studiami skończę w najlepszym razie jako taksówkarka. (Nie, żebym miała coś przeciwko taksówkarzom, ale nie lubię szybkiej jazdy, jazdy w nocy czy na autostradzie podczas deszczu).

Po studiach odbyłam praktykę w lokalnej gazecie. Rok później zaczęłam tam staż, a dzisiaj, mając dwadzieścia siedem lat, mogę o sobie powiedzieć, że jestem wykształconą redaktorką. Przed ośmiu laty wszystko to było czymś nieskończenie odległym. Marzeniem, o którym nawet nie miałam śmiałości marzyć.

Mimo to nie spoczęłam na laurach: moim największym celem życiowym jest widzieć na półkach wszystkich księgarni własną książkę.

Może i nie ponosi Pan całkowitej odpowiedzialności za moje dokonania, ale swoją pracą popchnął mnie Pan we właściwym kierunku.

Wszystkiego najlepszego i pozdrawiam serdecznie,  
Maxi O.

Drogi Sebastianie!

Był koniec kwietnia 2015 w mieście Tena w Ekwadorze i właśnie miałem pierwszy wolny dzień od wielu miesięcy.

Dzień przedtem stanąłem do walki z ekwadorskim mistrzem w kickboxingu wagi półśredniej, żeby zdobyć pieniądze dla zadłużonej, ciężko chorej kobiety.

Tym, co kosztowało mnie znacznie więcej wysiłku niż codzienny pięciogodzinny trening i dieta połączona z zakazem picia alkoholu, była szarpiąca nerwy organizacja imprezy.

Wyciągnąłem z tego naukę, że wprawdzie mogę znów dać się sprać w szczytnym celu, ale nigdy już nie zgodzę się organizować imprezy z jakąkolwiek instytucją publiczną.

Najważniejsze, że dzięki pomocy licznych przyjaciół walka w końcu się odbyła i rzeczywiście udało się nam zebrać pieniądze na spłacenie wszystkich długów wspomnianej kobiety.

Szczęśliwy, że wszystko się tak udało, postanowiłem pojechać do odległego zaledwie o trzy godziny jazdy Baños – kurortu z salonami masażu i basenami termalnymi – żeby trochę wzmocnić zmaltretowane ciało.



Pod wieczór odwiedziłem mojego niemieckiego przyjaciela w jego pizzerii, żeby podziękować mu za sponsoring, i przy okazji przejrzałem regał z książkami, które goście mogli wypożyczać.

*Der Augensammler*, tak brzmiał tytuł pierwszej książki, która wpadła mi w rękę. Sebastian Fitzek. Hm, nigdy nie słyszałem. Pomyślałem, że przecież chętnie czytam thrillery i być może przed snem zajrzę do książki, jeśli nie będę zbyt zmęczony.

Od 22.00 do 3.30 *Der Augensammler* nie pozwalał mi zasnąć. Nie mogłem odłożyć książki i następnego dnia przespałem swój dyżur w kafejce internetowej. Bez namysłu napisałem do Ciebie mejla, w którym poprosiłem Cię o pisemne usprawiedliwienie za niemożność stawienia się w pracy, i natychmiast otrzymałem odpowiedź, że z powodu słabej znajomości hiszpańskiego nie możesz się, niestety, podjąć napisania listu do mojego pracodawcy. Od tamtego czasu przeczytałem wszystkie Twoje powieści, ale *Der Augensammler* pozostał moim faworytem.

Serdecznie pozdrawiam,  
Hannes K.

Drogi Sebastianie,

mam nadzieję, że wybaczysz mi tak osobisty ton, ale ponieważ znamy się już tyle lat, pomyślałam, że przyszła pora, żebyśmy zwracali się do siebie po imieniu. Oczywiście nie znamy się w rzeczywistości, ale Twoje książki towarzyszą mi od dawna. Również i tym razem nie mogę sobie odmówić przyjemności napisania do Ciebie paru słów na temat Twojego ostatniego dzieła. Czytanie tej książki było dla mnie czymś całkiem innym niż dotychczas. Mam za sobą trudny rok. Śmierć w rodzinie, wypadek samochodowy... i wreszcie, pierwszego września mój wspaniały synek, który ma właśnie siedem lat, nagle przestał się normalnie poruszać. Paraliż lewej strony ciała. Podejrzenie udaru mózgu. Zdiagnozowano zapalenie opon mózgowych i neuroboreliozę. Spędziliśmy prawie cały miesiąc w szpitalu. Straszliwie się bałam. Czy wyjdzie z tego? Czy znów będzie mógł mówić? Był niesamowicie dzielny. Nie uronił ani jednej łzy. Nic nie było w stanie mnie zrelaksować, żaden film, żadna książka... I oto wchodzisz do akcji Ty. Pewnego nerwowego dnia, takiego jak wszystkie poprzednie, przyszła do mnie moja siostra i powiedziała: „Mam akurat to, czego teraz potrzebujesz”. I wręczyła mi Twoją nową książkę.

W ten sposób podarowałeś mi kilka godzin, godzin, podczas których mogłam się odprężyć, i był to balsam na moją duszę. Dziękuję ci za to.

Do następnego razu. Wszystkiego najlepszego,

Tina

PS Mój syn ma się dobrze.

Witam Pana,

nazywam się Anja P., obecnie jestem na stażu i mam dwadzieścia jeden lat.

Mówiąc szczerze, nie mam do zaoferowania ani pełnej napięcia, ani wzruszającej, ani tym bardziej totalnie fascynującej historii. Pańskie książki wprowadziły mnie zwyczajnie w świat thrillerów i psychothrillerów.

Cześć, Sebastianie,

uczestniczyłeś w najważniejszej podróży mojej i mojej przyszłej żony. Towarzyszyłeś nam mianowicie w okresie ciąży, kiedy czekaliśmy na narodziny naszego syna Erika.

Moja lepsza połowa jest bibliotekarką, toteż jest dziedzicznie obciążona, ale ja również wiele wtedy czytałem, kiedy spędzaliśmy wieczory na balkonie. To moja ukochana polecała mi lekturę. W ten sposób poznałem Twoje książki, na początek *Noah*.

Poruszanie się było coraz bardziej męczące, wyobraźnia jednak dzięki Tobie odbywała dalekie podróże. Nam, a przede wszystkim mojej pani, bardzo dobrze to zrobiło.

Siódmego października 2015 roku przyszła pora i pewien mały człowiek stał się centrum naszego życia. I jeszcze raz odżyły w nas emocje związane z lekturą *Pasażera 23*.

Siódmego maja 2016 roku wzięliśmy ślub, stoliki na naszym weselu nie miały numerów, tylko nazwiska autorów: Carroll, Ende, Fitzek, Golding, Lindgren, Mann, Martin, Orwell.

Wybranie Twojego nazwiska było pomysłem mojej przyjaciółki, a wkrótce żony, Andrei.

Z przyjacielskim pozdrowieniem

Daniel M.

Drogi Sebastianie,

dobry początek najczęściej jest rzeczą najtrudniejszą, czy to w liście, mejlu, pracy zawodowej czy w prawdziwym życiu. Jakiś czas temu na początku tego listu przedstawiłbym się jako osoba wysportowana, inteligentna i dowcipna, która wszystko ogarnia, a do tego fantastycznie wygląda. Pewnego dnia jednak pojąłem, że droga do spełnionego istnienia może prowadzić jedynie przez podstawową zasadę: bądź uczciwy wobec siebie samego! Najgorsza prawda zawsze jest lepsza niż jakiegokolwiek kłamstwo.

Dlatego postaram się przedstawić w sposób możliwie prosty, tak jak robiłem to codziennie w ciągu ostatnich kilku miesięcy: jestem Fabian, mam trzydzieści cztery lata, jestem żonaty, mam trzyletniego syna i jestem politoksykomanem, ze szczególnym upodobaniem do kokainy.

W ciągu ostatnich osiemnastu lat pakowałem w siebie wszelkie możliwe środki odurzające, straciłem z oczu prawdziwe życie i byłem bliski całkowitego samounicestwienia. Mógłbym teraz spróbować nakreślić moją drogę od samego początku, ale nie o to chodzi w tym liście. Chciałbym natomiast od razu przejść do tego, jak Ty, Sebastianie, stałeś się częścią mojego życia i sprawiłeś, że, po pierwsze, odnalazłem wewnętrzny spokój, a po drugie, odkryłem w sobie nowe zainteresowania, dzięki czemu stałem się na powrót człowiekiem, którego kochają, a także potrzebują moja żona i syn. W liście tym pozostanę przy formie „ty”, mam nadzieję, że tak jest w porządku. Z szacunku wolałbym przyjąć formę „pan”, ale mam poczucie, że piszę ten list raczej do kumpla niż do pisarza. Bez obawy, to nie będzie panegiryk fanatycznego wielbiciela, nie jestem też z tych fanów, którzy marzą o wytatuowaniu sobie gdzieś Twojego nazwiska. A więc bądź pewny, jeśli na obchodach dziesięciolecia Twojego pisarstwa w Bochum (gdzie będę obecny) na scenę pofruną różowe stringi, to nie będą one moje. :-)

Wszystko zaczęło się w grudniu 2015 roku, kiedy oboje z żoną przed przystąpieniem do mojej terapii szwendaliśmy się po mieście i robiliśmy ostatnie zakupy na okres pobytu w klinice. Ponieważ nie wolno mi było zabrać ze sobą ani komórki, ani notebooka, ani nic podobnego, musiałem wymyślić jakąś alternatywę, jak będę spędzać wolny czas. Do tej pory przeczytałem tylko kilka książek – biografie zawodowych zabójców, dealerów narkotyków i rockmanów. Obowiązkowe lektury szkolne czytałem najwyżej do połowy i byłem jedną z tych osób, które są raczej wyposażone w gen joypada niż

zainteresowania kulturą, książkami albo historią. Dzięki temu, że miałem u boku moją ukochaną żonę, wzięliśmy z księgarnianej półki kilka książek i przypadkiem padło też na *Das Joshua-Profil*. Dlaczego? Nie mam pojęcia.

Wieczorem siedziałem z żoną i synem w domu, ponieważ jakakolwiek swoboda ruchów była dla mnie wtedy niebezpieczna i z całą pewnością zwyciężyłby głód narkotyków. Była to najlepsza decyzja, jaką od dawna podjąłem, ponieważ w ten sposób rozpoczęło się moje pozytywne szaleństwo. Zacząłem czytać, po raz pierwszy nie była to lektura obowiązkowa ani historia gangsterska czy też upiększona historia jakiegoś barona narkotykowego. Pierwsze strony tylko przeleciałem, potem cofnąłem się i zacząłem od nowa, i od tej chwili pograżyłem się w innym świecie, którego dotychczas nie znałem. Zapomniałem o wszystkim dookoła, nie odczuwałem głodu prochów ani zbliżającej się depresji, ani przez chwilę nie pomyślałem, że mógłbym teraz siedzieć w knajpie i zalewać się w trupa. Nie, po raz pierwszy w życiu czułem się wyluzowany, co na ogół zdarzało się jedynie po zażyciu narkotyków. Znow mógłem się skoncentrować na czymś przez dłuższy czas i w dodatku – co już zupełnie niepojęte – sprawiało mi to przyjemność. Było tak, jakbym oglądał film. Następnego dnia znow wzięłem do ręki książkę i stwierdziłem, że zainteresowanie nie minęło, a wręcz rosło. Tak upłynęło kilka dni i ani się spostrzegłem, przeczytałem całą książkę i byłem dumny. Dumny, że zrobiłem coś nowego, dumny, że dokończyłem książkę bez przymusu, i dumny, że odkryłem nową namiętność. Ponieważ wciąż jeszcze nie rozpocząłem terapii, znow pojechałem do księgarni i kupiłem *Pasażera 23* oraz *Noah*. Kolega dał mi jeszcze *Der Augenjäger* i *Der Augensammler*. Tym sposobem byłem zaopatrzony i mogłem się poświęcić nowemu hobby. Odkrycie nowego pola zainteresowań sprawiło, że potrafiłem przetrwać pewne presje, na powrót odnalazłem spokój wewnętrzny i stałem się bardziej spokojnym, rodzinnym człowiekiem. Pomogło mi to i nadal pomaga pozbywać się stresu, zapomnieć o troskach i nałogach. Efekt uboczny, który był tego wynikiem, jest nie do opisania: fantazja, siła wyobraźni, słownictwo, żądza wiedzy stale rosła, koncentracja powróciła z dawną siłą i umiem się zrelaksować. W swoim życiu popełniłem dużo błędów, graniczy z cudem, że żona i syn są jeszcze przy mnie, a nałóg nie pozostawił trwałych śladów. Oczywiście nie stało się to jedynie dzięki czytaniu, że na nowo odnalazłem drogę życiową. Przyczyniło się do tego wiele czynników: rodzina, prawdziwi

przyjaciele, okoliczności, zawód i własne samozaparcie. Ale pół roku po doświadczeniu z pierwszym Fitzkiem w ręku mogę z całkowitym przekonaniem powiedzieć, że splot szczęśliwych przypadków doprowadził do ostatecznego zwrotu w moim życiu.

Nie muszę wspominać, że zdążyłem już przeczytać wszystkie Twoje książki. I że to jest jednym z powodów, dla których piszę ten list. Nikt nie wie, co by się stało, gdybym owego grudniowego dnia 2015 roku sięgnął po inną książkę. Twoje książki przetały mi drogę, którą udało mi się powrócić do życia. Wciąż jeszcze muszę nad sobą pracować, ale Twoje książki ostatecznie ułatwiły mi terapię i powrót do normalnego życia, bo wciąż mogłem się pławić w świecie, który pozwalał mi i nadal pozwala się wyłączyć. Co to oznacza, mogą zrozumieć tylko ludzie, którzy tak jak ja stali nad przepaścią. Chciałbym po prostu podziękować za to, że mogę obcować z Twoim pisarstwem, i prosić Cię, żebyś co najmniej przez następne dziesięć lat zechciał się go trzymać.

Była to moja mała podróż, podczas której, być może, niekoniecznie byłeś pilotem, ale z całą pewnością ważną częścią załogi, i podczas której, siedząc w kokpicie, wskazywałaś mi drogę!

A więc żegnam się, tak samo, jak się przedstawiłem, tylko z niewielką, ale istotną zmianą:

Jestem Fabian, mam trzydzieści cztery lata, jestem żonaty, mam trzyletniego syna i jestem politoksykomanem ze szczególnym upodobaniem do książek Fitzka. :-)

Szanowny Panie,

na początek my, uczniowie klasy 11 wyższej szkoły zawodowej w Traunstein, chcielibyśmy Panu podziękować za książkę *Seelenbrecher*. Była ona naszą lekturą na niemieckim.

Z pewnością każdy z nas ma własną ocenę tej książki, ale jako lektura szkolna jest ona, ogólnie rzecz biorąc, super: nie tylko naszym zdaniem, czyli uczniów, ponieważ nareszcie była to książka ciekawa i trzymająca w napięciu, ale również dla naszej nauczycielki, która na podstawie Pana książki przekazała nam wiedzę o środkach wyrazu stosowanych w budowie dzieła literackiego, takich jak przestrzeń przedstawiona, budowa utworu, tworzenie napięcia oraz cechy gatunkowe psychothrillerów.

Na koniec mieliśmy się skonfrontować z Pańskim dziełem i sami

wykazać kreatywnością. Jeśli jest Pan ciekawy rezultatów tego kreatywnego kontaktu z Pańską powieścią, prosimy zajrzeć na dropbox, do którego wysyłamy Panu link.

W każdym razie mieliśmy przyjemność przy czytaniu, przy zabawie, a w dodatku nawet czegoś się przy tym nauczyliśmy – a więc bardzo dziękujemy!

Serdecznie Pana pozdrawiamy,  
klasa 11

PS Ja również miałam wiele radości z Pana książki (nawet w dwóch klasach), a już po tygodniu rozmowę z rodzicami z powodu początkowej sceny *Seelenbrecher* (powiem tylko: lutownica i fotel ginekologiczny).

Pozdrawiam,  
Elke W. (nauczycielka)

*(I jeszcze raz Seelenbrecher, która najwidoczniej dręczy nie tylko uczniów, ale również studentów...)*

Cześć, Sebastianie!

Twoje książki towarzyszą mi w życiu prywatnym już od trzech lat. Ale nie tylko wywołują mój prywatny zachwyt, udaje Ci się też towarzyszyć mi podczas mojej drogi akademickiej. Studiuję germanistykę i socjologię na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie i w letnim semestrze 2015 pisałam pracę na temat teorii paratekstu – na podstawie powieści *Seelenbrecher*. Mój pan docent, który wcześniej nie znał ani Ciebie, ani Twoich książek, był zadziwiony tajemniczą żółtą kartką jako paratekstem. Praca *Przekraczanie granic między fikcją a rzeczywistością. Rola paratekstu w dziele fikcyjnym na przykładzie thrillera Sebastiana Fitzka „Seelenbrecher”* posłużyła jako część egzaminu końcowego i przyniosła mi ocenę 1,7. Zachwycony do głębi (cytuję dokładnie) „genialnością autora we wciąganiu czytelników w świat swoich utworów”, mój opiekun na uczelni chętnie zgodził się, abym rozbudowała tę pracę i przedstawiła ją jako pracę końcową. Od teraz aż do października będziesz mi towarzyszył w pisaniu pracy licencjackiej. Będzie ona traktowała o *Seelenbrecher* albo może zdecyduję się zaskoczyć docenta Twoim najnowszym dziełem *Das Joshua-Profil*. Mam na myśli książkę jako paratekst innej

książki – czy może być coś bardziej pasującego?

Dziękuję za to!

Serdecznie pozdrawiam,  
Julia (24 lata)

Cześć Sebastianie,

w roku 2010 spotkałam pewnego młodego człowieka. Widywaliśmy się często, przypadkiem bywaliśmy na tych samych imprezach i – jak to w życiu bywa – umówiliśmy się w końcu na randkę, tylko my dwoje. Była to najgorsza randka, jaką miałam w życiu – było tak fatalnie, że w toalecie zadzwoniłam do siostry i poprosiłam, żeby do mnie oddzwoniła i powiedziała mi niecierpliwie i głośno, że mam natychmiast wracać do domu.

Wszystko byłoby świetnie, ale tak się głupio złożyło, że mój adorator zapytał, czy nie mógłby się ze mną zabrać. Nie mogłam być nieludzka i zgodziłam się robić za taksówkę :-). Żeby po drodze nie panowało milczenie, zapytałam go, czy lubi czytać. Potwierdził. Zapytałam go więc o ulubionego autora. Odpowiedź brzmiała: „Sebastian Fitzek”. Nadstawiłam uszu, bo nie mogłam uwierzyć, że taki ktoś może lubić te same książki, które lubię i ja. Zapytałam go, która według niego jest najlepsza. Odpowiedział, że *Odprysk*. Ja byłabym raczej za *Amokspiel*. Sprawa nie dawała mi spokoju. Tak więc w nocy i w ciągu następnego dnia jeszcze raz przeczytałam obie książki i napisałam rozprawkę na temat, która z nich jest lepsza. Oczywiście musieliśmy się potem jeszcze raz spotkać, żeby przedyskutować tę „analizę”. Twoje książki go uratowały! Mówiąc krótko, dziś jesteśmy małżeństwem i mamy córeczkę, a nazwisko Fitzek na naszym regale z książkami albo w mojej ulubionej księgarni często wywołuje u mnie uśmiech.

Serdecznie pozdrawiam,  
Eva

*Tyle, jeśli chodzi o ten bardzo krótki i mało reprezentatywny wybór mejli, które znów mi pokazały, że życie często pisze znacznie bardziej dziwaczne i tragiczniejsze historie niż te, które wymyślamy przy biurku. I że nie istnieje ktoś taki jak „typowy czytelnik Fitzka”. Na szczęście.*

*Jeśli jesteście geniuszami matematycznymi i skrupulatnie liczyliście, to na pewno stwierdziliście, że było więcej niż dziesięć mejli. I spokojnie mogłoby ich*

być nawet ponad dziesięć tysięcy, gdyby nie to, że szef mojego wydawnictwa, Hans-Peter Übleis, uprosił mnie, żebym z tego zrezygnował, jeśli nie chcę doprowadzić go do ruiny ze względu na spore koszty druku.

(Zanim z przejęcia całkiem zapomnę: to podziękowanie to zarazem najserdeczniejsze przeprosiny. Skierowane do [kolejność jest zupełnie przypadkowa i nie stanowi o ważności]: Hansa-Petera Übleisa, Theresy Schenkel, Josefa Röckla, Bernharda Fetscha, Steffena Haselbacha, Kathariny Ilgen, Moniki Neudeck, Particii Kessler, Sibylle Dietzel, Iris Haas, Hanny Pfaffenwimmer, Carolin Graehl, Reginy Weisbrod, Helmuta Henkensiefkena, Manueli Raschke i reszty Rodziny [łącznie z Karlem i Sally], Barbary Herrmann, Achima Behrenda, Eli i Michy, Petry Rode, Sabriny Rabow, Romana Hockego, Claudii von Hornstein, Gudrun Strutzenberger, Cornellii Petersen-Laux i Markusa Michalka, Christiana Meyera, Petera Prangego, Gerlinde Jänicke, Arno Müllera, Thomasa Koschwitz, Jochena Trusa, Stephana Schmittera, Michaela Treutlera i Simona Jägera, Clemensa i Sabiny Fitzków, Franza Xavera Riedela, Thomasa Zorbacha, Marcusa Meiera, the Krings-Brothers, Jörna Stollmanna, jak również wszystkich pracowników księgarni i bibliotek – wszystkich Was jedynie wymieniam [również Ciebie, droga Sandro], choć przecież tylko Wasza praca, miłość i przyjaźń sprawiły, że w ogóle powstała ta książka i odbył się mój okrągły jubileusz. Jednakże potrzebowałem miejsca, co z pewnością łatwo zauważyliście, dla kogoś jeszcze ważniejszego: dla moich Czytelniczek i Czytelników).

A Państwu w domu, na kanapie, w samochodzie, na plaży albo w tramwaju – jeśli rzeczywiście dotrwaliście aż do tego miejsca, chciałbym (jak zawsze w tym miejscu od dziesięciu lat) na koniec powiedzieć jeszcze tylko: „Dziękuję”. Dziękuję za te wszystkie słowa, poświęcony czas i wszystkie wspaniałe przeżycia, których doznaliśmy wspólnie. Czy to w realu, czy też w przestrzeni wirtualnej.

Mam nadzieję, że nadal będziecie do mnie pisali na adres fitzeksebastianfitzek.de – ponieważ, tak jak dotychczas, chętnie będę czytał to, co napiszecie.

Obiecuję, że dołożę wszelkich starań, żeby z Waszej strony było tak samo.

Z wyrazami serdeczności  
Wasz Sebastian Fitzek

lat 44, 180 cm wzrostu (jeśli się akurat nie zgarbię) i 78 kg wagi,  
a więc 2 kilogramy więcej niż na początku Przesyłki  
(ach, te przekłete batoniki pomiędzy kolejnymi rozdziałami!)



*8 maja 2016 roku*

# Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[Od Autora](#)